



A. B.

NA SOBÓR WATYKAŃSKI

*List otwarty do
całego Kościoła*

NAKŁADEM AUTORA
OTRZYMAĆ MOŻNA W KAŻDEJ KSIĘGARNI
WARSZAWA

Exemplarz recenzyjny

NA SOBÓR WATYKAŃSKI

A.B.

[Grot Franciszek ks.]

NA SOBÓR WATYKAŃSKI

*List otwarty do
całego Kościoła*

INSTYTUT
BADAŃ I EDYCYJNY PAN
Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-830 WARSZAWA

Tel. 26-68-63, 26-52-81 w. 42

NAKŁADEM AUTORA
OTRZYMAĆ MOŻNA W KAŻDEJ KSIĘGARNI
WARSZAWA



Tłoczono w Zakładach Graf. Tow. Wyd. „Kompas” w Łodzi

J. E.

Wawrzyńcowi Lauri,

Nuncjuszowi Polski.

*Da Ecclesiae tuae, Deus, eorum in omnibus
sequi praeceptum, per quos religionis sumpsit
exordium.* *Oratio die 29 iunii*

*

*Non credo — — in solis Congregationibus
romanis flare Spiritum Sanctum.*

*

*Propter Sion non tacebo et propter Jerusalem
non quiescam, — donec egrediatur ut splendor
iustus eius et salvator eius ut lampas accendatur.*
Isaiae 62.

VENI CREATOR!

Jak łan po burzy, dźwiga się ludzkość po katastrofie wszechświatowej wojny.

Jednostki, społeczeństwa, narody pracują niezmiernie nad tem, by na dawnej wyżynie postawić i w całej pełni uruchomić wszystkie swe siły ekonomiczne i moralne, materji i ducha, dla jak największej miary szczęścia ziemi.

W gronie pracujących z wytężeniem społeczeństw — narodowości, państw i rządów — staje największa potęga duchowa: Kościół katolicki. Ogarniając swą sprężystą organizacją cały glob, lądy i morza, dosięgając swą władzą aż do głębi sumień i w samej nazwie nosząc imię religji wszechświatowej — Kościół katolicki zamierzył uczynić przegląd swych sił wiekowych, by je pchnąć do czynu z nową sprawnością i mocą.

Z Rzymu wychodzi inicjatywa. Na rok 1925 (lub najbliższe lata), postanowił papież Pius XI, po przerwie z górą półwiekowej, wraz z jubileuszem dwudziestopięciolecia dać światu i Kościołowi dokończenie Soboru Watykańskiego.

Wylew łaski i prawdy — ożywczy a potężny — ma przepływać nad zakrzepłą skorupą ran materializmu w narodach. Zajaśnieć ma

ponownie w królewskim swym majestacie, wobec gwałtów i bezprawia ludów, wiekuiste prawo boże. Elita katolickiego świata pospieszy do grobu Apostołów. Zjadą przedstawiciele episkopatu i uczeni, wszystko, co najmądrszego i najświetniejszego ma Kościół u steru dusz i sumień, by w długotrwałych naradach ogarnąć całokształt potrzeb Kościoła, rozpatrzeć niedomagania w każdej dziedzinie wiary, braki usunąć, szkody naprawić i uzdrowić ten półmiliardowy blisko organizm, jaki się bezsprzecznie wysuwa na czoło ludzkości i chce i być powinien z woli Chrystusa „zdrowiem i zbawieniem ludów“.

I rozlegnie się pod sklepieniami bazyliki Piotrowej potężne „Veni Creator!“ Od Gangesu do Missuri, od wysp i wulkanów Japonji do szczytu Kordyljerów, zawtórują mu echem serca wiernych i biegun poda je biegunowi. Ziemia i niebo wyczekiwać będzie każdorazowego rezultatu narad: „Visum est Spiritui Sancto et nobis“ — „Zdało się Duchowi Świętemu i nam“.

Tak jest — Duchowi świętemu i nam — gdyż Sobór powszechny, zwołany powagą Stolicy Apostolskiej, różni się zasadniczo od wszystkich innych zjazdów i narad ludzkich. Dwa czynniki mają tam głos: czynnik boży i czynnik ludzki. Czynnikiem bożym jest przyrządzony i zesłany Kościołowi przez Chrystusa Duch Święty. On, jak niegdyś nad chaosem

materji praświatów, tak dziś unosić się będzie nad chaosem rozumowań i poglądów uczestników Soboru. Z ich sądów, często rozbieżnych, wskutek różnic pochodzenia, wychowania, stref, kultur, narodowości, wyprowadzać będzie jednolite kształty wiekuistego Piękna i Prawdy. On jako czynnik twórczy, choć niewidzialny, zaważy najsilniej na obradach Soboru. A obok Niego działać będzie duch ludzki, w miarę przenikliwości i doświadczenia tych, którzy na Soborze zasiądą pod przewodnictwem uczonego w tiarze — Piusa. I ten drugi czynnik, ludzki, dostarczać będzie materiału Duchowi kształtującemu wszystko.

Im obfitszym będzie ów materiał, tem lepiej dla obrad Soboru, tem korzystniej dla Kościoła i świata. Życie współczesne ludów, które wiara chce podnieść z poziomu ludzkiego na piedestał boży, gdziekolwiek i jakimkolwiek je odnajdzie, dziś tak jest różnorodne i tak rozległe, tak pełne głębin zawrotnych, a przytem tak rozbite i chore, tyle posiada ran nienazwanych, nawet nieprzeczuwanych przez nikogo! Trzeba, żeby religja wszechświatowa, **religja ludzkości**, jaką chce być i powinien być Kościół, uwzględniła w jak najpełniejszej mierze wszystkie te bóle i niedomagania. Nietylko bowiem całą chwałę niebios i majestat dogmatu, ale i **całą nędzę ziemi** Kościół musi mieć na oku, jeśli się chce godnie i skutecznie wywiązać ze swego zadania.

I dlatego właściwie dziśby trzeba, żeby

uczony następca rybaka z Galilei złożył tiarę ze skroni, ujął posoch pasterski do ręki pielgrzymiej i szedł od kraju do kraju, od duszy do duszy, troskliwie każdą wypytując o jej codzienne i o najgłębsze, najskrytsze jej rany. Nikogo nie powinienby pominać. Wszakżeż okrąg globu — to jego dzieci, jak dzieci Ojca na niebie, którego on im zastępuje. Dla wszystkich razem i dla każdego z osobna, dla rzeszy i zwłaszcza dla jej wodzów, powinienby na naradach z przedstawicielami Kościoła zgotować potrzebne, skuteczne lekarstwa.

Bez uszczerbku dla nieprzedawnionych swych praw więzień Watykanu wyjść z Watykanu nie może. Niechaj zatem do stóp jego tronu popłyną skargi dzieci. Gromadziła je ręka skrzętna w ciągu lat dziesiątków, zbierała myśl uważna na kartach stuleci. Czerpała je z ust tych, co wierzą, i z serc rozdartych rozpaczą tych, co wiary nie mają. Brała je od tych, co błędząc i tęskniąc, dróg prawdy i życia szukają i od tych, co są daleko, a których do źródeł łaski przyzywa Pan Bóg nasz... Ci zwłaszcza, co spracowani w ucisku życia łakną pociechy i ulgi, ci, co boją i cierpią, mają w swych skargach pierwszeństwo. Głos ich — to stronicie tej książki: „Na Sobór Watykański“.

A jeśliby ten głos, z jednego kraju idący i od jednego ludu, obudził szersze echa także poza rubieżami ojczyzny świętych, niechajże Bóg będzie uwielbiony! Albowiem niedomagania wieku i Kościoła są bolesne. Bolesne, liczne i stra-

szne i z wzrastającą liczebnie ludzkością rosna
ciągle. Zwlekać ani chwili nie wolno. Należy
wrzody rozciąć odważnie, roztropnie a sumien-
nie i po ludzku rany rozpatrzeć, by podać le-
karstwo i w otwarte z dniami Soboru niebiosa
zawołać: — Veni Creator!

ZIARNO GORCZYCZNE.

Z najświętszych warg Zbawiciela padła raz prorocza przypowieść. Mówił o maleńkiem, niepozornem ziarenku gorczycy, które tak się rozrasta, że „ptacy niebiescy” mieszkają licznie pod jego cieniem i wiją sobie gniazda.

Niepozornem było słowo nauki Chrystusowej. Niepozornem i małym ziarnem był Kościół w swych początkach. Ale dwadzieścia z kolei wieków i burz i słońca, jakie przeszły nad tem ziarnem gorczycy, sprawiły jego rozrost niebywały na globie. I dziś ptacy niebiescy — wszystko, co wzniosłego i niebiańskiego ma ziemia w duszach i narodach — garnie się, by zamieszkać pod cieniem jego konarów.

Nastąpił rozrost Kościoła katolickiego, niebywały w dziejach żadnej innej religji. I to nie tylko rozrost liczebny pod względem ilości wyznawców, która dziś już stanowi niemal piątą część ludności całej kuli ziemskiej; nie tylko rozrost wspinały na terenie dogmatu, myśli Kościoła, przez pogłębienie w świadomości wiernych bożych prawd, przyniesionych przez Chrystusa, — tysiące szkół i uczonych i dzieł religijnych o tem świadczy; nie tylko rozrost w postaci form kultu, bogactwa obrzędów, modłów, ubiorów liturgicznych i świątyń, któremi,

rzekłbyś, dzień po dniu przystraja się ziemia, aby w całym blasku, majestacie i glorii móc się pochylić pod stopy tronu Przedwiecznego: „Venite adoremus!”

Nietylko taki rozrost. Bogactwo może być rozbieżne; rzesza im liczniejsza tem bardziej może być rozbita na krocie i krocie odłamów, które nic o sobie nie wiedzą, ani wiedzieć nie chcą; myśli i dążenia, powstające w łonie milionów, mogą stać naprzeciw siebie, jak nieprzejednane wrogi, w walce na śmierć i życie; milionowe komórki ludzkiego ciała mogą być gnijącym trupem. Nie takim jest Kościół katolicki. W nieprzeliczonych przejawach jego bujnego nad wyraz życia, nawewnątrz czy nazewnątrz, najwidoczniej uderza jednolity pion, idący i wiodący wszystkie przejawy ku niebu, jednolity prąd, któremu się podporządkowują i według którego krążą wszystkie soki, nurtujące w słojach i warstwach tego gorczycznego drzewa ziemi.

Wielkość katolickiego Kościoła to nie tyle jego rozrost, różnorodność i przepych, ile **jedność w różnorodności**. Wspaniałą swą jednością, zorganizowaną i organizującą wszystkie serca, wszystkie dusze globu, Kościół dziś wielki, i większy z dniem każdym. Tem on imponuje swoim i obcym, tem porywa umysły, tem zniewala najoporniejsze, byle głębsze serca. Z opoki Piotrowego Rzymu, karnie a sprawnie, rzeczy można, jeden duch porusza te miliony, którym niegdyś Apostoł narodów kazał być je-

dnem Ciałem mistycznym Chrystusa, a Chrystus sam chciał w nich widzieć jedną owczarnię ludów pod jednym pasterzem.

To wielkość Kościoła zasadnicza: jednolitość hierarchicznego rządu z najwyższym wykładnikiem swym — w papieżwie.

I zdawałoby się, że już nic nie braknie, ani braknąć nie może tak pojętej świetnie i tak doskonale zorganizowanej społeczności wiernych, że wznosi się ona nad narodami, jak owa „góra domu bożego“ w widzeniu proroka. Porywa żrenice i serca, a wszystkie narody z okrzykiem Izajaszowym na ustach pospieszają wniść w jej podwoje: „Venite, ascendamus in montem Sion!“

Tymczasem raz po raz dzieje się wręcz przeciwnie.

Zamiast rzesz, któreby się garnęły do Kościoła na wyścigi, jak po wielkie, wspaniałe dobro swych dusz; zamiast zastępów, któreby doń szły, jak do drugiego Chrystusa, idącego przez dzieje, którego cień wielki a błogosławiony pada na oceany i lądy — i krzepi i leczy i koi — coraz widoczniej za dni naszych i coraz szerzej odstręczają się serca ludzkie od Kościoła.

Nie mam tu wcale na myśli ludzi, znanych w społeczeństwie pod nazwą ateuszów, niewierzących w Boga. Rzecz bowiem jasna, że człowiek, dla którego Bóg, choćby tylko myślowo, nie istnieje, nie może się konsekwentnie

pisać na żadną wogóle religję, a więc nie będzie się garnał i do katolicyzmu. Pomijam niechęci i pretensje pod adresem Kościoła ze strony tych, co religję traktują z punktu widzenia ekonomicznego i chcą, żeby Kościół sam siebie uważał litylko za czynnik, zabezpieczający dobrobyt ludom i odwracają się z tego właśnie powodu od Kościoła. Nie mówię też wprost o heretykach, chociaż są heretycy „starzy” i „nowi”, rekrutujący się z wczorajszych wiernych — i tych uwzględnić muszę, pisząc o kościelnem „dzisiaj”. Ale to, wogóle biorąc, dziwny zaiste i zastanawiający objaw! Herezje o większym zakroju, czy liczebności powstawały zazwyczaj z łona Kościoła katolickiego w czasach, kiedy na jakimkolwiek polu życia religijnego zaznaczał się w Kościele zastój, wsteczność lub zamęt i gdy potrzeba mu było — Soborów!

Weźmy na chwilę do rąk dzieje Kościoła.

Oto jeszcze nieokreślone „Credo”, nieskrystalizowane jasno dogmaty pierwszych, poapostolskich czasów. Padły one na subtelne, filozofujące umysły helleńskiego świata i wzbudziły całą plejadę napół pogańskich wielbicieli gnozy, arjan, manichejczyków, nestorjan... Zjawyły się herezje o zakroju nawskroś dogmatycznym.

Za myślą kroczy życie. Po jakim takim ustaleniu myślowego kierunku w dogmatach Kościoła, rzuciło się średniowiecze do tworze-

nia herezji o charakterze silnie **ascetycznym**. Chciało już nie myśl, ale samo życie praktyczno-religijne człowieka ująć w jakieś nowe, bardziej czyste i prostolinijne „chrystusowe, ewangeliczne” formy, niż te, jakie widziało dokoła siebie w Kościele. Nazw herezji nie przytaczam, bo jest ich legjon. Historyk da sobie z nimi radę.

Po względnem unormowaniu przez wielkie zakony terenu życia **wewnętrznego**, przysła kolej na teren zewnętrzny, dyscyplinarny, hierarchiczny. I tu uderzyły pioruny w sterników i wodzów kościelnej nawy. Na wschodzie święcił ostatnie triumfy duch Focjusza, na zachodzie Luter i współcześni mu reformatorzy podnieśli żagiew buntu nad drugą połową Europy. Iskry padły aż za ocean, na brzegi „nowego świata”. Wystąpili przeciw piastunom władzy bożej wśród ludu, z ramienia Chrystusowego, lecz o charakterach jakże często — od Rzymu począwszy — wcale nie Chrystusowych.

A gdy Kościół, uporządkowawszy tereny **nadprzyrodzone** swego życia, nazajutrz po dniach Renesansu zastygł w swych formułach myślenia na terenie przyrodzonym, wówczas „*écrasez l'infâme!*” — burza wieku oświecenia, — herezja rozumu — przypomniała mu obowiązek postępu, przynajmniej wykszolenia, także na tem polu.

Dziś w swej całości i w szczegółach życie religijne — zwłaszcza po Soborze Watykańskim i rządach ostatnich papieży — ma zdawa-

łoby się wszystkie warunki i czynniki, jakie dla jego rozkwitu i rozwoju są potrzebne... A oto — znów weszliśmy w okres powstawania herezyj w Starym i Nowym świecie. I rzecz charakterystyczna. Tło, z którego wyrastają herezje ostatnich lat, stanowi to, co stanowi dziś bezspornie największą chlubę Kościoła: hierarchja, prymat. Samodzielne kościoły narodowe, samodzielne badania źródeł objawienia bez cenzury hierarchji, sny i marzenia o jakiejś nowej epoce w chrystjanizmie, mającej stanowić nowszy jeszcze od Nowego — Trzeci Testament. — Ruiny Rzymu papieży, a na ruinach — epoka Ducha świętego, Kościół miłości.

Powstające, zwłaszcza w większej liczbie, herezje mają dla uważnego, bezstronnego obserwatora swoistą mowę. Nie każdy umie leczyć, ale ból odczuje każdy. W łonie Kościoła, złożonego z ułomnych ludzi i prowadzonego przez ułomnych ludzi, raz po raz wyniknąć mogą braki, bolesne braki. Gdy więc ból w żywym organizmie boli, a w sferach powołanych do zaradzenia brakom nie przystępują do dzieła, albo zwlekają — obyczajem przeciętnej biurokracji — wówczas bierze się do leczenia ran każdy „pierwszy lepszy”. A najczęściej zapaleńcy ideowi, ludzie duchowo nie zrównoważeni, bo oni zawsze do wszystkiego są pierwsi. Nie zdają sobie z tego sprawy, czy umieją naprawiać, nie wiedzą nieraz dokładnie, co i w jakiej mierze naprawić potrzeba, ale rwą się do czynu, bo „coś zrobić się musi”. Zabiera-

ją się do naprawy stosunków i jak zwykle ludzie w gorączce więcej napsują, niż naprawią. Wiele zburzą, bo to łatwo, ale mało, albo nic nie postawią, bo nie każdy potrafi być dobrym architektem. Zapominają o tej wielkiej prawdzie życiowej, że jeden człowiek, choćby się genjuszem urodził, nie potrafi w kilku latach stworzyć równoważnika na miejsce tego, co zburzył, a co z wysiłkiem pokoleń budowały wieki. Rozbijali się i rozbijają po dziś dzień o ten szkopuł wszyscy radykalni reformatorzy, zrywający na całej linii z przeszłością, przekonani w swej butnej dziecinnadzie, że rozum i prawda i poczucie sprawiedliwości dopiero z nimi przysły na świat.

„Każde ustanowienie odmiennej sekty było usiłowaniem zbliżyć się do Boga i do prawdziwego światła“ — pisze jedna z publikacyj badaczy Pisma św. Jeśli tak jest w rzeczywistości, wówczas zjawienie się herezji w społeczeństwie wiernych wskazywałoby na dwie rzeczy. Najpierw byłoby znakiem, że kwestjami religijnymi żywiej poczynają się interesować umysły i serca, że szukają światła i Boga, choćby na drogach błędu i zagmatwania. Powtóre mówiłoby wyraźnie, zwłaszcza przy większej ilości herezji, że jakieś braki zakradły się do ciała Kościoła, do tej organizacji religijnej par excellence, w pełni słowa, że jakiś ból tam mocniej dolega i boli i że trzeba co żywo obmyślać stosowne do ran lekarstwa.

Herezje i herezjarchowie mają jeszcze jedną

zaletę: to śmiałość poczynań, nie liczącą się z nikim i z niczem, obok wad rozgorączkowania i krańcowości w stawianiu kwestyj. Oni bez ogródki wypisują publicznie na sztandarach i niosą przed oczyma wszystkich wyraźnie i jaszkrawo to, co inni wypowiadają pocichu, nieśmiało, w załęknienu.

Jakoż istotnie, gdy wziąć na uwagę ostatni okres naszych czasów, to główne zarzuty, z jakimi pod adresem Rzymu zwracają się i od Rzymu odwracają współczesne nam herezje, zawierają w sobie te same składniki, jakie się słyszy powszechnie z ust mniej śmiałych i radykalnych. Z ust katolików świeckich — i bliżej i dalej od ołtarza stojących — owszem nawet z ust duchowieństwa. Herezje nam współczesne silnie akcentują indywidualizm, czy to osobisty każdego człowieka, czy też zbiorowy narodów. Stąd — zjawisko nietylko w Polsce aktualne — powstają kościoły niezależne, narodowe. A w katolicyzmie „rzymskim“ co się akcentuje? Nie tak dawno jeden z autorów dobrej marki w Kościele, być może niechcący wskazał na źródło, z którego płyną urazy i pretensje do Kościoła we współczesnych duszach. „Szereguje się dziś Kościół — mówi on — jak pruski regiment i dzięki temu papieństwo urosło do takiej potęgi, że mu się dziś wszyscy kłaniamy i ludy i rządy.“ (Wieczory nad Lemanem)

Tak, tu bije główne źródło niezadowoleń. Szereguje się Kościół, jak pruski regiment. Na to najwięcej się skarżą, na to sarkają najmocniej

groźne raz po raz głosy. Głosy, które pod adresem centralizującego wszystko Rzymu odzywają się już od lat dziesiątków. Nie próbuję nawet wypisywać tego, co wypowiedziała w tej sprawie za ostatnich lat sto „Polonia semper fidelis”. I to tem dziwniejsze i tem bardziej zastanawiające, że nie gawiedź uliczna, lecz usta inteligentne i często bardzo życzliwe Rzymowi, jak matce własnej, sarkały na ten rys „urzędowego” Kościoła. Inteligencja przecież nawet przeciętna potrafi to zrozumieć i ocenić, że tylko w zdrowo pojętej centralizacji spoczywa wielkość i siła i że słowa o jednej owczarni całego globu i jednym pasterzu wszystkich były to słowa boskie. Widać naprawdę coś z brutalizmu i sztywności „pruskiego regimentu” zakradło się w organizm życia Kościoła, skoro nietylko przywódcy herezji współczesnych, ale i katolicy w łonie Kościoła, tamci jaskrawo aż do przesady, ci z zadumą i nieśmiało wciąż jednak utyskują na „bezduszny formalizm, biurokracizm, formy bez treści” i t. p. rzeczy, które istotnie iść zwykły jak cień za **nadmiernym centralizmem**.

To też nietylko wyraz krytyki, obojętności i lekceważenia, ale wprost wyraz pogardy niezrządkiem spotkać można pod adresem Rzymu, który (każdy to czuje) w swoim postępowaniu z narodami i duszami powinien być Chrystusowy i boski, za jaki się podaje, a jest w rzeczywistości — oby nie nazbyt często — taki, że aż „pruski”.

I stąd płynie, że sfery nauczającego Kościoła nie mają dziś dostępu w liczne bardzo dziedziny życia szerokiego, współczesnego życia. A stąd znów prostem następstwem idzie coraz szerszy w duszach i stosunkach zanik zasad wiary, których się oczywiście nie głosi tam, dokąd się nie ma wstępu. A stąd oddalenie coraz większe coraz szerszych mas od Kościoła i Boga, stąd puste świątynie albo też powierzchowna pobożność, stąd wyjąłowiła moralność, stąd zdziwienie i zezwierzęcenie obyczajów, rozlewną i gwałtowną idące falą. Na miejsce bowiem wielkiego i świętego Boga, któremu się zamykają dusze, gdy uciekają przed sztywnym, zimnym, dla niektórych nawet strasznym i krwawym jego piastunem — Rzymem, wstępuje Beljal i wszystko, co on w swym orszaku prowadzi na zgubę dusz i ludów.

Ziarno gorczyczne rozrosło się i rozpięło koronę w niebie wszystkich ludów. Ale jakieś narośle chorobliwe, jakieś pasorzyty, jakieś próchniejące słoje i warstwy, jakieś omszenie konarów przeszkadza zachwycającemu oko jego rozkwitowi. Olbrzymi pień jest chory. Wprawdzie dusze głębsze widzą nurtujący pod zwierzchnią korą źródł życia, mocny i zdrowy, i garną się doń. Lecz o ileż rojniej i radośniej i one garnąć się będą, a za nimi dusze i oczy przeciętne, widzące tylko po wierzchu, jeśli ręka mądrego ogrodnika, której poruczono straż drzewa, usunie pasorzyty i wilki, oczyści

z mszyc i jemiół słoje i koronę gorczycznego
drzewa wiary.

Niechaj się tylko ta ręka nie waha i nie
drży! Niechaj działa, a bez zwłoki — w Duchu
Bożym.

Tu adesto!

PYCHA RZYMU.

Rzym z biegiem wieków stał się wykładnikiem katolicyzmu. Nadał mu swą nazwę, chodzi w jego chwale i blasku, ale musi się też rumienić za wszystkie jego braki, niedomagania i błędy. Zawini hierarchja — Rzym winien, pokpi sprawę kto z katolików świeckich — cień pada na mury Watykanu.

I nic w tem dziwnego. Skoro Rzym skupił w swem ręku wszystkie nici władzy w katolicyzmie, skoro centralizację posunął do szczytu możliwości, zatem wziął na swe barki całą odpowiedzialność za wszystko. Ludzie lubią najkrótszą drogę do mety. Zarzuty przeciw katolicyzmowi skierowują pod adresem jego przedstawiciela, Stolicy Apostolskiej. Tam się piszą prawa, stamtąd wychodzą wszelkie decyzje, z Rzymu rządzą światem sumień, zatem w Rzymie odpowiadają także za rezultaty rządów — dodatnie lub ujemne. Słowem Rzym stał się ewangelicznym miastem na górze wzniesionem, według porównania Chrystusowego, i musi być przygotowany na to, że oczy całego globu nań patrzeć będą. A patrzeć z tem pilniejszą uwagą, że na cały świat z tej wyżyny rozlega się przez wieki wołanie: „Świętymi bądźcie! Bądźcie doskonałymi!“ Nawoływany do doskonało-

ści świat pilnie zważa, czy nie będzie mógł kiedy pod adresem wołającego zawołać: „Lekarzu, ulecz siebie samego!”

Głosy takie odzywały się stale. Z biegiem wieków wytykano następcom Piotrowym różne winy. Raz nepotyzm, kiedyindziej rozpolitykowanie, to znów zeświecczenie wogóle. Owszem, całemu szeregowi papieży ciskano wprost w oczy niemal winę osobistego zaparcia się Chrystusa i niemoralność. Nic dziwnego. Skoro pierwszy papież musiał otrzymać z ust samego Zbawiciela rozgrzeszenie nad wodą Tyberjady, mogło się to samo lub coś podobnego przydarzyć także jego następcom. Z grzesznych ludzi wyszli, w otoczeniu swem mieli pełno błędów, mogli zgrzeszyć, mogli zbłądzić. Chodziłoby tylko o to, czy swój błąd i grzech uznali... Zresztą co do papieży ostatniego stulecia to w kwestji zarzutów osobistych ich win i błędów, nawet najsurowsi krytycy naogół milkną. Owszem, nad trumną np. Benedykta XV wypowiada się taki sąd: „Umarł, opłakiwany przez Rzym, żałowany przez cały świat, czczony przez ludzkość całą (Revue des deux mondes z 1. II. 1922) i w Carogrodzie stawia mu się za życia pomnik. W Polsce pewna skrajna partja ludowa wynalazła w nim zaledwie jedną winę, że 700 tys. lirów, umierając, zapisał testamentem swemu bratu, „bogatemu magnatowi“, zamiast je przeznaczyć na dobre cele, na ubogich, sieroty... (Przyjaciół ludu). Ale to sprawa — każdy widzi — familijna. Mógł mieć

jakieś osobiste zobowiązania wobec rodziny, wobec brata.

Natomiast wszystkim papieżom, a na pierwszym już miejscu papieżom ostatniego stulecia, tym właśnie, dla których osobistych zarzutów się nie posiada, zarzuca się grzechy ich stanowiska. Wrogowie Rzymu, a w ich szeregach i wierni, niezadowoleni z papieskich rządów, najchętniej biorą do rąk katechizm, wyszukują rozdział o siedmiu grzechach głównych i zaraz w pierwszym z nich pokazują grzechy Stolicy Apostolskiej. „Pycha — mówią — jest początkiem wszelkiego złego, i w kurji papieskiej i w katolicyzmie”.

A więc — pycha Rzymu! Przypatrzmy się jej bliżej, oceńmy jej owoce.

Jeśliby chodziło o rodowód tej pychy i o całą jej najbliższą familję, to sprawa miałaby się przedstawiać jak następuje: Najpierw była **me-galomanja** biskupów rzymskich, rezydujących w stolicy świata politycznego starożytności i stąd urabiających sobie apetyt na rządy duchowe całym światem. Pierworodnymi bliźniętami tej płodnej matki były **prymat** i **centralizacja**. Z nich poszło dalsze potomstwo. A więc — nieomylność i autokratyzm; a więc — biurokracja i formalistyka, wyrostki robaczkowe kurji rzymskiej; a więc — despotyzm wobec podwładnych, zaślepienie na własne błędy, grzechy i zbrodnie. Potem zrodziło się w zakresie teorii przesadne aż do przesady i śmie- szności dogmatyzowanie, na terenie zaś prak-



tycznego i potocznego życia wynikły z tego źródła, z tego łona skały Piotrowej; na codzien — niedelikatność i traktowanie à la stupa owieczek przez swych pasterzy, na okres zaś wieków całych — niewola Rzymu.

Oto w najślabszym, najdelikatniejszym zarzysie grzechy Rzymu. Źródłem ich ostatecznym: „Non sum sicut caeteri” — megalomanja, pycha.

Rzym o tych zarzutach wie. Nasłuchał się ich przez wieki całe od swoich i obcych, a nasłuchał się w formie zazwyczaj o wiele bardziej jaskrawej, niż obecnie je przedstawiam. Czytał choćby tylko słowa Antoniego Góreckiego, zwrócone pod swym adresem: „Zdrój boleści, gniazdo złości, szkoła błędów i przybytek odszczepieństw — to Rzym niegdyś, a dziś wiarołomny i zbrodniczy Babilon, który jest przyczyną tylu łez i jęków. — O kuźnico zrad i oszustw! O straszne więzienie, gdzie marnieje cnota, a zbrodnia się tuczy i zuchwały wznosi się głos! O piekło dla żyjących! Będzie to niezmiernym cudem, jeśli wkońcu grom gniewu Chrystusa Pana w ciebie nie uderzy... — Ty coś powstał z niepokalanego i skromnego ubóstwa, stawszy się bezczelną wszeteczną, targasz się dziś na tych, co ci dali początek. Na czymże zasadzasz swoją nadzieję? Czy na swoich cudzołóstwach, wszeteczeństwach, na przepychach, zbytkach i bogactwach świętokradzko nabytych? O, nie znajdzie się drugi Konstantyn! A ten, co się opiekuje losem ludzkości, niechże

raczy ją jak najrychlej oswobodzić. (Pisma — Lipsk str. 412).

Podobnie, jak A. Górecki, pisało milion piór, wołały nieprzeliczone głosy. Swoi czynili to z bólem w sercu i goryczą, wrogowie z okrzykiem niepohamowanego triumfu. A Rzym — co na to? Zwykle miał na ustach nieśmiertelną dantejską odpowiedź: „Guarda e passa!” A od czasu do czasu podkreślał swój głos, rzucał gromy klątw.

I w tem spoczywa cały tragizm.

Kardynał Fryderyk Boromeusz, brat przyrodni św. Karola, mówił o sobie: „Smutek i gorliwość z powodu nadużyć Rzymu pobudziły mnie do napisania dzieła, grubego na trzy palce, gdzie prawie wszystkie te nadużycia wymienione zostały. Ale gdym się przekonał, że dla naprawy tych nadużyć wszystkie wrota są zamknięte i że sam Bóg tylko może to uczynić drogami nadzwyczajnymi swej Opatrzności, spaliłem książkę...”

— Wszystkie wrota do naprawy nadużyć są zamknięte!

— Bóg musi to uczynić drogami nadzwyczajnymi!

Ten okrzyk podwójny kardynała Boromeusza poszedł w dzieje. Po dziś dzień powtarzają go wierni z bolesnem westchnieniem. A ino-wiercy, którzy stoją poza obrębem Kościoła katolickiego, pomijając okrzyk drugi, stale powtarzają pierwszy: wszystkie drogi naprawy zam-

knięte! I widzą w tem dowód prawdziwości zarzutu — pychy Rzymu.

Jakiż bowiem — mówią — moment psychologiczny cechuje prawdziwą pychę? Oto pycha prawdziwa sądzi zawsze i wszędzie, w każdej dziedzinie, intelektualnej czy moralnej, że **ona jedna**, i tylko i wyłącznie **ona** ma wszelkie prawo głosu. Nikt inny poza nią nawet o tem marzyć nie powinien, cóż dopiero rościć sobie tego rodzaju pretensje." A jeśli, „uroiwszy" sobie takie prawo głosu, przemówi, wówczas zgóry na pewno nie ma racji. Niema się co na podobne pretensje oglądać! Guarda e passa! Spójrz i przejdź mimo! Wogóle nie patrz, nie zwracaj na to uwagi!

Gdyby taki sposób patrzenia na rzeczy cechował istotnie stolicę katolickiego świata i wszystkie od niej zależne organa hierarchji, wówczas z bólem i wstydem należałoby wyznać, że pycha Rzymu jest wyraźna i jest nadto — katastrofalna! Co bowiem czyni człowiek, który się odcina od kulturalnych zdobyczy swoich czasów? Co czyni człowiek lub organizacja, odgradzając się od zetknięcia z sądem ludzi, stojących wysoko pod względem umysłowym? Skazuje się na wyjałowienie, ciasnotę pojęć, wysnutych z własnego tylko egoizmu, na zanik wyższej inteligencji. A faktycznie już oddawna Kościół jest o to obwiniany. Ciasnota, zacofanie, obskurantyzm stały się w wielu ustach dosłownie synonimami Kościoła.

A czy na całej linii niesłusznie?

Tak się twierdzi ze strony katolickiej. Ale czy rzeczywiście poglądy sterników kościelnej nawy są zawsze tak szerokie, jak natura duszy ludzkiej, mocą Nieskończonego dźwignionej? Czy istotnie w każdym calu czynniki kościelne widzą jasno, zwłaszcza najjaśniej? Czy żadna krytyka wobec nich nie ma podstaw, nie ma racji? Czy bez wahania, najpierwsze i zawsze, wycofują się z tego, co się przeżyło w wiekach i ludach, co chociaż wczoraj było czynnikiem życia nieodzownym, dzisiaj jest już zawadą? Czy Kościół naprawdę nie namnożył tych zawad w świecie w przeciągu dwu tysięcy lat swego istnienia? Oto pytania nad którymi warto by się głębiej, uważniej zastanowić, a nie przechodzić nad nimi z lekkim sercem do porządku dziennego. Wiadomo bowiem że biada temu, kto zawady na terenach dusz pozostawia w świecie. Biada jednostkom, biada tym większe jednostkom ukoronowanym, biada najstraszniejsze jednostkom ludzkim, noszącym potrójną koronę!

Spróbujmy zatem wyświetlić ten zarzut pychy, utrzymujący, że „Rzym chce zawsze mieć ostatnie słowo” i że „nikomu nie pozwala sobie nic powiedzieć”, nie uznaje krytyki, skierowanej przeciw sobie. Niechaj mówią najpierw ci, co twierdzą, że tak. Pozwólmy im wypowiedzieć się najswobodniej.

Otóż — mówią — karygodną najpierw aż do oburzenia, aż do zgrozy w dziejach Kościoła katolickiego jest rzeczą odgródzenie się murem

chińskim od krytyki postronnej. Ze zdaniem inowierców, z opinią tak zwanych „heretyków” Kościół się już zdawien dawna wcale nie liczy. Nie troszczy się wogóle o to, by ich sądy spokojnie i przychylnie rozpatrzyć i dużo nieraz im przyznać racji, choćby się przytem sama kurja i hierarchja i nawet papież musieli w piersi uderzyć: mea culpa. Tak się nigdy nie czyni. Rzym — zawsze nie winien. Zawsze dwór papieski, stojący u steru, wychodzi z afery w aureoli: il santo! Przypomina się gminne powiedzenie żołnierskie: „Pan kapitan zawsze ma rację, bo jest pan kapitan”.

A jakie stąd rezultaty? Skutków stąd wynikających nie można nie widzieć. Najpierw w praktycznym zakresie życiowym Rzym z zaciętością żyda „hassydy” odseparowuje się od inowierców i heretyków — nietylko na terenie religijnym, bo to możnaby darować: masz swoje zdanie, my mamy swoje. Czytając normę postępowania katolików na całej kuli ziemskiej, kanyony nowego prawa kościelnego, zwłaszcza jego piątą księgę, gdzie o tem szczególnie jest mowa, czytelnik uważny odbiera wrażenie, że czyta wyjątki przedrukowane żywcem — z Talmudu! Ten sam duch, co tam, wieje poprzez stronicę księgi „prawa miłości” pod adresem inowierców. Aż dziw, że nie użyto jeszcze dla nich nazw zapożyczonych z Talmudu: nuchr, goj, akum... W XX wieku po Chrystusie jest się wprost oszołomionym! Jakby dusze tych ludzi były niczem innym, tylko kompletnym stekiem

głupoty, zła, grzechu, zbrodni! Jakby to był materiał zatracenia na wieki! Jakby te dusze przestały zgoła należeć do „Ojca naszego, który jest na niebie...” Zabiera im się brutalnie nadzieję posiadania Boga i knutem kar chce im się przywrócić Jego słodką miłość. Wylewa się całe beczki octu cierpkich jak cierpkość sama zarządzeń, a o kropli miodu dla ich przygarnięcia na łono prawdy — ani słowa. A ceremoniał pojednania heretyków z Kościołem? A sposób ich traktowania?! Zostawmy go bez zmiany i dajmy mu napis: „Tak przyjmowano zbiegłych niewolników w epoce Rzymu Cezarów...”

Przypuśćmy, że się ich uważa za drachmę zgubioną, za owcę zbłąkaną. To czyż Kościół katolicki dorósł w swem postępowaniu z nimi do wyżyn ewangelicznej niewiasty, poszukującej pieniążka, do troskliwej pieczołowitości i delikatności ewangelicznego pasterza, który nie wprowadza w grę kija i nie szarpie runa, ale na usługi swego „bydlątka” głupiego oddaje ramiona własne?... Przypuśćmy, że się ich uważa za synów marnotrawnych. To czyż ci synowie, marnotrawcy wiary i jej skarbów, nie znajdują nigdy ewangelicznego przyjęcia? Ni cielca tuczonego, ni ucztę radosnej, tanecznej, ni ramion otwartych ojcowskich, ba, macierzyńskich Kościoła? Czyż wiecznie nad ich głowami, ze stulecia w stulecie, z rabinistycznym zgrzytem wypowiedane będzie: anathema! Inaczej w Ewangeliji żegnano, inaczej witano z powrotem i drachmę i owcę i marnotrawnego syna.

A Kościół się chełpi, że jest wcieleniem żywym Ewangelji! Takim istotnie być powinien. Ale tymczasem zdawałoby się sądzi, że ludzie, którzy nie podzielają jego przekonań, którzy — powiedzmy najjaskrawiej — a **limine**, bezwzględnie odrzucają nadprzyrodzoność, już na zawsze wyzbyli się ostatniej szczypty naturalnego, zdrowego rozumu i przyrodzonej uczciwości. Cały zaś rozum i całą uczciwość posiadał Rzym hierarchiczny w swych przedstawicielach. I może pozbawiać kogo zechce, tronów ziemi, tronów nieba...

Nie uchylajmy kart historii! Rzućmy zasłonę milczenia na tę „całą uczciwość i całkowity rozum“ Rzymu. I na sędziowski najwyższy majestat sterników sumień świata, którzy się czuli **ponad** sądami motłochu. Zapomnijmy o tem, że dopiero Bóg czy djabeł musiał wkraczać w dzieje drogami nadzwyczajnymi. I wywieszać krwawe sztandary — wolności, i nożem gilotyn i pożogą rewolucyj torować drogę braterstwu i tolerancji, bo na drogach zwyczajnych, drogach Ewangelji, miejsca dla nich nie było. Dopiero plugawym szatanom Dantonów i Robespierrow musi ludzkość zawdzięczać przeforsowywanie „praw człowieka“ w dziejach, bo sług Ewangelji na to nie stać, bo ich ewangelja o tem milczy.

Zapomnijmy o tem! Powtórzmy im tylko i ich **kodeksowi** raz jeszcze przypowieść o synu marnotrawnym. Przypomnijmy im wszystkim, od dołu do góry, że **niewiara nie jest zbro-**

dnia, ale błędem, który da się naprawić, jednak nigdy ekskomunikami, wycofaniem łaski... Mniej pałki, więcej miłości! Czyżby nie chlubniej i nie korzystniej było dla Kościoła w stosunku do ludzi innych przekonań wznieść się na stanowisko chwalebego Chrystusa, który dla Szawła z Tarsu, niedowiarka i prześladowcy, ma w drodze do Damaszku dziwną, ale to dziwną ekskomunikę: „Szawle, Szawle! Czemu mię prześladujesz?” Zaiste! Od tego dnia powinna się była w Kościele złamać pałka, zacząć tolerancja.

To jeden z rezultatów pychy Rzymu — a inne?

Stanowisko takie zaślepia. Jednostka, a tem więcej organizacja, odcinając się od zewnątrz, skłania się do adoracji samej siebie. Adoracja ta zakreśla coraz szersze, coraz dalsze kręgi. Z terenu swych przekonań na teren swych zarządzeń, z terenu bożych prawd ścisłego dogmatu, swej nieomyślności, na teren administracyjny, potem liturgiczny, moralno-prawny, państwowy, pedagogiczny, społeczny... Wszędzie ma się ostatnie słowo, zawsze jest się „nieomyślnym” — *Dei et apostolicae sedis gratia*. Nawet niekiedy w potocznej rozmowie na najcodzienniejsze tematy. — A sfery katolickie, czy niekatolickie wobec takiego postawienia kwestji, wobec „*Roma locuta*” jak się mają zachować? Wobec sądu z Rzymu, wziętego ściśle, czy też Rzymu rozcieńczonego na metropolje, diecezje, parafje — wierni mają tylko je-

dno do zrobienia. Ich obowiązki ujmuje klasyczna formuła: „maul halten!“ znana w Berlinie i „mołczat' i słuszat'!“ — w Leningradzie.

A dalsze rezultaty?

Stanowisko takie każe coraz bardziej przeoczać tę prawdę, że i Kościół nauczający, z ludzi ograniczonych, z ułomnych ludzi złożony, powinien się także uczyć i także dać sobie zwrócić uwagę na błędy. A uczyć się powinien dużo, bo ma nauczać „wszystkie narody“, a uczyć gruntownie, wszechstronnie i głęboko, bo nauka jego ma być światłem w ciemnościach, ma iść i obowiązywać całą ludzkość, przyszłe wieki. Dziś, zasadniczo rzecz biorąc, w krajach cywilizowanych nie powinno być księdza bez uniwersyteckiego wykształcenia. Dziś bowiem w najbardziej zapadłej prowincji jest zazwyczaj pan doktor — z dyplomem uniwersyteckim — jest pan mecenas, pan profesor, pan inżynier, pan dziedzic, mający również studia uniwersyteckie i jest ich „mistrz i nauczyciel“ w zakresie prawdy najwyższej ksiądz proboszcz, dziekan, kanonik, nie mający niekiedy ukończonego gimnazjum. — Odjąć im trzy czwarte brewjarza, a dodać trzy czwarte ksiązek naukowych i studjów! Uczyć się muszą nauczyciele ludów!

A nauka nie może być wszechstronną, jeśli uczący się nie ma tej pokory, by prawdę uznać, gdziekolwiek ona jest. Choćby pochodziła z ust niemowląt i ssących, choćby ją brać należało od szatana! — bo i on naturalnego rozumu

także się nie wyzbył. Tymczasem! Czyż nie dróg separatyzmu i ciasnoty trzymają się studja Kościoła? Jego uczeni, adepci jego wiedzy, często nie mają „zielonego pojęcia“ o najelementarniejszych zagadnieniach nauk współczesnych.

To też stanowisko takie pysznej nieomylności we wszystkim, (chociaż omylność przez wszystkie diury wyłaził) odstręcza od Kościoła urzędowego, nauczającego, ludzi o głębszej kulturze umysłowej, o rzetelnej duszy. Widzą oni wprawdzie po głębszem zbadaniu rzeczy, że katolicyzm ma w swem ręku skarby bezcenne — ale cóż! Jak się tu zbliżyć do tej śmiesznej kliki pyszałków „*Dei et apostolicae sedis gratia*“? Jak się od niej zwłaszcza uzależnić w sumieniu?! To też umierają opuszczeni na swoich worach złota, jak parwenjusze, jak skąpcy — samotni, lub conajwyżej skupia się koło ich ołtarzy — miernota!

Wskutek takiego stanowiska następnie Rzym odcina sobie, t. j. hierarchji i wiernym korzystanie z nader wielkiego zwierciadła, w którym mógłby się przejrzeć dokładnie, czy dotąd „stał się wszystkim dla wszystkich“? Czy tem, co robił i robi, pozyskuje, pozyskać może wszystkich? Bo nader często zdarzyć się może, że mieć będzie najlepszą „dobrą wolę“, ale wykonanie nie dopisze. Zamiast realnej korzyści uszlachetnienia świata, dzwignięcia go na górne poziomy Bóstwa, wypadnie w rezultacie — niedźwiedzia przysługa. On sam tego nie

dojrzy. Nikt bez lustra nie widzi swego wyrazu twarzy. Lustrem, kontrolującym jego postępowanie, mogą stać się najlepiej ci, dla których on działa. Ale cóż! Kiedy kto Rzymowi i hierarchji zwróci uwagę na niewłaściwość postępowania — nie raczą go nawet wysłuchać, jako głupca, natręta, albo parszywej owcy heretyckiej, która znać nie chce subordynacji. Stąd nic dziwnego, że przywitany tak — obelgą zamiast podziękii — niekiedy przyjacielski głos traci wszelką ochotę wołać nadal. Albo milknie, jak kardynał Boromeusz, zdecydowawszy żywą wiarą, że Bóg przyjść musi z pomocą drogami nadzwyczajnymi, — albo się zachnie pod adresem „pyszałków“: „niech parszywieją dalej w swej doskonałości“ — i także umilknie, — albo wcale nie umilknie. Podrażniony będzie szykanował zdaleka, prawda, czy fałsz... A gdy mu kto powie, że nie zna dobrze terenu, że na domysł gada, że przeholowuje i kłamie, rzuci w odpowiedzi patetyczną uwagę: „Tęgo gniazda szerszeni zbliżka tknąć nie można. Trudno przekonać się naocznie o prawdziwej jego zawartości.“

Czyżby zatem Rzym wcale nie znał rozumnej krytyki?

Muszę pod tym względem częściowo sprostować sąd kardynała Boromeusza. Rzym nie jest pozbawiony **autokrytyki**.

Zwołuje więc raz wraz Sobory, rozstrzyga na nich i prostuje krzywizny swego postępowania. Operacje tego rodzaju bywają bardzo nie-

kiedy bolesne. On się jednak przed niemi nie cofa. Przeprowadza je, mimo syku i jęku operowanych, z powodzeniem. Owszem, posiadając w swem ręku stałą, zorganizowaną i karną władzę pasterską, mocą samej zależności trzymając w karbach te czynniki, które na terenie religijnym idąc samopas, byłyby raczej czynnikami rozkładu, niż ładu. Hierarchja, oparta o zasadę sprężystości rządu, już sama przez się może być źródłem poprawy stosunków. A to wskazuje, że nie tylko drogami nadzwyczajnymi, ale i drogami zwyczajnymi leczy Duch Boży jego przywary, grzechy i błędy. Nie jest Kościół bynajmniej nieuleczalnym, choć podlega różnym chorobom. Choć ma na ciele swem wrzody, niekiedy straszne, bo w owrzodzonej straszliwie ludzkości działa, nie jest bynajmniej „największym wrzodem świata”. Niesłusznie chcą go tak nazywać niektórzy, przez nazbyt czarne okulary patrzący na „światłość świata”. Bujne soki zdrowia i życia, wlane w jego żyły przez Ducha Bożego, częściowo dzięki rozumnemu „zacofaniu”, „konserwatyzmowi raz zdobytej prawdy”, nurtują w nim po dziś dzień. Dowodem tego — sam rozmach żywotny Kościoła, zakreślany wciąż na wszechświatową skalę.

I nie brak przytem owym sokom pieczołowitej ręki ogrodnika. Każdy katolik „z przekonania” pracuje nad uszlachetnieniem swego umysłu, uświęceniem serca, wzrostem duszy „w łasce u Boga i u ludzi”, jak pracował pierwszy

katolik w Nazarecie. Praca taka dźwigać musi zbiorowość. Kultura duszy jest duszą kultury Kościoła. To też uroczystości beatyfikacyjne i kanonizacyjne dusz wybitnie świętych nie należą wcale do rzadkości. Mało tego. Pracuje tysiące piór i tysiące głów w zakresie autokrytyki stosunków kościelnych. Zawsze znajdują coś do poprawienia. Wzmacniać się musi autokrytyka zwłaszcza dziś, kiedy Kościół coraz bardziej zdaje się żyć pod znakiem rekolekcji. Autokrytyki więc naogół nie brak.

Ale wyszkolona bystrość spostrzegawcza naszych czasów odnajduje w tej autokrytyce dwie potężne wady, na które ona niemal umiera. Pierwsza i może główna wada polega na tem, że autokrytyka zawsze była, jest i będzie tylko jednostronną, nadto, że jest dla siebie nadzwyczaj łaskawą... Łaskawą aż do rozpaczki! Przez francuskie rękawiczki z chińskiego jedwabiu karać się będzie do końca świata! Autokrytyka w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto raczej rany wcale nie dotknie, byle nie musiała syknąć z bólu przy opatrunku. — Powtóre, autokrytyka w Kościele katolickim jest jednostronna nie tylko nazewnątrz, ale i **nawewnątrz**. Krytykuje bowiem i do poprawy nagania hierarchja wiernych, — a kto skrytykuje, kto napędzi do poprawy hierarchję? Chyba tylko ona sama siebie, bo wiernym droga do krytykowania hierarchji — zamknięta!

Jakto zamknięta?

Na cztery spusty i na wszystkie zamki.

A co mówi „cenzura“ w znaczeniu książkowym, „cenzury“ w znaczeniu prawnym?! Niechno która z owieczek odważy się beknać na swego pasterza! Zaraz poczuje, że ma na grzbiecie wełnę nie pancierz! Czyż to nie charakterystyczne dla stosunków w łonie katolickiego społeczeństwa? Rzym i hierarchja trąbi wciąż na cztery rogi świata, że jest ulepiona z gliny, że się rekrutuje z ułomnych ludzi, a prosię tylko podać do gazet jakąś „ułomność“ jakiegoś dygnitarza kościelnego! Nawet umotywwać źródłowo swój krok! Nie mówię już o biskupie Rzymu, o jego nuncjuszach, posłach, ect., ale zwykłego biskupa. Co będzie?

Dawniej — inkwizycje — Torquemada *) — a dziś? Dzisiaj też inkwizycja, tortury, tylko w duchowem znaczeniu. A jakież umotywwanie takiego kroku ze strony hierarchji? Powiedzą: „Targnął się na świętość!“ — Zapomną o glinie i ułomności. Aż doprawdy wstyd, że zamiast podzięki za zwrócenie uwagi swoim ludziom na ich ludzkie błędy i braki, hierarchja płaci oburzeniem i szykaną kościelno-prawną, której na imię cenzura. Wstyd zaiste, że pewne książki, zawierające pewną gorzką prawdę, pod pewnym adresem, — muszą być palone wpierr jeszcze, zanim zostaną napisane. Wielu bowiem katolików — duchownych i świeckich — choć widzi zło, jednak „dla świętego spokoju“ woli siedzieć cicho, sprawy wogóle nie tykać, bo...

*) O czem osobny rozdział.

za mocno pachnie. Chcą uniknąć nieprzyjemności, podejrzeń o herezje, nieprawomyślność i t. p. piękne kwiatki, gęsto rosące na niwie zadraśniętego egoizmu —przepraszam — autoritetu hierarchji. Katolicy drżą przed widmem cenzora z krzyżem prałackim na piersiach. Doprawdy, żeśmy jeszcze nie wyrosli z epoki Kaliguli i Nerona. „Crimen laesae maiestatis“ trwa w swej mocy i nahaja jest nieśmiertelną!

Taki stan rzeczy drażni ludzi gorętszego temperamentu. Podrażnieni nie umieją zdobyć się na potrzebny dla obiektywizmu spokój, na bezstronne rozpatrzenie sprawy. Jeśli ją poruszają, to walczyć będą „ogniem i mieczem“. Nazwalają na karb Kościoła tyle wad, grzechów i brudu, że sam najczarniejszy szatan obruszyłby się na takie inkryminacje! A ciasno widzące oczy ludzkie — te już zupełnie nie potrafią dojrzeć z poza tych rupieci blasków łaski i prawdy, jakie się kryją w duszy Kościoła. Potem inkryminatorzy sami w swe oskarżenia na całej linii uwierzą — rzucają to Rzymowi w twarz z dogmatycznym gestem nieomyślności—Rzym oczywiście zarzutu w takiej postaci uznać nie może — i historia jednej owczarni wszystkich ludów notuje na swych kartach nową herezję...

Zazwyczaj...

I poco ta „pycha“ urzędowego Kościoła? Pycha, której się „hierarchja“ narówni ze wszystkimi wiernymi na chrzcie św. uroczyście wyrzekła?

Czy nie lepiej było dostosować postępo-

wanie swoje — na całej linii — do wzoru Chrystusa. On swego czasu głośno wołał: „Si' veritatem non dico vobis, nolite credere mihi!“ A kiedy indziej oświadczył uroczyście żołdakowi: „Si male locutus sum, testimonium perhibe de malo...“ Oto rzetelność „najświętszej“ duszy — założyciela Kościoła. Oświadczył gotowość wysłuchania, byle udowodnionych, zarzutów i nawet zarzutu kłamstwa. Nie zasłaniał się tem, że On jest „Prawdą“, „Mądrością Wcieloną“, chociaż był.

I czyby Rzym lub hierarchja straciły na tem, gdyby z Watykanu powtórzono rzetelnie za Zbawicielem te dwa słowa: „Si veritatem non dico vobis, nolite credere mihi!“ — „Testimonium perhibe de malo!“

Stawiając atoli zarzut, że Kościół nie da sobie w pewnych razach nic powiedzieć, należy zdawać sobie jasno sprawę dlaczego. Niezawsze pycha odgrywa tu rolę. Kościół posiada dwa patenty na to, żeby bezwzględnie stać przy swoim słowie, żeby „iść na wszystkie świat nauczać wszystkie narody“, zobowiązując je do posłuchu. Jeden to patent prawdy bożej, powierzonej mu przez Jezusa Chrystusa, drugi — to patent wiedzy i nauki ludzkiej, jaką sobie zdobył przez wieki, gdy wszystkie głowy poza nim spały, jaką zdobywa dziś pracowicie i zdobędzie w przyszłości.

Na mocy pierwszego swego patentu Kościół ma najświętszy obowiązek przechować w nieposzlakowanej całości powierzony swej pieczy

skarbu wiary. Sprzeniewierzyłby się swej misji: „depositum custodi” — gdyby tu chciał być „pokornym” i nie zdobył się na dwa, niemal sakramentalne słowa: „Non possumus!” Nie wolno mu na krok cofnąć się z terenu prawdy objawionej. I można Kościoła Chrystusowego nie uznawać, ale nie można żądać od niego, by przestał być Chrystusowym.

Atoli — uwaga dla czynników kościelnych — nie trzeba mniemać, że sądy inowierców, dotyczące tego terenu, będą zawsze przeszkodą w katolickim myśleniu, będą „herezją”, nonsensem. Może niekiedy tak, ale nie zawsze. Bardzo często, zwłaszcza, gdy są poważnie sformułowane, okażą się negatywnym, ubocznym oświetleniem prawdy, z nowej, żywej po ludzku strony. I dlatego wynikająca z pokory uprzejmość, chętne i uważne ucho na każdy zarzut także w tej dziedzinie, wypowiedzany szczerze i poważnie, przez „heretyków, inowierców” — nie przyniesie wcale uszczerbku ani katolickim dogmatom, ani tem bardziej katolickiemu dobremu wychowaniu, które hierarchja, hierarchja przedewszystkiem, nareszcie osiąść powinna. Grzeczność, uprzejmość — nigdy nikomu nie zaszkodziły, natomiast wiele piorunów ściągnęła na strop Watykanu osławiona „grubianitas atque chłopotudo” kleru.

Najlepiej usposabia serca i umysły — uprzejmość. Krańcowy przeciwnik i wróg zaklęty naszych poglądów, uprzejmie potraktowany w słowie, czy piśmie, powie nam prawdę chę-

tnie, życzliwie a bez przesady, bo spokojnie i również uprzejmie. Przyjęty zaś pogardliwie: „heretyk! pan nie masz pojęcia” — odejdzie urażony i zatnie się, albo, jeśli nie posiada wyższej kultury ducha, plwać pocznie na mury Watykanu. A mówił doświadczony Wolter, że w umysłach łatwowiernych „z tego zawsze coś zostanie”.

Pozwolę sobie mimochodem przypomnieć grzeczność, uprzejmość i szerokie horyzonty widzenia w stosunku z uczonymi, jacy nawiedzali bibliotekę Watykańską, grzeczność ujawnioną przez niedawnego prefekta tej biblioteki... Czyżby tak nie mógł postępować cały, hierarchiczny kościół? Wszystkie jego instytucje i biura? Potem wszystkie zakrystje, plebanje, konfesjonały i ambony? A potem szkoły wszystkie i uczeni? I uczeni prawnicy i — daję osobną linię —

I kodeks praw?

Przyznam się, że jest to dla mnie zagadką nie do rozwikłania. Czoło hierarchji, tego okrzyczanego Rzymu, składa się dziś niemal wyłącznie z Włochów, ludzi przysłowiowo grzecznych. Czemuż oni tę cechę zatracają w systemie profesjonalnym swych ksiąg, biur, aktów, ustaw, kancelaryj? Czyżby tu od dziewniętnastu wieków działało prawo dziedziczności? Spuścizna po faryzejskim, plwającym i przeklinającym, duchu synagog, cheremów, kamienowań?

Najwyższy czas w to wejrzeć!

Czas wejrzeć tem bardziej, gdy chodzi o teren, jakie Kościół ogarnia, nad którymi chce dominować na mocy patentu mądrości ludzkiej. O, tu przestronne miejsce dla pokory! Tu nic nie pomoże powoływanie się na swe posłannictwo z góry. Tu „z chłopca król” nie otrzyma królewskich honorów. Tyle tu znaczy osobista powaga, co osobista wartość. Należałoby chyba ogłosić nowy dogmat nowego Soboru Watykańskiego, że na terenie prawd przyrodzonych „im więcej a mądrych głów, tem więcej światła”.

Kończę. Kościół katolicki z woli Założyciela swego jest dla wszystkich dusz, dla wszystkich ludów. Znają go dziś wszędzie, na ostatnich krańcach globu. Nie przez genjuszów rządzone, ale przez zwykłych śmiertelnych ludzi, omylnych i ograniczonych, niechaj **na terenie ludzkim**, na którym każdej chwili się obraca, nie leka się jak najpełniejszego, jak najjaskrawszego światła. Za zadanie sobie przecież stawia usuwać z ziemi wszelki błąd, wszelkie zło. Steruje nim z Rzymu namiestnik pokornego Chrystusa. Ku niemu zwracają się wszystkie oczy, czekają aktu pokory. Niechaj pozwoli, aby każdy, dla kogo drogiem jest Imię Chrystusa, mógł się wypowiedzieć otwarcie, poważnie, bez szkan hierarchji — szczerze a bez ogródek o brackach współczesnych Kościoła. W czem niedopisuje wobec zbolątych serc dzisiejszych ta „mater gentium, magistra mundi” — matka ludów, mistrzyni świata. Czego chcą od niej na

przyszłość jej dzieci? Niechaj przemówią, mając pewność, że zostaną wysłuchani — wszyscy. Swoi i obcy, bliscy i dalecy, heretycy, inowiercy czy poganie, kapłani i wierni, nauczający i nauczany Kościół. Walczymy wszyscy o prawdę.

Podobna ankieta nie wyszła dotąd z murów „pysznego” Watykanu. A gdyby wyszła, zadając kłam zarzutowi, zgromadziłaby materiał przeobfity na przyszły Sobór Watykański.

A czyby to nie zaszkodziło Kościołowi?

Nie zaszkodziło mu otworenie biblioteki Watykańskiej, lecz rozświetliło wiele, bardzo wiele. Nie zaszkodzi prawdziwie otworenie tej niezmiernej biblioteki żywej — umysłów, serc i dusz, — w których daleko wierniej niż na pergaminach spisane są dzieje Kościoła. Warto zobaczyć i sprawdzić, czy są to istotnie w każdym calu. —

Gesta Dei per Romam.

WIEZY DOGMATU.

Myśl rządzi życiem. Za myślą, zbudzoną w głowie człowieka, postępują jego zamiary, chęci, słowa, czyny. A z tych splotu i powiązania układa się całokształt życia jednostki.

Myśl rządzi życiem i na terenie narodów, — dziś, wczoraj i przez wszystkie wieki. Nawet w zjawiskach najbardziej nieskoordynowanych, najbardziej odruchowych, gdzie myśli wyraźnej nie widać, życie narodów szło za **jakąś** myślą, tylko, że rozbitą na tysiące załamów, stąd nieskoordynowaną w sobie, niewyraźną, niejasną, taką, jakimi były głowy, których ona była emanacją.

Ale nie tylko myśl rządzi życiem. Rządzi niem i urządza je to, coby nazwać można arytmetyką myśli. Myśl do myśli dodana, myśl przez myśl pomnożona, zwielokrotniona, myśl podzielona przez inne myśli, uszczuplona przez ich odjęcie. Im szerzej, ściślej, intensywniej stosuje się tę arytmetykę myśli, tem szerzej, potężniej i wszechstronniej kształtuje się i rozwija życie jednostek, życie państw, życie dusz ludzkich i życie ludów.

To też nic dziwnego, że walka o przekonania, poglądy, myśli, ćwiartuje glob ziemski od początku. I nic również dziwnego, że Kościół

katolicki posiada najbardziej nieubłaganych wrogów na terenie myśli — dogmatu. Pycha — mówią — deprawuje jego postępowanie nazewnątrz, w stosunku do ludzi, ale to dlatego, że nawewnątrz deprawuje go myśl strupieszająca dogmatu. I niepodobna nie widzieć. Współczesny świat umysłowy za największą winę Kościoła wobec prawdy w narodach uważa to, co się powszechnie nazywa „strupieszalnością form myślenia“, i „więzami dogmatu“.

Pragnę być dobrze zrozumianym. Zaznaczam, że są to dwie różne rzeczy, nie jedna. Strupieszalność form myślenia — co innego, więzy dogmatu — co innego, chociaż dotyczą tego samego terenu — dogmatycznej myśli Kościoła.

Cóż więc rozumie świat umysłowy przez „strupieszalność form myślenia“?

Każdy, człowiek, czy naród, dla wyrażenia swych myśli posługuje się jakimś słowem, jakimś językiem. Słowo, język — to są formy ludzkiego myślenia. Zmieniają się te formy w miarę tego jak zmienia się człowiek, zmieniają jego myśli. Różny jest język u różnych narodów, różny jest u jednego i tego samego narodu w różnych czasach. O tem samym mogą np. myśleć polak, francuz i chińczyk, ale każdy z nich inaczej to wyrazi: jeden po polsku, drugi po francusku, trzeci po chińsku. Owszem, różnie wyraża swe myśli jeden i ten sam naród. Polacy z różnych stron Polski niekiedy się nie rozumieją. My dziś nie rozumiemy już niektórych wyrazów, jakimi w życiu potocznem po-

słугiwali się przodkowie nasi. Myśl bowiem ludzka, jedna i ta sama, da się wypowiedzieć w tysiącach **słownych form** myślenia.

Ale oprócz **słownych** form myślenia, myśl ludzka posiada na swe usługi tysiące sposobów, **metod**, jakich używa, by dobrze, dokładnie i czarująco wypowiedzieć swą treść. Myśl ludzka stroi się i ozdabia jak kobieta, która stara się być **przyjemną**, aby być łatwo i chętnie **przyjętą**. Wszystko bierze do swych metod, które są, jak i język, różne u różnych ludów, różne w różnych epokach. Śpiew, muzyka, technika, architektura, kwiaty i ozdoby sal, na których ma być „myśl“ podawana, dostrajają się z postępem czasów do coraz **przyjemniejszego**, bardziej **kulturalnego** tonu, aby myśl tem przyjemniej, milej została przyjętą.

Otóż strupieszczość form myślenia polegała by na tem, że Kościół katolicki, podając światu myśli religijne, boże, nie stara się we właściwej mierze, by były podawane ludom: w odpowiedniej **formie słownej** i odpowiadającą im metodą.

Czy taki zarzut można postawić Kościołowi katolickiemu? Przecież jego misjonarze od dnia Zielonych Świątek w Jerozolimie do każdego narodu przemawiają jego językiem! (Liturgia w jednym języku łacińskim będzie osobno omówiona w części drugiej tej pracy w nagłówku: Rzym uprawia dewocję.)

Tak, to prawda. I osobną chwałę zapewne przygotuje Jezus Chrystus dla tych, którzy zapominając nieraz swego języka, uczą się najmo-

zolniej języka krajowców, dla tych, którzy piszą pierwsze słowniki i zapoczątkowują literaturę wśród dzikich. Pod tym względem prawie na całej linii zrozumiał Kościół lekcję „języków“, daną sobie przez Ducha Bożego w dzień Świąt Zielonych. Ale czy zrozumiał lekcję „ognia“ i szum gwałtownej, wstrząsającej Wieczernik „wichury?“ Czy pojął lekcję **najodpowiedniejszych metod**, zastosowanych do każdego kraju, każdego stanu, każdego wieku, każdego człowieka? Tu, zaiste, szerokie triumfy święci strupieszność, posługiwanie się niewłaściwymi sposobami w ewangelizacji.

Strupieszność form i metod myślenia! Ileżby się dało na ten temat powiedzieć! Zwłaszcza uwzględniając tę najprostszą zasadę, że do dziecka nie można przemawiać językiem dzieł Arystotelesa, bo nie zrozumie, a nie można profesora uniwersytetu chcieć uczyć, stosując manierę i sposób wysłowienia lokajów! Szkoda wysiłków daremnych! Nieokrzesałą głowę i słowo rychło się wyprosi z kulturalnego grona. I na nic się zdadzą biadania i żale, wypowiedane pod adresem społeczeństwa: „My przecież im słowo Boże niesiemy!“ Ale w jakiej formie? Nie wolno bezcennej, zamorskiej potrawy podawać na niemytym i ordynarnym półmisku! Nie można w zabłoconych chłopskich butach wejść do wykwintnego salonu! — Kiedy słowem czy piórem zamierza Kościół w osobie swych przedstawicieli wejść do salonu współczesnych dusz, kiedy słowem czy piórem niesie na ich stoły po-

karm prawd zaświata, powinien dobrze się przypatrzeć formom swego słowa, formom swego myślenia. Ileż bowiem braków na tem polu! Ilu to możnaby wymienić autorów, chodzących nawet we fioletach, przepasanych purpurą, odznaczonych różnemi emblematami dobrej marki w Kościele, — O. S. B. — S. J. — O. F. M. — O. M. C. — i setek innych, którzy mówią i piszą, jakby literatura i kultura nasza była dopiero w zawiązkach, albo conajwyżej stanęła na wieku XVII! I ani krokiem naprzód! Czy dusza, dla której się ewangelję przynosi, podpisuje się krzyżykiem, czy śpiewa „Czego chcesz od nas Panie“, czy łka i bluźni pod nadmiarem bólu, myśli i uczuć swoich dni w Hymnach np. Kasprowicza — głosi jej się dobrą nowinę wiary jednakowo. I nie w tem leży wina, że **to samo**, bynajmniej, ale w tem, że **tak samo**.

Strupieszalność form myślenia! Zastarzałe metody!

Zbawiciel swego czasu wybrał do opowiadania Ewangelji dusze i umysły prostacze, ale ich nierozgarnięcie ludzkie uzupełnił takimi skarbami Bóstwa, że odtąd nie może być więcej wątpliwości, **jakimi** powinni być głosiciele i **jak** mają głosić dobrą nowinę prawdy objawionej światu. W prowincjonalnych synagogach żydowskich inaczej, wobec Areopagu inaczej, inaczej w domu Korneljusza czy Pudeusa, inaczej wśród zaułków Subury. Czy z daru Ducha Świętego, czy z własnej nauki Kościół dorość musi do wysokości umysłowej swego środowiska,

swoich czasów. Albowiem i Słowo Boga, którego Majestat nad gwiazdami, jeśli je z głupoty czy niedbalstwa przybierze w ziemskie łachmany, będzie zatrzymane na progu złożonych drzwi świata.

I doróść musi Kościół — podkreślam to — do wysokości zrozumienia **metod** swoich czasów, metod, któremi się te czasy lubią posługiwać przy nauczaniu samych siebie.

„Onego czasu”, gdy powstawała wiara, mniej było ludzi, mniej środowisk ludzkich, mniej słów — i więcej ważyło słowo. Słuchano go chciwie, na rynkach, ulicach, po drogach. Zrzeszano się szeroko, by słuchać kazań. Z rąk do rąk, jak skarb prawdziwy, podawano listy do całych gmin pisane przez Apostołów. Dziś jakże się metody zmieniły! Nastąpiła gęstwa ludzi, gęstwa zawrotna słów, gęstwa pism i druków. Ulice każdego większego miasta pełne różnokolorowych ogłoszeń, odezwo, manifestów. Sprzykszyło się ludziom, pisane czy mówione, słowo, zwłaszcza o ile nosi na sobie cechę „kazania”. Przyjacielska, poufna wymiana myśli i zdań w dobranem gronie; odczyt na temat, z dyskusją połączony; prosty, bez żadnego przystrajania się w majestatyczne „togi”, byle przyzwoity strój u prelegenta, wykwiłtnie natomiast umeblowana głowa — oto, co stanowi przedmiot upodobania naszych, zarażonych dwudziestowiekową kulturą czasów. Jeszcze w XVI wieku można było „prawić” po trzy godziny kazania bez obawy znużenia słuchaczy,

i mógł Ignacy Loyola kazać zachwalać „długie nabożeństwa” po takich kazaniach, a mimo to szedł na nie z chęcią i pan i cham. Dziś coś podobnego, nawet na zapadłej prowincji, wprost nie do pomyslenia. Społeczeństwo się segreguje według stopnia kultury umysłowej. Dziś umysły intelektualnie wysoko stojące albo nie potrzebują, albo nie zgodzą się na pobieranie nauki religijnej w formie kazań, zwłaszcza długich, gdy stać trzeba godzinami w zimnym kościele, lub siedzieć w ławce brudnej, od której obuwie się wala, cóż dopiero ubranie! Zgodzą się natomiast na rozumną, interesującą wymianę myśli, w pięknie urządzonej i z wykwintem sali, dobrze wentylowanej latem, ciepło zimą ogrzanej, z garderobą do usług gości — na jakąś godzinę, dwie, jeśli temat specjalne obudzi zainteresowanie. „Zwykle”, przeciętne bardzo słowo boże dziś nie wystarcza, zwłaszcza wygłaszane „ex cathedra”, niedopuszczające dyskusji, czy mówiący ma rację, czy jej nie ma. Przenigdy! Na to się „jutro” stanowczo nie zgodzi, choćby „dziś” tu i tam wyrażało zgodę.

Znam programy nauk w seminarjach duchownych, wiem, że uczą się klerycy głoszenia kazań. Nie spotkałem programu, któryby uczył zarządzania i prowadzenia prelekcji. Tu i tam po diecezjach prywatna inicjatywa rozumniejszych „duszpasterzy” pracuje w tym kierunku, urządza domy. Ale nie słyszałem w Polsce o diecezji — może poza granicami istnieją — gdzieby **planowo** pomyślano o stworzeniu od-

powiednich lokalów po miastach dla tej metody głoszenia Ewangelji. A tą metodą przecież posługuje się dziś każdy szarlatan, głoszący swoją „ewangelję“, urządzający naukowe „seanse“ — i posługuje się z powodzeniem. Nieprzyjaciel kąkol sieje, a pszenica słowa bożego gnije po zakamarkach strupieszności i szablonu katolickiego kleru.

I żeby już nie wracać do tematu, dla ilustracji słówko o dwu szablonach, dorywczo z życia wziętych (wszystkich wyliczać niesposób). Z pierwszego zdaje się wykwitła jedna herezja współczesna, drugi odstręcza od Kościoła umysł.

Oto pierwszy. Kościół wierzy w Biblię, Pismo św. Kościół buduje na niej, jak na fundamencie, swoją wiarę, swoją naukę, swój kult. Kościół więc powinien ją znać, czytać sam i wiernym odczytywać, uprzystępniać ten „list Boga do swego stworzenia“, przynajmniej Nowy Testament. Tymczasem zrobiło się szablon. Poukładało się wyjątki, ładne coprawda i treściwe, ale nie dające obrazu całości, w łańcuch niedzielnych i świątecznych Ewangelji i poza ten szablon — ani rusz od kilku wieków. I tłum, rozumujący poprostu, powiedział sobie, że kiedy księża więcej nie czytają, to widać więcej nie trzeba — i przestał czytać Pismo św., a kler rozumujący praktycznie, powiedział sobie również poprostu, że więcej ludowi tłumaczyć nie potrzeba, więcej nad perykopy ewangeliczne drukować — rzecz zbędna. I doprowadził

w wielu krajach do tego, że katolickiego, znośnego w formie, wydania Biblii ze świecą szukać trzeba i może się go nie znajdzie. Aż dopiero Bóg czy djabeł musiał wkroczyć, stwarzając protestanckie Towarzystwa biblijne, które zdaje się ani jednej, historycznie uczciwej Biblii dotąd nie wydały, i Badaczy Pisma św., którzy nawet sny rozumowej maligny gotowi są podać za prawdę od Boga natchnioną. Oni dopiero mieli przypomnieć Kościołowi i nauczającemu i nauczaniem obowiązek znajomości, badania Pisma św. — Ale czy ze skutkiem?

Opis drugiego szablonu wyjmuję z jednej publikacji katolickiej wraz z krytyką, która i nasz temat rozświetla.

„Każdy naród ma swoje charakterystyczne piętno, które najpełniejszy wyraz znajduje w architekturze, jako sztuce nawskroś państwowej, społecznej. Na owo charakterystyczne znamię danej architektury składa się przeto i kultura i zwyczaj danego narodu, jego upodobania artystyczne, przeżycia historyczne i religijne, nawet materiały i klimat kraju.

Dlatego też uważamy za grubą pomyłkę pod względem artystycznym importować do Chin romański czy gotycki styl, który samorzutnie wyrósł na gruncie europejskim, w zupełnej zgodzie z naszą umysłowością. W Chinach style te są kwiatem sztucznym, językiem martwym.

Wspaniale harmonizują z krajobrazem północnej Europy iglice świątyń gotyckich, rozumem użyteczność ich spadzistych dachów,

gdzie śniegu jest dużo, ale tutaj wśród śmiejących się palm jakże smutno, jak obco spoglądają na nas. Nic więc dziwnego, że nawet w Europie zastanawiają się znawcy, czy wszędzie warto odnawiać dawne gotyckie lub romańskie świątynie. Prawda, że starożytny, pogański Rzym wszystkim narzucał swą sztukę; czynił to dlatego, żeby zaznaczyć swą potęgę i zaimponować narodom podbitym. Ale tendencja ta jest obcą Kościołowi, który jest katolicki, a więc powszechny w swoich formach i sztuce, który nie jest ani gotycki, ani romański. On szuka tylko dusz i pragnie je zjednoczyć w jednej chrześcijańskiej rodzinie, szanując ich niezawisłość polityczną i cały ich dorobek kulturalny. A więc niechże wolno będzie i Chińczykom zachować ich wygięte do góry narożniki dachów, jako pozostałość po dawnych namiotach Mongołów. („Misje katolickie" nr. 493.)

Tak, niechże wolno będzie każdej duszy, każdemu narodowi zachować swe przyrodzone właściwości, które zniwelowaćby chciała do jednego „strychulca" strupieszalność, zaśniedziałość form myślenia.

Nigdy więc **tak samo**, ale czy zawsze **to samo**?

Na ten temat wre najżarliwsza walka w dziedzinie ducha, o ten szkopał kościelnej nauki obrażają się najlepsze głowy.

Więzy dogmatu! — wołają.

Uprzedzam zarzuty i daję głos Kościołowi, by jasno wyłożył swój punkt widzenia, bo jest często niezrozumiany w tym względzie.

Wyraz „dogmat” pochodzi od greckiego słowa „dogma”, a to znów od czasownikowej wypowiedzi „dokej moj”, co w tłumaczeniu znaczy po polsku — „zdaje mi się”. Dogmat więc pierwotnie nie znaczy nic innego, jak tylko „zdanie moje”, „mniemanie” o jakiejś rzeczy.

Rzeczy, o których „zdanie” swoje mieć można jest bez liku, i takich, którzy zdanie to mogą wypowiedzieć, jest również bez liku. Gwiazdami nieba zajmował się Ptolomeusz, gwiazdami nieba zajmowali się Galileusz, Newton, Giordano Bruno, Kopernik... Ryby Śródziemnego morza badał i opisywał niegdyś Arystoteles, ryby Śródziemnego morza badają i opisują dzisiaj ichtjologowie. Tak ci, jak i tamci wypowiadają o przedmiotach swych badań swoje zdanie każdy. Wypowiedzą o tem swe zdanie, swoje „dokej moj” także uczeni przyszłości.

Z powiedzianego wyżej wynika, że „bez dogmatu” w tem najogólniejszem znaczeniu nikt nie żyje, nie żył, ani też żyć nie może. Najsłabszy sceptyk ma swoje „dogmaty”, swoje „dokej moj” — przynajmniej w tym momencie, kiedy je wygłasza. Bez możliwości wypowiedzenia swojego poglądu zdania, mniemania, sądu o rzeczach, świat umysłowy ludzki wraca do pieluch, do Arystotelesowskiej „tabula rasa” z której wyszedł. Ludzkość po wszystkie czasy opiera

się na dogmacie, żyje dogmatem, rośnie dogmatem.

Nietyle jej wszakże chodzi o ilość, ile o **ja-kość** — pewnośc, trwałość, wartość — owych zdań i mniemań, wygłaszanych bez liczby przez każdego, który uważa, że mu P. Bóg drogocennego daru mowy nie odmówił.

I tu się zaczyna rozumiały konflikt.

Świat powiada. Ograniczoność umysłu ludzkiego jest tak wielka, a mnogość i głębia rzeczy widomego i niewidzialnego świata jest tak bezdenna, że mowy być nie może o niezmienności zdań w jakimkolwiek zakresie, o wiecznotrwałej pewności dogmatu. Stan dogmatyczny umysłowości ludów wyraża się formułką Heraklita: „panta rej” — „wszystko płynie”. Najpewniejsze zdawałoby się zdania uczonych dzisiejszych porawiają uczeni jutra. My dziś nie wierzymy już temu, cośmy twierdzili wczoraj.

A Kościół utrzymuje: Prawda, że umysł jest ograniczony, ale i przedmioty poznawalne są również ograniczone. Niekiedy są wcale niewielkie, wprost małe i drobne. Przecież umysł dziecka ogarnie tę „wielką prawdę”, że ma dwie raczki i dwie nóżki, a u każdej po pięć paluszków. Najbardziej umysłowo nierozwinięty dzikus zdoła posiąść tę prawdę, że ogień spala a woda zatapia. I trzymać się będzie narówni z profesorami uniwersytetów tego **powszedniego dogmatu** — po wszystkie czasy istnienia ludzkości.

Natomiast na terenie prawd **niepowszednie-**

go typu, prawd i zagadnień wielkich, doniosłych, łatwiej o przeoczenie, niedokładność, niepewność i błąd. A to dlatego, że — powiedzmy matematycznie — długość jakiejś prawdy może wynosić tysiąc metrów, człowiek poznający uchwyci z niej tylko dziesięć metrów, reszta zaś dziewięćset dziewięćdziesiąt pozostanie dla pracowitego pomiaru następnym pokoleniom, które mogą chwytać nie pokolei metr za metrem dalej, lecz bez planu. I stąd ta prawda przez długie wieki nie zostanie dokładnie zmierzona. Nie będzie o niej można wypowiedzieć kategorycznego, dogmatycznego zdania: „jest tak, a nie inaczej, tysiąc metrów, nie zaś mniej, ani więcej.” Winien temu ograniczony umysł ludzki.

Istnieje wszelako Umysł w pełni słowa, Umysł Nieskończony — Boga. Najmniejsze i największe rzeczy On przenika potężnie, bada aż do dna, jak promień słońca przenika kroplę wody. Jego sąd, Jego zdanie, Jego „dokej moj“, czy wypowiedziane będzie o niebie, czy o ziemi, o czasie, czy wieczności, posiada wartość bezwzględna, pewną, niezaprzeczoną nigdy — więc niewzruszenie nieomylną. I to Kościół ściśle nazywa **dogmatem**. **Wypowiedź Boga, ujawnioną ludziom, na temat prawd, obchodzących żywo wszystkie pokolenia ludzkie, Na temat Bóstwa, jego życia, natury, na temat wieczności i życia wiekuistego ludów na łonie Stwórcy Boga, tudzież na temat ziemskiego przygotowania się ich dusz do tego życia — w czasie. Nieomylność zdania przypisuje sobie**

Kościół tylko na tym terenie i tylko tu nakłada sobie więzy. Jeśli bowiem Umysł Nieskończonego powiedział w jakiejś kwestji „tak” — co trzeba udowodnić i dowody się przedkłada — wówczas umysły najgenjalniejsze adorują fałsz, jeśli się poważą wypowiedzieć „nie” w odnośnej kwestji.

Oto są więzy katolickiego dogmatu. Wnosi on te więzy w dusze, jak każda prawda poznana. Względna i do czasu prawda — wnosi więzy względne również i do czasu, prawda bezwzględna i wieczna — więzy bezwzględne i wieczne. Widziałem dzieci, które aż płakały, udowadniając, że mają pięć paluszków u ręki, a nie sześć, jak wpierał w nie „wujcio” żartowniś. Co było powodem płaczu? Więzy dziecięcego dogmatu. A co powodem tylu kłótni między ludźmi? Także więzy „swoich dogmatów!”

To też, gdyby z tego punktu widzenia powstawał zarzut przeciwko „więzom dogmatu” w katolicyzmie, wypływałby na całej linii z niezrozumienia rzeczy. Byłby nieuzasadniony, niesłuszny. Zarzucać bowiem Kościołowi, że posiada jasno określony dogmat, prawdę o bezwzględnej wartości, myśl, dokładnie skryształizowaną w kształcie ludzkiego słowa — znaczyłoby przecież nie co innego, jak **winszować Kościołowi**, że pierwszy i jedyny może na globie posiadał z łaski bożej i wniósł do skarbcza ludzkości to, do czego z wieku na wiek ludzkość dąży: **do zdobycia jasno określonej prawdy.** —

W każdej dziedzinie — i małej, powszedniej i wielkiej, dziejowej. Błędy bowiem wczorajsze i poprawiania ich dzisiejsze wskazują właśnie na to, że umysł ludzki nie chce skwitować i dać za wygraną. Mimo chwiań, załamań, niedociągnięć i upadków — on stale, pracowicie, w poście czoła dąży. I całe dzieje umysłowości ludzkiej możnaby zamknąć w dwa słowa znamienne, wyjęte z katechizmu Kościoła:

W pogoni za dogmatem!

Kościół więc w wielu dziedzinach ma już dogmat i to z pieczęcią nieomyślności Bóstwa podany. W tem spoczywa jego zrozumiała chluba, ale i jego — — nieszczęście. Nieszczęście, mówię, bo źródło nieszczęść umysłowych w głowach jego ludzkich przedstawicieli i urzędowych czy nieurzędowych stróżów.

Jakto? Dlaczego?

Proszę tylko spojrzeć na tę kwestję praktycznie i poprostu. Każdy człowiek, który raz **napewno** miał rację, zechce ją mieć tak samo raz drugi, trzeci, dziesiąty. Potem apetyty urosną. Zechce mieć rację po raz setny i tysięczny nawet tam, gdzie jej w istocie nie ma, zechce mieć rację **wszędzie i zawsze**. Zagalopuje się poprostu, przekroczy swój teren, a wstyd go będzie przyznać się do „omyślności“, bo może poderwać swój autorytet nieomyślny. Stanie na „autos efa“ — „magister dixit“ — i wracamy do rozdziału: „Pycha Rzymu“.

Istotnie, dogmat na jednym, **bożem** polu Kościoła, wyrodził w konsekwencji **dogmatyzowanie na każdym polu**. Wzmógł je w dodatku i spotęgował także ten fakt, że Kościół w przeciągu prawie piętnastu wieków był na powierzchni Europy jedyną katedrą wiedzy i nauki, którego przedstawiciele posiadli sztukę pisania i czytania. Z tem górnem przeświadczeniem piastuna podwójnej mądrości — bożej i ludzkiej—Kościół wkroczył w bramy nowożytnych dziejów świata, spoczywając na laurach. Ale z tych wawrzynów raz wraz zrywała liść po liściu pracująca z gorączkowem natężeniem ręka nowoczesnej nauki pozakościelnej. Czynniki kościelne spoglądały jednak na to i spoglądają jeszcze po dziś dzień ospale. Z lekceważeniem i pogardą wzruszają ramionami we fioletach i purpurze: „Głupcy! Oni nam chcą się sprzeciwić, zwalczać? Nie takich mędrców Kościół już pogrzebał! Cóż to? Oni samego P. Boga będą uczyć?”

Oczywiście, Kościół dużo już pogrzebał, nawet spaliwszy na stosie, a P. Boga uczyć trudno, zwłaszcza dziś, kiedy P. Boga do wielu szkół wcale nie chcą przyjąć, ale nietrudno zauważyć, że pod płaszcz powagi boskiego rozumu podszywać się zacznie raz po raz miałki niekiedy rozum N. N. podpisujący się pewnemi skrótami, stawianemi obok nazwiska: Jego Eminencja, Ekscelencja, ks. prałat, kanonik, proboszcz, a nawet i ks. wikariusz... Cóż to bowiem — on nie ksiądz? O zakonach również już wyżej mó-

wilem, jak im w głowie zawraca dogmatyczna pewność siebie. Nie wszyscy wprowadzie piszą bulle i ferują wyroki nieomyłne, ale wszyscy niemal piszą „ex certa scientia nostra” i „contrariis non obstantibus quibuscumque”. I jeśli chodziło o wyszukanie emblematu dla scharakteryzowania drukowanych elukubracyj różnych „doktorów” teologii, filozofji, prawa — różnych: O. S. B. — O. F. M. — O. M. C. — C. SS. R. — a już chyba jako najpokorniejszych wymienić na końcu S. J. — to emblemat gotowy na kartach Ewangelji: „Sedebitis super sedes duodecim — iudicantes...” Tak, zanim jeszcze nastąpi sąd ostateczny, „sądów ostatecznych” odbywa się mnóstwo — przed czasem.

A tu przecież jest cała moc zagadnień z zakresu prawa, co do których dobrzeby było popytać się i uwzględnić sądy prawników przeciwnego obozu — nie, oni są głupcy, ignoranci. Są kwestje z zakresu teologii moralnej, co do których dobrzeby wysłuchać, a jeszcze lepiej uwzględnić głosy lekarzy, których sąd się ignoruje, bo to „parobki Eskulapa, którzy nie wiedzą nic o niebie”, a którzy też później płacą pięknem za nadobne i w kułak śmieją się z głupstw, opisanych np. „de sexto” przez ignorantów — przepraszam — doktorów św. teologii... Pedagogów, psychologów, myślicieli wartoby zagadnąć w sprawach pastoralnej, w sprawach filozofji, właśnie tej „perennis”, która nie w każdym zagadnieniu daje rozwiązanie wiekuistej wagi. U estetów wartoby zasięgnąć

rady co do ceremonjału i liturgji kościelnej, żeby kulturalnemu społeczeństwu oszczędzić wzruszeń estetycznych, dobrych dla Afryki Środkowej... Od literatów i uczonych, tych „pogan i heretyków“ wartoby nauczyć się choćby jednej rzeczy, jak należy umieć przyzwoicie pisać i szanować cierpliwy papier...

Niestety! Jakże często i jak daleko sferom hierarchji do tego! Triumfuje na całej linii parafjańszczyzna pojęć. Nie rzekł im Chrystus na górze pożegnania w Galilei, jak „ex cathedra“: „Idźcie i ucźcie się od wszystkich narodów“, ale „idźcie, nauczajcie wszystkie narody“. Idą więc i nauczają, zaufani w „mądrość bożą“. Nauczają nieraz dogmatów takich, od których uszy uwiędłyby prawdzie, gdyby je miała.

Proponowano mi rozpisać ankietę do całego świata i naznaczyć milion dolarów nagrody w złocie za wynalezienie księdza (im wyżej, tem trudniej), któryby nie był ani trochę chory na tę „lues dogmatica“, zarazę dogmatyzowania: wszędzie i zawsze, w czas nie w czas, „potrzeba czy nie potrzeba, jest racja, czy „być musi“. Istotnie, choroba ta powszechna wśród duchowieństwa katolickiego. W mniejszej lub większej mierze zapada na nią każdy ksiądz. Każdy też staje się wskutek tego, aż do chorobliwej przesady żywą, chodzącą fabryką mniejszych i większych dogmatów. I jeśliby przypuścić taką szybkość produkcji, jak we fabryce automobilów Forda — co kilkadziesiąt sekund nowe auto — to proszę sobie pomyśleć, jak olbrzymią

codzienną ilość dogmatów wyprodukuje na kuli ziemskiej czterysta tysięcy katolickiego kleru! Doprawdy, można pęknąć z nadmiaru szczęścia i radości! —

Lecz, co gorsza, że przed takimi tworamii swego często nieuctwa, zasklepionego w sobie, kler każe uchylać czoła. Nakłada więzy dogmatu. Zobowiązuje wiernych „w sumieniu“ i ma pretensję do nie-wiernych, aby w to wierzyli. Jak się tu nie ma obruszyć, nie zasarkać okrąg oświeconego globu:

Precz z więzami dogmatu!

Jest jakaś bajka o żydzie, który wypasał konia na dworskiej łące, z obawy jednak, żeby mu go nie skradziono, porzucił łąkę i pasł szkapę na miedzy za ogrodem. Bojąc się wszelako i tu złodziei, sprowadził ją na podwórko i przywiązał u płota nawprost okna, żeby się pasła w jego oczach na trawie niedojezionej przez drób i prosięta. Rezultatem jego pieczołowitości było, że koń z głodu padł.

Tak czyni hierarchja w zbytnej trosce o „czystą myśl katolicką“ w głowach wiernych. Skrępowaniami i dekretami bez liku zacieśnia z wieku na wiek, z roku na rok pole badania prawdy dla swych wiernych, podczas gdy rozwój nauki codziennie je w każdej dziedzinie rozszerza. Żyd pachciarz sprowadza szkapę na ciasne podwórko. Myśl kościelna, nawykła mierzyć nieomylnie w zakresie prawd objawionych przez Chrystusa — co nie jest ani jej zasługą, ani jej pracą — stosuje tę praktykę na każdym

kroku. Zmierzy dziesięć części z całości prawdy, wynoszącej takich części tysiąc, i dogmatyzuje swą zdobycz: „Posiadłam prawdę **całą**!” Wychodzi zakaz iść w badaniach dalej. Tylko tak, jak ona, tylko tyle wolno, co ona! Inaczej — anathema św. Oficjum, lub innej podobnej instancji. Anathema, która tem mniej jest na miejscu właściwym, im niższą jest umysłowo instancja, co je głosi.

Streścmy całość uwag. Trojakiemu rodzaju rzeczy zawiera świat i trojakiemu rodzaju są „dogmaty”, zdania o nich. Rzeczy z zakresu ludzkiego: **drobne**, powszednie i **wielkie** i rzeczy **wiekuiste** z zakresu bożego. Napewno i łatwo poznaje powszednie prawdy umysł ludzki przeciętny — i na nich buduje życie. Najpewniej i najłatwiej poznaje prawdy wiekuiste. Umysł Nieskończony i może je ludziom objawić, gdy zechce, żeby się ludzkość nie błąkała po bezdrożach błędu. A pole pośrednie—prawd i rzeczy ludzkich, ale wielkich, doświadczalnych, czy poznawalnych — pozostawił Bóg swobodnym dociekaniom wieków — tradidit disputationibus eorum. Bo istotnie tylko swoboda ruchów może tu zbudować wiedzę godną duszy człowieczej. Gdyby Kolumb, Galileusz i Kopernik uwierzyli w „dogmaty niewzruszone” swoich czasów nie mielibyśmy dzisiejszej Ameryki i dzisiejszego nieba. Prawda, że hierarchja sparzyła się potężnie przy stosie Giordana Bruna, ale jeszcze jakoś dotąd nie całkiem nauczyła się rozumu. Dogmat na tych terenach, do-

gmatyzowanie w jakiejkolwiek formie — zabija, swoboda myśli otwiera nowe horyzonty i stwarza światy nowe. Przedewszystkiem rozszerza samą myśl, jej pojemność, o czem powinienby pamiętać Kościół, bo kiedy chce nauczać cały świat, winien mieć do dyspozycji głowę i wiedzę na wszechświatową miarę.

Tymczasem więzy dogmatu zacieśniają tu wszystko do zaściankowej miary i krępują — samą hierarchję. Pysznie wpatrzona w swoje blaski, blaski Rzymu, nawet nie dostrzega, że mogą istnieć cuda zórz północnych... u bieguna tej uczoneści, dokąd ona nie zagląda nigdy. A kraina taka dziś jest i tamby też należało ponieść Ewangelję. Ale jak pójść, nie znając terenu, nie znając drogi? Nie osoby tu winny, są bowiem już dość liczne jednostki wśród duchowieństwa o „szerokich głowach“, ale winien system. A system nie dopuszcza nauki **odzewnątrz**, wyższej nad swoją. On ma „najwyższą“ — wszędzie! Wszystko, co poza nim, to będzie najczęściej „heretyckie i masońskie“. Gdybyśmy się trzymali ściśle tego określnika, to i wszechwiedza Stwórcy będzie heretycka i masońska, gdyż sięga poza zakres wiedzy hierarchji.

Nietylko atoli odzewnątrz, ale też **odwewnątrz** Kościół się zacieśnia. Nie czerpie nauki z kół swoich własnych. „Góra“ hierarchji nie przyjmuje nauki od hierarchicznego „dołu“. Prawda robi się pod dyktandem, a dyktuje tyl-

ko góra. Choćby „dół” miał może sto razy więcej rozumu, nikt o zdanie go nie zapyta!..

Mam przytaczać dowody? Wskażę tylko na jeden — epokowy: Nowy kodeks prawa kościelnego. W jaki sposób go pisano? — W sekrecie! Tylko wtajemniczeni mieli głos. Powstawał, jakby się obawiał światła dziennego. Cisza, przerywana domysłami, aż wreszcie — wychodzi jak Deus ex machina! Gdyby sobie jakie prawodawstwo świeckie, jaki Sejm Ustawodawczy pozwolił na podobny sposób kodyfikowania praw! Rozerwanoby taki kodeks na strzępy! W Kościele magister dixit. Wyszła bulla „Providentissimus” i koniec.

Sięgnę jeszcze po jeden dowód, najwidoczniejszy, bo najwyżej postawiony — w oczach Kościoła i świata. Prowadzę czytelnika na salę, gdzie się zgromadzi Sobór Watykański.

Sobór — to Sejm Walny Kościoła, Sejm Ustawodawczy. Pomijając kwestje, związane z dogmatami ściśle wziętymi, ma on do załatwienia tysiące spraw ludzkiej tylko natury wśród tej „turba magna”, trzystomiljonowej rzeszy wiernych, rozsianych pod całym niebem. Jej przedstawiciele jadą do Rzymu radzić i uczyć się nawzajem, zastanawiać, rozstrzygać, poprawiać, uzupełniać sądy jednych, doświadczeniem drugich. Zupełnie jak w Sejmach, z tą tylko różnicą, że cecha większej powagi, jakiś „wiew zaświata” ma znamionować ich obrady.

Otóż teraz proszę sobie pomyśleć, że dla

Sejmu np. polskiego wychodzi taki „w sumieniu obowiązujący” regulamin:

„Kwestje pod obrady Sejmu **wyznacza** prezydent kraju. Posłowie mogą stawiać swoje wnioski, wszelako pod warunkiem, że je **wpierw** przejrzy i **zaaprobuje** pan marszałek Sejmu.”

Wprost wyobrazić sobie nie umiem burzy, jakaby wywołało postawienie podobnego regulaminu. W sejmie, w kraju, ba, zagranicą, za morzem nawet—w Ameryce, Afryce, Australji... Zerwałyby się jak grom wszystkie głosy na taką dyscyplinarkę poselskich języków i poselskich głów.

— Sejm pod dyktandem! Dyktatura Średniowiecza i Ciemnogrodu! Knut! Nahaja rządu! Pereat! — Na pohybel! Posłowie — to nie barany na rzeź! —

Proszę najuprzejmiej o chwilę spokoju i ciszy. Sejm taki się zbierze za rok, dwa o takim **dosłownie** regulaminie. To дума katolicyzmu— Sobór Watykański. Wypisuję ją jego drzwiach — nie ja, lecz nowe prawo kościelne nr. 226 — zasadę, która w oryginale brzmi:

„Propositis a Romano Pontifice quaestionibus patres possunt alias addere, a concilii tamen praeside antea probatas.”

Komentarz i przekład dosłowny podałem wyżej. Podkreślam tylko raz jeszcze, że na Soborze będą traktowane także kwestje niedogmatyczne. Może autorzy kodeksu obawiali się sporów, kłótni, zbytnej różnicy zdań, albo

chcieli odciąć Soborowi kwestje błahostkowe? Ale właśnie wszelkie zjazdy i sobory są także na to, by się zdania ścierały, nawet ostro, byle w formach kulturalnych. A kwestje błahostkowe?! Nie zgłupieje od nich Sobór, a tem mniej Duch Święty!... Choćby nawet któremu z „ojców” przyszło do głowy podać na plenum wnioski, by kardynałowie nosili koszule z czerwoną obwódka — „propter uniformitatem” stroju.

Rzecz jasna jak pogodny dzień słoneczny. Ale oświetlić ją pragnę jeszcze z punktu widzenia Pisma św.

Dwadzieścia wieków temu zebrał się Sobór w Jerozolimie, ponieważ „niektórzy przyszedłszy z żydowskiej ziemi nauczali braci: jeśli się nie obrzeżecie, nie możecie być zbawieni. Gdy się tedy stał rozruch przeciwko Pawłowi i Barnabaszowi, postanowili, aby szli Paweł i Barnabasz i inni do starszych do Jeruzalem z powodu sporu tego.

I zbrali się apostołowie i starsi, aby wejść w to słowo. A gdy był **wielki spór**, wstawił Piotr, rzekł: Bóg nie uczynił żadnej różnicy między nami i nimi, wiarą oczyściwszy serca ich. Czemu kusicie Boga, chcąc włożyć jarzmo (obrzezania) na szyję uczniów?”

Mówił jeszcze św. Jakób i uradzili w rezultacie: „Zdało się Duchowi Św. i nam, abyśmy więcej nie kładli na was ciężaru, oprócz rzeczy koniecznych.” (Dzieje apost. 15)

Nie Piotr więc, ale „Paweł, Barnabasz i inni” wnieśli na plenum Soboru jerozolimskiego

kwestję nieobrzezywania pogan. Nie centrum ówczesne chrześcijaństwa, Jerozolima, ale prowincja, nie praeses concilii, ale najmłodszy z grona.

I była ożywiona dyskusja, „wielki spór”. Stało się wprawdzie na zdaniu Piotra. On po raz drugi, z ust Kościoła tym razem, usłyszał, że nie ciało i krew, ale Bóg służył natchnieniem jego zdaniu, które „zdało się Duchowi Świętemu”. Lecz uprzednio był spór i to **wielki spór**. Spór, do którego tylko Żydzi są zdolni w kwestji, która się z nimi zrosła, jak dusza z ciałem. Panowała swoboda zdań, wolność słowa w pełnym znaczeniu. A dziś!?

Czyż autorzy nowego kodeksu nigdy Pisma św. nie czytają? Nie pojmują jego ducha? Nie sądzą, że **ten dekret Soboru Jerozolimskiego obowiązuje wszystkie** kodeksy kościelne, jak tylko Biblia obowiązywać może? Nie mniemali, że do końca świata kodyfikatorzy muszą go mieć przed oczyma, by na wszystkich wiernych — od góry do dołu, a zwłaszcza na Sobory i na ich uczestników nie nakładać ciężaru „obrzezania?” —

Obrzezania rozumów!! —

Ale ten pierwszy Sobór jerozolimski był zwołany właściwie tylko w materji obrzędowej i dyscyplinarnej. Natomiast kilkanaście lat przedtem odbył się Sobór dogmatyczny, w okolicach Cezarei, nad jeziorem Genezaret. Prezydował na nim Sam Chrystus i On wniósł kwestję

pod obrady, kwestję podstawową katolicyzmu i wiary objawionej: dogmat Swego Bóstwa.

„A przyszedł Jezus w strony Cezarei Filipowej i pytał uczniów swoich mówiąc: „Kim mnieią być ludzie Syna Człowieczego?”

I otwarła się najswobodniejsza dyskusja na temat. Uczniowie pominęli tylko „błahostkowe“ zdanie faryzejskie, że „Chrystus to Belzebub, obżerca i pijanica“. Zresztą wymieniają wszelkie inne.

„A oni rzekli: Jedni Janem Chrzcicielem, a drudzy Eljaszem, a inni Jeremjaszem, albo jednym z proroków. Rzekł im Jezus: A wy kim mię być powiadacie? I rzekł Szymon Piotr: Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego. I rzekł mu Jezus: Błogosławionyś, Szymonie synu Jana, bo ciało i krew nie objawiły tobie, ale Ojciec mój, który jest w niebiosach.“ (Mt. 16)

Po odbytej dyskusji jest więc i nieomylna decyzja dogmatyczna. Ale szkoda ogromna, że brak tam jednej podstawowej rzeczy, i że ją sam Chrystus przeoczył! **Niema uprzedniej cenzury zaań głosujących apostołów!** To całkiem nie w duchu nowego kodeksu! Bo on, wprowadziwszy już uprzednią **cenzurę wniosków**, zapewne pójdzie dalej z postęmem czasu i wprowadzi także **censuram praeviam discussionis**, uprzednią cenzurę tego, co ojcom wolno będzie powiedzieć w dyskusji nad wnioskami. Wówczas postęp w kierunku dogmatycznym Kościoła będzie zaiste szalony!...

I to szaleństwo dopiero może otworzy oczy ślepych!

Zaprawdę! Jakże innym był duch Soborów, skreślonych na kartach Pisma św.!

Ach, wróćmy z całym Kościołem do dni Jerozolim i ku falom słonecznym Tyberjady!

CASA SANTA.

W roku Pańskim 1481 za pontyfikatu Sykstusa IV, za panowania Ferdynanda i Izabelli, wzięta tu swój początek św. inkwizycja. Do roku 1524 wyrzekło się tutaj swych wstrętnych błędów więcej niż 20 tys. kacerzy. Prawie tysiąc zatwardziałych heretyków oddano na pastwę ognia, za zezwoleniem i aprobatą papieży: Innocentego VIII, Aleksandra VI, Piusa III, Juljusza II, Leona X, Hadrjana VI i Klemensa VII. Napis ten umieścił na rozkaz i koszt cesarza licencjat de la Cueva, a ułożył Diego z Cortegano w r. 1524.

Taki napis widnieje na budynku inkwizycyjnym w Sewilli, na domu, który jak wszystkie tego rodzaju siedziby inkwizycji nosił nazwę: Casa santa — dom święty.

Wejźmy doń i rozpatrzmy się w jego dziejach.

Do wnętrza tej „casa santa“, powstałej za zezwoleniem i aprobatą papieży, opartej bezspornie o autorytet Rzymu, wprowadzało **po-dejrzanie** lub **oskarżenie** o herezje, albo też czary.

„Każdy człowiek i o każdym czasie może pojmać heretyka i oddać zwierzchności kościel-

nej. Heretycy zostaną uwięzieni, aby nie szkodził innym. Należy ich wtedy często pouczać i upominać, aby wrócili do jedności z Kościołem, ostateczne zaś osądzenie ich należy z ważnych względów jak najdłużej odkładać." *)

Stosując się do tego przepisu, który winnym miał pozostawiać czas do namysłu i powrotu pod wpływem upomnień na drogę wiary, przetrzymywano podejrzanych o herezję niekiedy po kilkanaście lat w więzieniu, zanim się rozstrzygnął ich los.

Jakiego zaś rodzaju były więzienia inkwizycyjne opisuje nam pewien francuz przez dwa lata internowany w Goa.

„Więzienie — pisze on — składa się z dwóch części t. j. z piętra dolnego dla mężczyzn i górnego dla kobiet. Każde piętro obejmuje przestrzeń 20 łokci długo i 7 szeroka. W takiej przestrzeni mieściło się 40 osób. Dla zaspokojenia naszych potrzeb naturalnych urządzone było wgłębienie i wielkie koryto, które oczyszczano dwa razy tygodniowo. Przez powalę przeciekała uryna z leżącego nad nami więzienia dla kobiet.“

„Słowa są frazesami wobec rzeczywistości, jaką się tam widzi. Nie wiadomo, czy najcięższą karą inkwizycji była śmierć na stosie, czy też więzienie w takich miejscach? Uwięzieni niszczyli tam bez powietrza, bez światła, przykuci

*) Bernard Gui (powiernik Jana XXII) *Practica Inquisitionis haereticae pravitatis*.

do murów, z kajdanami u nóg. Życ tutaj było niemożliwością." (Molinier o więzieniu w Carcasson).

A ks. Krauss, kapelan więzienny we Fryburgu w Bryzgowji, poucza po sumiennem zbadaniu źródeł: „Każdy uwięziony otrzymywał dwa dzbany wody, jeden do picia, drugi do mycia, miotłę do zamiatania, materac do spania i naczyń na potrzeby naturalne, które wypróżniało co cztery dni. W więzieniu było przepisane najściślejsze milczenie. Gdy kto jęczał lub błagał Boga o pomoc, to dozorczy bili go bez miłosierdzia. Nawet za kaszel... bito uwięzionych. Dozorca więzienia otrzymywał dziennie na utrzymanie każdego więźnia (np. w Carcasson) po 8 denarów, a z tego naturalnie chciał jeszcze sam coś uszczknąć. Pożywienie było tego rodzaju, że sam Grzegorz IX zmuszony był upominać inkwizytorów, aby nie pozwalali więźniom ginąć z głodu. Więzienia inkwizycyjne we Francji południowej były przeważnie podziemne. Przez otwór w murze podawano pożywienie, a od czasu do czasu świeżą koszulę. Gdy to było rzeczą możliwą, zaprowadzano więzienia osobne. W więzieniach inkwizycyjnych zabronione było palenie światła i zdarzało się niekiedy, że więźniowie lata całe przepędzali zupełnie pociemku. Zabroniono też czytania książek, nawet Pisma św., bo, jak mówiono, prawdziwą książką jest mówienie prawdy. Skutkami takiego więzienia było częstokroć obłąkanie lub samobójstwo.“

Strach, jaki wywołuje sama myśl o więzieniu św. Oficjum, jest tak wielki, że gdy 1682 r. urzędnicy inkwizycji chcieli uwięzić jakąś kobietę z Grenady, ta chcąc ujsć więzienia, rzuciła się z okna, przyczem obie nogi złamała. Śmierć wydała jej się mniej straszną, niż oddanie się w ręce św. inkwizycji.

Po uwięzieniu następowało badanie. Szczegółowe w tej mierze przepisy podaje: „Directorium Inquisitorum“, którego najlepsze wydanie rzymskie za Grzegorza XIII, nosi datę 1585 roku.

„Gdy obwiniony nie chce przyznać się do niczego, wtedy inkwizytor powinien w przyjacielskich słowach dać mu do zrozumienia, że wie o wszystkim, chociażby nic nie wiedział. Gdy to nie pomoże, a inkwizytor nie jest jeszcze przekonany przez świadków o winie oskarżonego, wówczas może udać, że świadkowie przekonali go już zupełnie i przewracając w aktach powie do oskarżonego z przekonaniem i swobodą: „Teraz widzę jasno, że nie mówisz prawdy. Jak możesz tak kłamać! Wszystko już wiem — miałem słusność! Przyznaj się do winy sam, bo widzisz, że wiem wszystko.“ Gdy i to nie pomaga, inkwizytor uda, że musi wyjechać: litowałem się nad tobą i chciałem cię prędko uwolnić. Teraz jednak muszę wyjechać, a nie wiem, kiedy wrócę. Ponieważ nie chcesz nic wyznać, muszę cię zostawić związanego w więzieniu. Wtedy oskarżony, chcąc uniknąć więzienia, może zacząć wyznawać cośkolwiek.

Gdy jednak i ten środek okaże się bezskutecznym, inkwizytor posyła do oskarżonego jakiegoś nawróconego heretyka, który udaje, że należy jeszcze do sekty heretyckiej i stara się pozyskać zaufanie uwięzionego. Gdy się to już stanie, przybywa ów nawrócony późnym wieczorem do więzienia oskarżonego o herezję, przeciąga rozmowę z nim, a udając, że już jest zapóźno na powrót, pozostaje tam przez całą noc. Następnie w zręcznej rozmowie doprowadza oskarżonego do wyznania swego przestępstwa. Tymczasem pod drzwiami z polecenia inkwizytora podsłuchuje parę osób, wśród których powinien znajdować się notarjusz, zapisujący słowa uwięzionego“.

Dla wydobycia przyznania się do winy instrukcje papieskie nakładają na inkwizytora obowiązek użycia tortur względem oskarżonego o herezję. „Gdy oskarżony zaprzecza swej winy, a nie udało się go przekonać, że jest heretykiem, powstaje konieczność zastosowania tortur.“

„Tortury żadną miarą nie są przeciwne dobroci i łagodności Kościoła, gdy oznaki winy oskarżonego są jasne i nie dające się zaprzeczyć. Kto postawiony, jako kacerz przed sądem miesza się w zeznaniach, i przeczy oskarżeniu w głównych punktach, ma być wzięty na tortury. Kogo głos opinii wskaże jako kacerza, a znajdzie się przeciwko niemu choćby tylko jeden świadek, również ma być wzięty na tortury.

Oskarżonego wprowadza się do izby tortur,

gdzie najprzewielebniejszy biskup i czcig. ojciec inkwizytor jeszcze raz go zapytują. Jeżeli się nie przyzna, rozbiera się go i rozpoczyna tortury. Jeszcze raz napominają go wyżej wymienieni dobrotliwie i po ojcowsku, aby wyznał prawdę. Gdy to nie skutkuje, wydają rozkaz wyciągnięcia go do góry. Tortury zastosowują się względem oskarżonego w celu wydobycia z niego zeznań co do jego czynów, jego poglądów, i wymienienia nazwisk jego współwinnych.

Zazwyczaj stosowano tortury trojakiemu rodzaju. Pierwszy polegał na tem, że człowieka obnażonego z ciężarami 100 funtowemi u nóg wieszano na sznurze i dźwigano go na bloku w górę, potem nagle spuszczano, przyczem kości wychodziły ze stawów, a stawy u słabszych pękały. Drugi rodzaj tortur polegał na tem, że człowieka obnażonego i skrępowanego przywiązywano do specjalnej łąwy i krępujące go powrozy zaciskano zapomocą korby tak, że się wrzynały w mięśnie. Nie dość na tem! W usta wkładano mu kawałek materji cienkiej w ten sposób, że zakrywała mu gardło i wówczas wlewano w gardło wodę, która przez materję sącząc się powoli zalewała krtań i płuca, a torturowany przechodził straszne męki powoli tonącego. Trzecim wreszcie rodzajem były tortury ognia. Oskarżonego krępowano, sadzano następnie na krześle, nogi posmarowane tłuszczem zaciskano mu pomiędzy dwie deski, pod niemi zaś stawiano w żelaznym naczyniu żarzące się węgle, które dręczonemu zwolna przypiekały

pięty. Niekiedy znowu oskarżonego obnażano, przywiązywano do wielkiego koła, które umieszczano nad płonącym ogniem. Następnie obracano koło i w ten sposób ciało torturowanego przesuwano się tuż ponad ogniem. Gdy męczony milczał, torturowano go tak długo, póki nie stracił przytomności. Po przywróceniu mu przytomności tortury powtarzano dalej. Jeżeli przyznał się do winy i wydał współwinnych, torturowano go dalej dla przekonania się, czy mówił prawdę.“ *)

A oto plastyczny obraz torturowania podejrzanych o herezję. Podaje go szczegółowo karno-sądowy przewodnik dla zakonu Braci Mniejszych, wydany „w celu wykonywania w święty sposób sprawiedliwości“.

„W miejscu, gdzie przechowywane są narzędzia tortur, oskarżona z ręką na Ewangeliach ma uczynić ślub, że będzie mówiła prawdę. Na wstępie odzywa się do niej czcigodny ojciec pełnym litości głosem: Ponieważ z poszłak i zeznań świadków jesteśmy pewni twojej winy, postanowiliśmy usłyszeć prawdę jeszcze z twych własnych ust... Wyznaj dobrowolnie, gdyż inaczej zmusimy cię powrozami, które na ciebie czekają.

— Powiedziałam już prawdę. (Wszystko musi być zapisane, co mówi, co robi, jej westchnienia, łzy, skargi, krzyki.)

Ponieważ jesteś upartą, mówi dalej czcigo-

*) Sacro Arsenale.

dny ojciec, nie należy okazywać ci miłosierdzia. Wzywam cię jeszcze raz, abyś wyznała i t. d....

— Nie mam nic do powiedzenia.

Teraz rozkazuje czcig. ojciec rozebrać ją i związać powrozami. Podczas tego mówi: Ostrzegam cię, że tortury te nie mają żadnego związku z poczynionemi już zeznaniami. Za tamte odcierpisz przepisaną karę. Chcemy tylko, abyś nam powiedziała prawdę.

(Odpowiedź jej ma być zapisana.)

Potem czcig. ojciec daje rozkaz, aby oskarżoną przymocowaną nago do powroza wyciągnąć w górę i wzywa wiszącą do przyznania się. Ale ona albo krzyczy: O mój Boże, to straszne! Umieram... albo milczy. W wypadku milczenia czcig. ojciec każe wprawić w ruch powróż. Ona krzyczy znowu: O mój Boże! Święta Panno przyjdź mi z pomocą! Święty Franciszku! Litości, litości! — Gdy oskarżona wisiała już czas jakiś w górze (czas należy oznaczyć) czcig. ojciec daje rozkaz spuszczenia jej na dół. Może jej oznajmić, że spuszczo ją, aby torturować dalej — to już zależy od uznania czcig. ojca. Następnie naciąga się oskarżonej członki i prowadzi się ją z powrotem do więzienia.

Nazajutrz wprowadza się ją znowu do izby tortur. Czcig. ojciec mówi do niej: Ponieważ nie zadowolili nas twoje odpowiedzi i ponieważ mimo tylu poszlak i zeznań świadków nie chcesz przyznać się do winy, postanowiliśmy nanowo torturować cię, ale tym razem boleśniej. Dlatego radzę ci powiedzieć nam i t. d...

Gdy oskarżona obstaje przy swoich zeznaniach czcig. ojciec każe ją znowu nago przywiązać do powrozów i pyta jeszcze raz: Czy chcesz powiedzieć prawdę? Jeśli odpowie: Już wyznałam ją — wtedy każe podciągnąć ją wysoko w górę, poczem pyta znowu. Ona jednak krzyczy: O mój Boże! Zabijają mnie!...

Gdy czcig. ojciec widzi zatwardziałość oskarżonej, każe ją spuścić na dół. Jeśli oskarżona straci przytomność, ma być zaznaczone w protokóle: czcig. ojciec kazał ją położyć na ławie i trzeźwić octem i dymem siarki. — Gdy stan jej się nie zmienia, wzywają lekarza, który ma zbadać, czy omdlenie jest prawdziwe. Jeżeli lekarz to poświadczy, ma być zaprowadzona do więzienia i tam dozorowana. Jeżeli zaś omdlenie jest pozorne, tortury można dalej prowadzić i ma być zaznaczone w protokóle: następnie czcig. ojciec kazał ją znowu w górę wyciągnąć.

Zdarza się, że oskarżona podczas tortur zasypia, lub staje się nieczułą na męki. Wtedy należy umieścić w protokóle: ponieważ oskarżona okazała się nieczułą na ból, w czem czcig. ojciec domyśla się podstępu szatana, tedy wydał rozkaz, aby ją całkiem odsłonić i poszukać pod jej ramionami, w ustach, we włosach i na innych częściach ciała, czy nie ma gdzie ukrytego środka, wywołującego podobny skutek. Należy także obciąć jej włosy na całym ciele. Tak zupełnie naga i ostrzyżoną wyciąga się znowu w górę."

W ten sposób wydobywano z oskarżonych wszystko, co wydobyć chciano. Przedewszystkiem zeznania, obciążające tych, których chciano zgładzić, czy to dla ich majątku, czy też dla ich nieprzyjaznego stanowiska względem św. inkwizycji. *)

„A ci, którzy po wyrzeczeniu się swego błędu powtórnie odpadli od Kościoła, mają być oddani dla należytego ukarania świeckiej sprawiedliwości, bez wysłuchania jakichkolwiek tłumaczeń z ich strony, bo to już zawiele, że przez fałszywe nawrócenie już raz oszukali Kościół św.“ **)

Stąd jasny wniosek. Kto po raz pierwszy dostał się w święte progi „casa santa“, ten miał do wyboru: albo—albo!

Albo przyznanie się do popełnionej czy nie-popełnionej winy i w rezultacie dożywotnie więzienie, galery lub inną pokutę w tym rodzaju, albo — w razie gdyby nie chciał plamić sumienia kłamstwem — śmierć na stosie. Kto zaś po raz drugi został stawiony przed trybunał św. inkwizycji, mógł być pewny, że będzie żywcem spalony. W jednym Rzymie heretycy, zasądzeni po raz drugi, przed spaleniem na stosie byli duszeni. Był to dowód szczególniejszej „łaski papieskiej“, udzielanej zresztą tylko tym, co się do rzeczywistych lub urojonych błędów przyznali.

*) Czesław Wrocki: „W imię krzyża“. 36.

**) Dekret soboru w Narbonne.

Ciało zatem „heretyckie“, jako przeklęte i skazane na wieczne potępienie, było palone na stosie — (wtedy kremacja była dozwolona!) ale pieniądze i majątek „heretyka“ przechodziły na własność św. inkwizycji. Książęta oddający jej w tych wypadkach usługi, mogli zabrać dla siebie trzecią część dóbr skonfiskowanych.

Był zwyczaj za czasów Nerona, że chrześcijan, oskarżonych o wiarę w zabobon Chrystusa, oddawano pod kły zwierząt i żywcem oblanym smołą palono jako świeczniki nocne dla orgji rozbestwionej tłuszczy. Neron przemiął, jak głód, mór i burzą, jego orgje nie trwały długo. Ale stosy na skinienie Rzymu wzniecone przez inkwizycję, ale kły i pazury jej tortur, zaczajone w casa santa — długie, długie wieki płonęły na żywym ciele Europy, długie, długie wieki targały trzewia jej dzieci.

A gdy w obronie torturowanych podniósł się ludzki głos: „Haereticos comburi est contra voluntatem Spiritus Sancti“, w bulli „Exsurge Domine“ zaliczył go do błędów, płodów umysłu obłąkańca, papież Leon X.

Czyż za tę przeszłość nie powinna przed całym światem uderzyć się w piersi Kurja rzymska? Uderzyć potężnie z papieżem na czele?

Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa!

Papieżę ustanowili inkwizycję, określili jej kompetencję, zatwierdzali jej wyroki.

Digitus Romae est hic!

Biskupi Rzymu tu winni.

Powie kto: Bronili wiary! Bronić wiary wolno.

Bronić wiary wolno przed błędami, ale tak, jak ją wolno rozszerzać pośród błędów pogaństwa — przekonaniem. Nigdy maczugą, ni nożem rzeźniczym, nigdy kordem ni stryczkiem krzyżaka. A ten, kto tak czynił całe wieki, lub kto takie czyny pochwalał, **zatwierdzał** — nie wiedząc czyjego był ducha, może barbarzyńskiego ducha „synów gromu“ lecz nie Chrystusowego — ten powinien za swe postępowanie przed światem zmówić publicznie „Confiteor“.

Za przeszłość — w której tylko od 1481—1524 roku i tylko w okręgu Sewilli — prawie „tysiąc zatwardziałych heretyków oddano na pastwę ognia za zezwoleniem i áprobata papięży...“

A więc w 33 latach prawie 1000 spalonych żywcem! Ofiar 30 co roku! I to w jednym okręgu Sewilli! A ileż ofiar było w Kordubie, Jaen, Toledo, Valladolid, Madrycie, Walencji! Ile w całej Hiszpanji! Ileż w całej Europie w przeciągu kilku wieków!

Za wiedzą i zezwoleniem papięży!...

Oto przeszłość, naszkicowana tylko...

A terazniejszość?!

Ten sam duch ją krępuje i dławii dotąd...

Diabolus Romae — Niewola Rzymu.

NIEWOLA RZYMU.

Człowiek skarży się, gdy nie może widzieć, skarży się i gniewa, jak rumak wędzidłem dła-skarży się i gniewa, jak rumak wędzidłem dławiony, gdy nie może swobodnie używać organu duchowego widzenia swego — rozumu, myśli. Ale wprost szaloną staje się jego skarga, gdy zostanie zadrażnionym królewski przymiot, przymiot boski w człowieku—jego niezależność i wolność.

To też kulminacyjny punkt osiągnięty skargi w katolicyzmie na terenie wolności indywidualnej i zbiorowej Kościoła.

Niewola Rzymu.

Istotnie. Zły jest niewczesny i nadmierny dogmatyzm, gnębiący rozum. Ale jego nacisk odczuć może jedynie umysł wyrobiony, szerszy, głębszy. Takich umysłów nawet wiek XX nie posiada zbyt wiele. Natomiast obrożą brutalną skrępowañ nieuzasadnionych, prawnych czy pozaprawnych, krótko: bezprawnych, odczuje dziś każdy, kto ma serce stęsknione do wolności. Stokroć od dogmatyzmu gorszą jest rzeczą znieważone i podeptane serce ludzkie. I jeśli nad tamtymi zarzutami możnaby ostatecznie bez większej szkody przejść do porządku dzien-

go, to nad tym zarzutem — nie wolno. Ani człowiek, ani naród, ani ludzkość cała nie daruje tego Kościołowi nigdy, jeżeli jego głowa—Rzym—zamiast upragnionej ostoi, przyniesie ludom i wiekom przeklętą przez nich obrozę. Okrzyk: „Niewola Rzymu!” będzie jak iskra, co lasy zapala. Obejmie serca, zawichrzy głowy, uzbroi ramiona i pójdzie jak burza w nowożytnie dzieje katolicyzmu, jeżeli z Rzymu naprawdę wychodzi niewola sumień.

Chcąc na to pytanie bezstronnie odpowiedzieć, należy zwrócić uwagę na źródło, skądby mogła ta niewola wynikać. Źródłem tem — władza hierarchiczna w Kościele. Jak się ona kształtowała, jak rozwinęła i jakie przyniosła i przynosi owoce?

Najpierw, władza ta w Kościele jest, wbrew wszelkim teorjom rozpoetyzowanym o poetyzmie w działaniu Chrystusa, który miał być raczej improwizatorem, niż organizatorem. Tak nie było. On Sam miał najwyższe poczucie posiadania pełnej władzy bosko-ludzkiej. „Dana mi jest — mówił — wszelka władza na niebie i na ziemi...” Tę władzę przelał na apostołów. „Jako Mnie posłał Ojciec i Ja was posyłam” — z pełną również władzą, dla celów Kościoła potrzebną.

Tak mówi organizator, wielki organizator i, jeśli kto chce, wielki poeta, w pierwotnym greckim znaczeniu tego wyrazu: twórca.

Następnie ten wielki Twórca Kościoła zatroskał się o to, by pełnia tej władzy się nie

rozprzęgła, nie rozcieńczyła, ale w pewnym punkcie globu pozostała cała, jednolitą i w jednym ręku. Stworzył prymat władzy, papieżstwo.

Władza przez to ogromnie urosła zewnętrznie dla Boga-Człowieka i tego było mało. Sięgnął wyżej, a raczej głębiej i otoczył aureolą pietyzmu tę „swoją” władzę. „Kto was słucha — mówił apostołom — ten Mnie słucha, kto wami gardzi, Mną gardzi.”

Więcej nie było już trzeba. W przedstawicielach władzy miał Kościół widzieć i wielbić osobę Założyciela Swego — Chrystusa. Stosowało się to w szczególności do przedstawiciela pełnej władzy — papieża. Czy chodziło o sprawowanie sakramentów, czy o zarząd zewnętrzny życia religijnego, miały tu zastosowanie słowa św. Augustyna: „*Petrus... Paulus... Judas baptisat — Christus baptisat*”. I te drugie: *Roma locuta — causa finita*”. Tak, jak gdyby rozstrzygnął sam Chrystus.

„Władza” pochodzi stąd, że „w ład” pewien ujmuje cały szereg nieskoordynowanych zjawisk. Mówił zaś jeszcze Anaksagoras, że na początku „rozum w ład wprowadził wszystko” (*Nus panta diekosmezen*). Takie też fundamenty położył pod gmach swej władzy Chrystus. Kazał apostołom umieć, rozumieć, znać się na rzeczach Królestwa Bożego w duszach i w świecie, potem iść i tego nauczać wszystkich, ażeby nauka w las nie poszła, rozkazał, by przypilnowali mocną ręką władzy zwierzchniczej tego

wszystkiego, czego nauczali. „Nauczając ich chować to wszystko, cokolwiek wam rozkazałem.“ Słowem oparł władzę Kościelną nie na piasku czyjejś dowolności, każdorazowego księdza, biskupa, czy papieża, ale na granicie rozumu oświeconego wiarą. To zatem, co zadość czyni postulatowi rozumu ze względu na wieczność i na stosunki ludzkie w odnośnej epoce — to może być przedmiotem władzy, rozkazu; co przeciwnie poza te ramy wybiega, to staje się przedmiotem — wzruszenia ramion, politowania, śmiechu, drwin i szyderstw w stosunkach życiowych, w ocenie ludzkiej. A w ocenie prawa? — Bezprawiem księdza, czy biskupa, czy papieża. Jak każdy człowiek, rządząc swem życiem, powinien mieć rozum, tak i przedstawiciel władzy w Kościele. Powinien posiadać, rzecby można, skoordynowany rozum tych wszystkich, nad którymi przewodzi.

Trudno. Jeden człowiek, choćby się genjuszem urodził, rozumów wszystkich w siebie nie wchłonie. Nikt nie czyta w skrytości serca ludzkiego, jeśli mu to serce się nie otworzy. Rządy, tak zwane świeckie, przez długie wieki chciały być wszechmądremi. Rozkazywały, nie pytając swych podwładnych. To też doczekały się różnych niespodzianek dziejowych i dopiero, sparzywszy palce boleśnie, dopuściły do swego rozumu rozum rządzonych. Zapoczątkowały okres demokracji.

Zacofany Kościół sprawę tę od początku postawił demokratycznie. Nawet jego Założy-

ciel, lubo był istotnie¹ wszechmądrym, w pewnych wypadkach radził się, pytał apostołów o zdanie. Judaszowi zostawił pełną samodzielność w zakresie „kasowości“, jak dziś mówimy, z Filipem zastanawiał się, czy za dwieście groszy wystarczy chleba dla zgłodniałej rzeszy. Nie usiłował zazdrośnie ująć wszystkiego w swe ręce. Ufał swoim, szanował ludzi. Nie chciał mieć Owczarni biernie beczącej za pasterzem.

Po tych torach poszedł Kościół w dzieje. Odbywają się w Wieczerniku święcenia, wybór pierwszego apostoła na miejsce Judasza. Wszyscy, (nawet!) nie wyłączając kobiet, biorą udział w głosowaniu. Jak krzyż, tak białe i czarne gałki urny wyborczej mogą być symbolem Kościoła. Kościół się rozrósł, tłum stawał się w wielu razach niewygodnym. Pomyślano więc o **pośrednim** braniu udziału w życiu religijnem, zapomocą przedstawicielstwa. Typowym, choć nie klasycznym, przykładem tego — i systemu i ducha — demokratycznego jest sposób wyboru papieża. „Nie klasycznym“, mówię, bo — kardynałowie nie wychodzą z wyborów tylko poprostu... z biura. Podpisuje się nominacja i koniec. Im zaś głębiej w las hierarchji, tem więcej widać drzew niedemokratycznych, tem wyrazistsza linja wykolejenia z drogi tego Ducha, który znając ograniczenie ludzkie, tak urządzał wszystko wdzięcznie, w braterskiem porozumieniu władzy z podwładnymi.

Jaki np. głos mają wierni w sprawie naznaczenia im proboszcza? W sprawie jego usunięcia? A jaki głos mają kapłani w danej diecezji, gdy chodzi o prekonizację biskupa, od którego zależeć będą lata całe? Nie mówię już o katolikach świeckich tej diecezji, bo... oni się podobno na tem nie znają, kto godny, kto nie godny mitry i pastorału. Ale biorę tylko grono chyba kompetentne — kler. Zazwyczaj wchodzi do diecezji biskup niczem „Deus ex machina”. Wybiera go, jak się mówi, ciasna klika, zatwierdza daleki Rzym. Rzym, który Bismarka uwzględni przy obsadzaniu stolic biskupich, a głosu duchowieństwa uwzględnić nie raczy. I taki system „Roma locuta” ciągnie się już nie rok, nie dwa.

Niewola Rzymu.

Autokratyzm i biurokratyzm, bracia mleczni, wyciskają coraz bardziej pałace piętno na sercu Kościoła. O ileż więcej śladów Ducha Bożego posiada w tej mierze „Sobornaja Cerkow” — i ten wyklęty i djabłu z kopytami oddany „Reformowany Kościół”. Dziesiątkami młotów walą Kościoły narodowe w odrzwia gmachu Piotrowego, a słowa Pana iszczą się bez przerwy:

„Petre dormis?”

Ty Piotrze śpisz... Obudź się, rozpatrz w dziejach, wstań i zrozumiej, że tylko człowiek ciasny, ograniczony, uchyla się od wpływu większej ilości rozumu. Kto chce rzą-

dzieć rozumnie interesami ogółu powinien się postarać o rozum na miarę ogółu. Choćby nawet Chrystus i pierwotny Kościół nie pozostał pod tym względem żadnego wzoru. To postulat czystego rozumu. A wiara rozumną być musi. „Rationabile obsequium vestrum”.

Jak zaś opłakane skutki pociąga za sobą ten system autokratyzmu ze strony władzy, nie silę się nawet opisywać. Zwrócę tylko uwagę na „bolesne” okresy w życiu Kościoła. Cobyśmy powiedzieli o lekarzu, który zawezwany do łóża chorego, nie zajątkuje się o diagnozę, o wypytywanie pacjenta, co mu dolega, tylko z góry, według swego uznania zapisuje lekarstwo. Lekarze „wszechsciencyj lekarskich” do tego są bardzo skłonni. I do tego samego mocno skłonił się Rzym.

Lepiej było Piotrowi zostać w Jerozolimie, lub w Antiochji, gdzie mu Paweł, ten wczorajszy faryzeusz, „in faciem restitit”, a nie przemieszczać stolicy do Rzymu zarążonego autokratyzmem „boskich” Cezarów. Zarażać się począł od nich i zaraził. Niech go Bóg zachowa od paraliżu w tym stanie, bo on, jak on, ale biedny będzie, strasznie biedny Kościół.

Choć jeden tylko, gorzki owoc rozpatrzę, bo wszystkim nie zdołam poświęcić uwagi należytej.

Gdzie prężność prawny jest prężnością „władzę mającym” i o zdanie nie pyta, tam z góry można suponować, że miążdzenie jest na porządku dziennym. Prężność taki najpierw

nie bywa, bo nie może być kontrolowanym. „Ma władzę“ i na kontrolę nad sobą nie pozwoli. I Kościołowi rządzącemu brak istotnie demokratycznych organów kontroli. Conajwyżej — odprawi sobie rekolekcje raz na trzy lata. Pogłaszcze sobie sumienie i kwita. Władza urasta do piedestału jakiegoś półboga, a nie znając, bo nie mogąc znać wszystkiego, rządzi się w wielu wypadkach jak szara gęś, ni przypiął ni przyłatał do miejscowych stosunków. Jeśli to ma być „duch rzymski“, o jakim obecny papież mówił niedawno do pielgrzymki polskiej młodzieży, to padam do nóg. Papieże zejdą — przepraszam za wyrażenie — na bandę białych despotów zachodu. A z nimi cały kler, tylko, że banda będzie fioletowa lub czarna.

Duch Rzymu Piotrowego jest inny. „Łaska wam i pokój niech się rozmnoży, najmilejsi... Wy żywe kamienie, dom duchowny, królewskie kapłaństwo... Starszych tedy, którzy są między wami, **proszę** ja **współstarszy** i **świadek** mąk Chrystusowych... Paście trzodę bożą, która jest między wami (nie „pod wami“) doglądając **nie poniewolnie...** ani jako panujący nad księżmi... A wszyscy jedni drugim pokorę okazujcie... Przez Sylwana wam, wiernego brata, jako rozumiem, pisałem pokrótce; napominając i świadcząc, iż ta jest prawdziwa łaska Boża, w której stoicie. Pozdrawia was Kościół, który jest w Babilonie (Rzymie) **współwybrany.**“ (I Piotra r. 1 i 5 passim)

Oto duch pierwszego papieża. On sam,

świadek zgonu Zbawiciela, rozkazuje wprawdzie, ale „prosząc, napominając łaskawie, jako rozumie...” Wie, że może się odezwać ze słowem władczem do „wszystkich starszych”, którzy są w gronie wiernych (jakaż cudowna muzyka tych słów: „starsi... „między” wami!”), ale czyni to, jako „współstarszy”. Znika „Sanctissimus Dominus”, promienieje „brat Sylwana”, sługa sług bożych... A Kościół, którym on rządzi, wobec innych Kościołów jest „współwybrany”. Paść każe trzodę bożą starszym, a to nie znaczy: ja sam pasę, wy tylko śpijcie i róbcie, co wam zlecę ...z Babilonu... Paść dobrowolnie, nie poniewolnie, pod pręgierzem świętej kongregacji. Biskup, presbyter — to nie automat. To głaz „żywy” duchownego domu Boga. Zatem — autonomia Kościołów wśród poszczególnych narodów, autonomia diecezji, autonomia biskupów... Nie wolno Rzymowi przemieniać „żywych kamieni” na martwe głazy, na pionki z szachownicy Babilonu. Królewskim jest to kapłaństwo, do którego Sylwan pisze inkaustem Piotrowego serca. Należą mu się zatem prawa królewskie. Samodzielność w zakresie indywidualnym, lojalność w stosunkach wzajemnych, łączność braterska rzetelna, ducha raczej niż formy, w stosunku do Rzymu. Starszym pisze współstarszy... Łączyć ma tylko, nie zaś miażdżyć Rzym...

Nie kreślę programu, który dopiero trzeba stworzyć, przetrzepawszy potężnie ostatni codex iuris canonici, ale dotykam zasad funda-

mentalnych w życiu hierarchji i w życiu wszystkich wiernych.

Tak, im jeszcze poświęcę kilka uwag, bo ich także dotyka czasem boleśnie niewola Rzymu.

Samodzielność indywidualna jest prawem wszystkich dusz i wszystkich sumień. Wprawdzie mają być poddani „starszym“ w interesach ogółu, ale osobiste ich sprawy — podciągają się pod rubrykę „królewskiego kapłaństwa“. Królewska pieczęć na nich. Nikomu nic do tego, oprócz Boga. Starsi mogą tylko prosić, pouczać, napominać, przedstawiać, jak brat życzliwy kochanemu bratu. Wdzierać się w tajniki sumień — nie wolno. Bo i na co się to przyda?

Tymczasem co się działo i dzieje jeszcze po zakonach? Po konfesjonałach w tak zwanem „posłuszeństwie spowiednikowi“?

A jak samodzielnem jest przyjęcie wiary, tak samodzielnem również być winno i dobrowolnem, nie poddanem pręgierzowi przymusu, korzystanie z obfitszych jej skarbów — w kapłaństwie, w dążeniu do doskonałości. Zechce papież zrezygnować z papiestwa — wolno mu, zechce biskup usunąć się od zarządu diecezji — ostatecznie wolno mu, zechce proboszcz porzucić parafję — po różnych korowodach — wolno mu. Ale niech zechce ksiądz z osobistych powodów zrzec się spełniania funkcji kapłańskich i pójść tłuc kamienie przy drodze, bo czuje się do tego bardziej zdającym, po przypatrzeniu się konkretnie terenom pracy duszpasterskiej —

nie wolno mu. Interdykty, klątwy, cenzury. Swego czasu ks. Stanisław Staszyc, charakter rzetelny jak rzadko, osądził, że nie dla niego kapłaństwo. Rzetelny krok należałoby rzetelnie ocenić. Oceniono go w „duchu rzymskim”: — apostata. I ten duch Babilonu wciąż pokutuje. Łamie dusze kapłanów, którzy nie widzieli w seminarjum, dopiero widzą na parafji, że nie dorosli do kapłaństwa. Symulują więc, udają, rozgoryczają się, zabagniają swój własny charakter i dusze wiernych — pod nierozumnym pręgierzem. Tymczasem sprawa jest jasna. Wolno papieżowi i biskupowi zawiesić swe funkcje biskupie, wolno i kapłanowi zawiesić swe funkcje kapłańskie. Czasowo, czy choćby na całe życie. Nie „poniewolnie“ lecz „dobrowolnie“ mają paść trzodę bożą, było życzeniem pierwszego papieża, który pisać nie umiał, ale rozum i Ducha Bożego miał nie pod miarę.

Krok dalej — w progi zakonów. Wstępuje dziecko szesnastoletnie, dziewczyna czy chłopiec. Żyje w zakonie lat kilkanaście, rozpatruje się dokładnie w stosunkach „doskonałości” — widzi, że to, co bawiło i było pomocne dziecku, młodemu, to starszemu nie odpowiada. Dziewczyna zatęskni za jednym sercem sobie oddanem, za ogniskiem rodzinnem, przy którym na jej pierś pochyla się płowe główki, owoc jej łona, chłopiec ujrzy w uporczywych tęsknotach „jej” cudną postać dziewczęcą. Zasada postępowania wobec tego rodzaju dusz powinna być

taka: „Dobrowolnieście tu weszli, to i wyjść możecie dobrowolnie. Nie jest złem małżeństwo. Bóg z wami, dzieci kochane! Żegnajcie, a nie zapomnijcie, żeście lat tyle mieszkali w domu bożym. Nie przynieście mu tylko wstydu w życiu samodzielnem—poza murami klasztoru, który was strzegł od złego.“

Gdyby tak stały „kodeksy“, to powinszować Kościołowi całego szeregu rodzinnych domów katolickich, któreby były zarządzane jak klasztory, a klasztorom powinszowaćby można „ludzi“... Myślących, samodzielnych, nie zahakanych... A tak? Przecież istne tortury duchowe, średniowieczne kły, koła zębate i ogień i wodę muszą przechodzić ci, co noszą skromny tytuł prawny „apostata a religjone“. — Wywłoka z zakonu. I jak się tacy nie mają złamać, nie plunąć w twarz „Antychrysta?!“ Metodą Lutra lub jemu podobnych... Nic dziwnego, gdy się słyszy, że zakony, zamiast być wykwittem ducha katolicyzmu, stają się rozsądnymi kołtuństwa — najcięższej niewoli...

A stanowisko obywatelskie wiernych, czy kapłanów? Niedawno pisała „Myśl Wolna“: „Roma locuta... biskupi polscy podali się do dymisji w senacie.

Z samego faktu jesteśmy naturalnie bardzo zadowoleni: miejscem pracy kapłanów jest świątynia, a nie targowisko polityczne.

Ale bezwzględnie protestujemy przeciwko wtrącaniu się mocarstwa obcego do naszych spraw wewnętrznych. Żaden obcy monarcha,

a takim jest papież, nie ma prawa rozkazywać posłom polskim, jak mają postępować. Nie rozumiemy, doprawdy, jak mógł rząd nasz nie zareagować na taki zamach na prawa suwerenne Polski!

Wyobraźmy sobie, że jutro Rada Mędrców Syjonu rozkaże usunąć się z naszych ciał rządzących wszystkim rabinom żydowskim, pojutrze Petruszewicz wycofa nam ukraińców, a za tydzień Komitet Wykonawczy V Międzynarodówki każe wszystkim socjalistom opuścić Sejm.

Niektóre z tych ustąpień mogłyby być dla Polski nawet dobroczynne, inne bardzo szkodliwe, ale fakty same przez się nosiłyby tę samą cechę: wpływ obcych rządów na wewnętrzne życie nasze. Jest to rzecz zupełnie niedopuszczalna!

Coby też powiedział papież, gdyby tak rząd nasz zażądał odebrania czerwonych kapeluszy tym niemieckim kardynałom, którzy działali na szkodę Polski przy plebiscycie śląskim?

Ale my właśnie zawieramy z Rzymem konkordat, który ma polegać na tem, że:

1. Rzym będzie miał głos decydujący w sprawach obywateli polskich w granicach Państwa Polskiego;

2. Polska nie będzie miała żadnego głosu w sprawach dotyczących Rzymu.

A za to:

3. Polska będzie łożyła na utrzymanie kleru rzymskiego, uznającego nad sobą tylko władzę papieża;

4. Rzym zaś pozwoli zbierać dla siebie w Polsce świętopietrze, importować zaś będzie wzamian błogosławieństwa, odpusty i wizytatorów politycznych.

I niech kto powie, że to nie „równy z równym” traktuje! (Myśl Wolna, kwiecień 1923).

I takich kwiatków do wianka mógłbym zbierać tysiące. Te, które weń wplotłem, wystarczą, by uprzytomnić wszystkim myślącym w Kościele, że:

1-o Rzym nie posiadał wszystkich rozumów, które jednak są mu potrzebne do rozumnego zarządu wszystkimi wiernymi.

2-o Jeśli jednak Rzym sądzi, że ma wszystkie rozумы, to wystawia sobie wielce arystokratyczne świadectwo — ubóstwa umysłowego.

3-o Biskupi Kościołów „współwybranych” z Rzymem, podpisują się pod tym samym dyplomem, jeśli pozwalają Rzymowi wtrącać się w sprawy lokalne, nie mające nic stycznego z całością; jeśli lękają się u siebie zaśpiewać po polsku „Tantum ergo”, choć lud nie rozumie łaciny i oddaje Bogu „irrationabile obsequium”; jeśli nie zdobyli się dotąd na wspólnego przedstawiciela swych interesów w Rzymie, któryby czasem w żywe oczy oparł się kongregacjom czy papieżowi i nie pozwolił na wydanie pewnych bull i encyklik, kompromitujących państwo, policzkujących naród.

4-o Rzym, jeśli na tem przekonaniu oparty, tak sprawuje rządy i nagina stosunki, nagina dusze, nagina sumienia do swojego „sic volo, sic

iubeo" — wbrew ich dobru religijnemu — wówczas, zasadniczo biorąc, wstrząsa falę powietrzną, „aerem verberat...“ I wierni, świeccy, kapłani, biskupi — mają **ściśle prawo**, *ius strictum*, z takich posunięć nic sobie nie robić i żądać uwzględnienia pełni swych praw, domagać się dla siebie kontroli, rozumnej i określonej ramami prawa. A gdyby papież o tem wiedzieć nie chciał, pomimo tradycji pierwszych wieków, to może podać się do dymisji. Jeszcze Kościół zdobędzie się na jego następcę. Znajdzie szersze serce i duszę, o groby męczenników wspartą, jak nie we Włoszech, to w Paryżu, czy Nowym Yorku...

5-o Rzym bowiem, w taki sposób arbitralny postępując, wprowadza w świat najstraszliwszą, jaka istnieć zdolna, niewolę. Niewolę dusz i sumień... I wyznać trzeba, że o to nie pokusił się dotąd żaden satrapa... Chwałę tę tylko pozostawił — Bóg czy djabeł — jednemu papieżstwu...

O! *Sunt lachrymae verum...* Czuję, że nie zdołam wyczerpać tematu... Nie Kościół dla papieża, lecz papież dla Kościoła... Inaczej —
Niewola Rzymu.

RZYM UPRAWIA DEWOCJĘ.

Jedna struna, przedziwnie wzniosła i po-
tężna, struna zaprawdę boska, drga i tętni od
początku życia w ludzkości: to wiara w Boga.

Istnieją miasta bez murów, narody bez urzą-
dzeń państwowych i bez cywilizacji — ludu
bez „jakiejs” wiary w Boga nie znaleziono.

Jeśli istnieje wiara, musi istnieć i **wyraz
wiary.**

Człowiek mówi o Bogu tak, jak o każdej
rzeczy. Nietylko wargami, nietylko głosem.
Kiedy cała jego dusza daje wyraz swym prze-
konaniom, wówczas mówi wejrzenie, gest,
strój... Wszystko idzie na usługi jej głosu. Cały
świat staje się jednym ołtarzem, cała ziemia
z kwitnącym swym przepychem jedną szatą ka-
plańską. Człowiek ozdabia nią swe barki, czoło,
ramiona, by jak najgodniej pokłonić się przed
Stwórcą, by Mu powiedzieć jak najwspanialej:
„Chwała na wysokości Bogu! Cześć Ci odda-
jemy, wielbimy, błągamy. Albowiem Tyś jeden
wielki, jeden święty, jeden Pan!”

Taki całkowity głos, taki pełny wyraz wiary
nazywamy kultem Boga, liturgią, służbą Bożą.
Wszędzie napotkać go można. Ludzkość, jak
procesja wielka a różnorodna, przechodzi pod
niebem.

Na tysiące sposobów, tysiącem języków, lutni, hymnów, świątyń, ołtarzy, mówi, wykrzykuje i śpiewa wciąż jedno: „Wierzę w Boga!”

I człowiek potrzebuje tego wyrazu. Jak każdy wyraz, wnosi on w duszę mówiącego rzecz, którą oznacza. Tą rzeczą jest Bóg, a wraz z Bogiem wchodzi do myśli, do serca człowieka, wszystko, co z Bogiem jest związane. Wszystko zatem, co wzniosłe, co święte, co szczytne, co szlachetne, idealne i boskie, wchodzi z tym wyrazem „Bóg” i zamieszkuje duszę człowieczą. Im częściej wchodzi, im uroczyściej — tem głębiej się w niej zakorzenia i sprawia, że boskość poczyną się udzielać życiu ludzi. Tem człowiek żyje, tem żyją narody i ludzkość, o czem często, gorąco, najgoręcej mówią. Przeciwnie, jeśli zanika wyraz, zanika i rzecz przezeń oznaczana. Jeśli jaki człowiek, czy naród, poczyną zbyt rzadko lub zbyt blado wypowiadać kultem zewnętrzny swoją wiarę w Boga, wówczas zanika wiara i Bóg w jego duszy, w jego życiu. A z Bogiem razem umiera wszystko, co boskie, święte, szlachetne, co rwie się nad poziomy. A ponieważ w duszach ludzkich pustki być nie może, i ludzie zazwyczaj żyją kontrastami, przeto na miejsce tego, co święte, przychodzi i zaszczepia się to, co nieświęte, na miejsce tego, co wzniosłe, przychodzi to, co podłe, i na tronie, należnym Bóstwu, zasiada Nieprawość, Ohyda, Zbydlęcenie. Tak się dzieje w duszy jednostki, tak w duszy narodów.

Człowiek zatem i ludzkość potrzebuje tego

zewnątrznego, pełnego, owszem najpełniejszego wyrazu swej czci wewnętrznej dla Boga. Człowiek i ludzkość potrzebuje ciągłego kultu Boga, najwspanialszej, na jaką nas stać, liturgji.

Nigdy atoli nie można pozwolić, żeby liturgia się odcięła od ducha wewnętrznych przekonań, żeby się stała sama sobie celem. Ona jak wynika z przekonań, tak do nich wracać powinna. Przekonania tworzą liturgję, liturgia powinna tworzyć przekonania, pogłębiać je w duszach, a przez to pogłębiać, uszlachetniać życie ludzkości. To jej cel, jej rola w historii świata.

Każda większa religja, każde wyznanie, na swój sposób organizuje u siebie kult Boga, liturgję. W miarę wysokości poziomu kulturalnego, wyżej lub niżej stoi także liturgia. Bóg jest nieskończony w Majestacie, nic przeto i nikt godnie uwielbić Go nie zdoła. Ale człowiek, posiadając zdolność uwielbiania, zatracalby część swego człowieczeństwa, gdyby nie starał się wielbić w miarę sił. *Quantum potes, tantum aude!* Inną jest liturgia u dzikich, inną u ludów cywilizowanych, inną być musi w społeczeństwach o wysokiej kulturze.

I Kościół katolicki zorganizował u siebie liturgję. Pracował nad tem systematycznie długie wieki. Nie uronił, rzeczby można, ani jednego tętna, ani jednego westchnienia, jakie pierś ludzka wysłała ku niebu. Włożył ogrom pracy, dosłownie niemal benedyktyńskiej, ale też może się poszczycić wynikami pierwszorzędnej wartości. Liturgia Kościoła katolickiego jest naj-

piękniejszą i najrozumniejszą ze wszystkich liturgij.

Streścimy krótko najważniejsze jej zasady i myśl przewodnią.

Kult Boga wśród swoich wiernych Kościół podzielił na dwie formy: prywatną i publiczną. Forma kultu prywatna, zostawiona dowoli każdemu, opiera się na modlitwie, ustnej czy myślniej, częstej lub mniej częstej. Praw ścisłych co do tego niema. Jest tylko prawo jedno, negatywne, które mówi, że popełniłby grzech ciężki przeciwko czci należnej Bogu ten, ktoby przez dłuższy przeciąg czasu, np. przez miesiąc, ani razu nawet nie pomyślał o Bogu. Wszelako pobożność katolicka ujęła kult Boga prywatny we formę modlitwy porannej i wieczornej, zwanej inaczej codziennym pacierzem. Na początku i na końcu drobiazgowych spraw dnia człowiek zwraca się z serdeczną modlitwą do Tego, który jest początkiem i końcem wszechrzeczy. Jak zorza poranna rozpoczyna, a zorza wieczorna kończy dzień na niebie, tak złoty obrzask modlitwy obejmuje w promienne, boże jakieś ramy dzień chrześcijanina. Albo inaczej jeszcze dałaby się ta praktyka porównać do codziennego „Dzień dobry” i „Dobranoc” Ojcu naszemu na niebie. Tak w każdym dobrze wychowanym domu kulturalnego społeczeństwa czynią dzieci względem rodziców. Czyniąc tak katolicy, wskazywaliby milcząco na rys kultury i dobrego wychowania, wszczepiony w ich serca przez Kościół.

Kult publiczny z natury rzeczy musi być już ściślej określony przez władzę publiczną i domierzony do potrzeb ogółu.

Kościół pod tym względem przyswoił sobie schemat kultu publicznego, praktykowanego w Starym Zakonie i wogóle w starożytności, tylko dał mu nową, nieznaną dotąd treść. Ofiara i uczta ofiarna, co jakiś czas odbywane, stanowiły przedmiot publicznego kultu, to też ofiara mszy św. i uczta ofiarna — **Komunja św.** stanowią oś zwrotną w kulcie, liturgji Chrystjanizmu.

Wszystko inne albo stąd bierze początek, albo do tego wiedzie. Raz w rok każdy z wiernych ma ścisły obowiązek sumienia przystąpić do Stołu Pańskiego i co siódmy dzień stanąć z powinnym hołdem publicznym wobec Majestatu Boga. Kto tego nie czyni, ten (w duchu pojęć i praw Kościoła) jak gdyby mówił: „Ja wykreślam się z liczby tych, co czczą publicznie Boga”. I takiemu imieniem Boga odpowiada Kościół: „Więc i ja wykreślam cię z liczby tych, co zasiadają ze mną w chwale Ojca. Kto mnie wyzna na ziemi, tego wyznam i ja w niebie, kto się mnie zaprze przed ludźmi, zaprę się go i ja przed Ojcem moim. Kto gardzi moim domem na ziemi, gardzi tem samem domem moim w niebiosach”. Praktykę kultu publicznego Boga zalecił Kościół wiernym pod karą grzechu ciężkiego, z wyjątkiem, oczywiście, wypadków poważnej niemożności zadośćuczynienia prawu.

I słusznie. Obowiązek to bowiem poważny. Wierni naogół nie doceniają jego doniosłości.

Zwłaszcza tak zwana „inteligentna“ część społeczeństwa uchyla się od systematycznego oddawania czci publicznej Bogu. Lada błahostka prywatnej natury, już uważają się za zwolnionych od udziału w ofierze Chrystusa. Tymczasem inteligentna część społeczeństwa powinna to zrozumieć, że bez objawów publicznych wiary w Boga, nie będzie Boga w życiu publicznym. Niech połowa jakiegoś miasta, lub kraju nie zjawi się przed ołtarzem. Niech całe miasta, cały kraj to uczyni. Co wówczas? Powiemy, że tu nie wierzą w Boga, że tu zamarło w sercach i pamięci ludzkiej bóstwo... Natomiast na jego święte miejsce przychodzi podłość, nieprawość — i buduje własne ołtarze w sercach, miastach i państwach.

Kult Boga publiczny jest obowiązkiem i węgielnym kamieniem uczciwości społecznej. On budzi sumienia, każe im stawać wobec Majestatu Świętego Świętych i samym stawać się świętymi. Zginie publiczna uczciwość tam, gdzie niema publicznego kultu Świętości.

Zdaje sobie dokładną sprawę z tego Kościół i dba o liturgję niemal narówni z głoszeniem słowa Ewangelji. A nawet może i więcej. Bo liturgja sama z siebie jest Aniołem, Zwiastunem rozśpiewanym Ewangelji.

To też w samem postawieniu sprawy niema nic złego lub niewłaściwego. Niewłaściwość ujawnia się dopiero wówczas, gdy idzie o praktyczne zastosowanie zasad kultu do życia je-

dnostkowego i społecznego. I tu słyszy się zarzut, że Rzym uprawia dewocję.

Cóż to jest dewocja?

Dewocja jest to wszystko inne, tylko nie kult Boga rozsądnie pojęty. Prawdziwa „pobożność“ polega na tem, by „po bożemu“ wykonywać wszystkie swe obowiązki: wobec Boga, bliźnich, własnego ciała i duszy. Dewocja ten porządek wywraca do góry nogami. Wprowadza nadmiar kultu, wprowadza niewczesność kultu, z uszczerbkiem praw miłości bliźniego, nawet obowiązków sumienia. Dewot przesiedzi pół dnia w kościele, choć w domu nieład i niechlujstwo. Dewot ucałuje każdy stopień ołtarza, wychodząc, a gdy przyjdzie skłamać, podejść, oszukać, sprzeklinać kogo, on będzie pierwszym do apelu.

Czy kościół szerzy nadmiar kultu? Czy popiera jego niewczesność?

Nie można tego twierdzić w całej rozciągłości. Ale poczęści jest tak. Rzym, dyrygujący kultem, uprawia jednak dewocję. Zapewne mocno się zdziwi św. Kongregacja obrzędów, ale prawda prawdą. Musi być wypowiedziana jasno i otwarcie.

W szerzeniu dewocji głównie winę ponoszą zakony. Zakonnicy mają czas. Mogą sobie dowolnie mnożyć ilość modlitw. Jedni takie, drudzy inne. Uczyniwszy to, starają się zjednać sobie prozelitów. Nakładają na nich pacierzy bez końca, w ilości wprost nieproporcjonalnej, zobowią-

żą do ich odmawiania. Adeptci takiej pobożności uważaliby sobie za grzech opuścić modlitwę, bo to rzecz święta... Mówią zatem pacierze i polecają łasce boskiej duszę męża, brata czy syna, który głodny, nie zastawszy obiadu, klnie na czem świat stoi. Takie świeczniki pobożności są w każdej parafji, dyskredytując wiarę. Ludzie bowiem, sądzący po wierzchu, powiedzą sobie poprostu: „Do czorta z takim nabożeństwem“. Św. Kongregacja obrzędów nawet sobie sprawy nie zdaje z tego, ile szkody przynosi Kościołowi, **dając patent publiczności różnym prywatnym, zaściankowym praktykom** bractw, kongregacyj, archikonfraterni... Dobrze jest, gdy wierni pomyślą o tem, by więcej myśleć o Bogu, kiedy mają czas, ale źle jest, gdy później tacy „bractewni“ usiłują nagiąć pod jarzmo swoich dowolnych praktyk — nie przesadzam — „cały świat“ i za niedowiarków mają i jako niedowiarków wytykają palcami najuczciwszych, ale trzeźwych pod względem bractewności ludzi. Zdaniem piszącego należałoby Kościoły zarezerwować tylko dla parafjan, bractwa zaś, dewocje wyeliminować. Kościół jest miejscem kultu publicznego. Dewocje rzeczą prywatną.

Co się tyczy winy niewczesności kultu, to ponosi ją już św. Kongregacja. Dobrze są ustalone ramy dla kultu publicznego i powinny być, ale

1-o powinny się stosować (bezwzględnie) do wymogów kraju, wieku, narodu. Niezrozumiały język — o czem osobny rozdział — nie-

swojskie formy kultu, zbyt ich ujednostajnienie sprawia, że nie wsiąkają w duszę wiernych. Pozostają powierzchowną, martwą formą bez treści. Nic nie dają człowiekowi wewnętrznie, dla uczciwego życia, dla podniesienia serca ku Bogu, a zajmują niepotrzebnie czas. Stają się zawadą cywilizacyjną — bo na terenie publicznym — dewocją masową.

2-o. Powinny być, zasadniczo biorąc, zakreślone w porozumieniu z samem społeczeństwem i nie uciążliwe dla niego, lecz wygodne. Ono najlepiej wie, jak, kiedy, w jakiej mierze nie będą dlań przeszkodą. Weźmy np. godziny ranne nabożeństw publicznych. Po większych miastach poczynają być już anachronizmem. Katakumbowa praktyka wieczorna może byłaby bardziej na miejscu. Niedziela jest urzędowym niejako dniem kultu. Ale nie wszyscy mają czas wolny w niedzielę. W drodze wyjątku wskazać im dzień dowolny, żeby zadośćuczynili obowiązkom wobec Boga.

3-o. Przedewszystkiem formy kultu nie powinny czepiać się litery, tylko treści wiary i potrzeb życia religijnego wiernych. Stąd jeśli by dobra się okazała nawet forma liturgji, praktykowana przez Badaczy Pisma św., to ją wprowadzić. Nie zasklepiać się. Każdy człowiek i każda epoka lubi się modlić po swojemu.

4-o. Rzeczy kultu zasadniczo pozostawić diecezjom. Biskupi w porozumieniu z duchowieństwem i wiernymi niech ustalą ich ramy.

Rzymski zarys tych form już nie zginie, ale napelni się nową treścią. A wielu członków ze św. Kongregacji obrzędów będzie mogło wyjechać na misje do Afryki, bo tam się przyda trochę więcej duchowieństwa. W Rzymie szerzą dewocję, tamby szerzyli wiarę.

MAKARONIZM LITURGJI.

„A gdy się spełniały dni Pięćdziesiątnicy, byli wszyscy wespół na temże miejscu. I stał się zprędką z nieba szum, jakoby przypadającego wiatru gwałtownego i napełnił wszystek dom, gdzie siedzieli. I ukazały się im rozdzielone języki, jakoby ognia i usiadł na każdym z nich z osobna. I napełnieni byli wszyscy Duchem Świętym. I poczęli mówić rozmaitemi językami, jako im Duch Święty wymawiać dawał.

A byli w Jeruzalem mieszkający Żydowie, mężowie nabożni ze wszęgo narodu, który jest pod niebem. A gdy się stał ten głos, zbieżało się mnóstwo i strwożyło się na myśli, gdyż każdy słyszał ich swym językiem mówiących. A zdumiewali się wszyscy i dziwowali, mówiąc: Izali oto ci wszyscy, którzy mówią, nie są Galilejczycy? A jakożeśmy słyszeli każdy z nas swój język, w którym się urodziliśmy? Partowie i Medowie, Elamitowie i mieszkający w Mezopotamji, w Żydowskiej ziemi i w Kapadocji, w Poncie i w Azji, Frygji i Pamphilji, w Egipcie i w stronach Libji, która jest koło Cyreny i przychodniowie rzymscy, Żydowie też i nowonawróceni, Kreteńczycy i Arabowie — słyszeliśmy ich mówiących językami naszymi wielmożne sprawy boże.“ (Dzieje Apost. 2, 1—11).

Siedziałem w ławce jednego z Kościołów byłej Kongresówki i słuchałem, jak ksiądz podczas nabożeństwa śpiewał ten ustęp Pisma św. w lekcji mszalnej. Był dzień Zielonych Świątek i pod wpływem „czytania” Dziejów Apostolskich, które rozumiałem, jeden z nielicznych inteligentnych uczestników, rozumiejących po łacinie, uczułem, jak mi dusza przenosi się ze skromnych murów świątyni w mury Wieczernika i odnajduje sama siebie w pierwszych czasach Kościoła, gdy nań „przypadł jakoby szum wiatru gwałtownego”. Duch Boży, przyobiecany Apostołom przez Chrystusa, zstępował, aby ich nauczyć wszystkiego.

I pierwsza lekcja była poświęcona liturgji. Zdumieni słuchacze izraelscy, słysząc tych Galilejczyków, orzekli, że tysiącem języków oni sławią „wielmożne sprawy boże”. Poryw Ducha Bożego udzielił się ich duszom. Nie mogą milczeć, pełni Jego żaru i Jego mocy. Nie zadowalając się wnętrzem swego domu, wychodzą na widok publiczny. Modlitwę, na której trwali w Wieczerniku, przenoszą na ulice miasta Jerozolimy. I ta liturgja, zaimprovizowana w obliczu Syjonu, przedziwne ujawnia akcenty. Nie ludzie układają jej brzmienie; kształtuje ją Duch Boży. On też odrazu zakreśla dla niej szerokie, Chrystusowe iście, tereny. Chce ją pchnąć na cały świat, dać jej język „wszystkiego narodu, który jest pod niebem”.

I tak uczynił. Gdybyśmy się zapytali dzie-

jów Kościoła w pierwszych wiekach chrystjanizmu, w jakim języku odbywała się liturgia, publiczna modlitwa wiernych, tobyśmy usłyszeli odpowiedź Zielonych Świątek. „Słyszeliśmy ich mówiących językami naszymi wielmożne sprawy boże.“ Żydzi sprawowali liturgję po żydowsku, Grecy po grecku, Rzymianie po łacinie, Koptowie po koptyjsku, Ormianie po ormiańsku, Słowianie po słowiańsku... Tak, nawet oni, benjaminek katolicyzmu w Europie, który w wieku X ujrzał światło wiary...

Ale właśnie już wówczas lekcja Ducha Bożego poczęła na terenie liturgji natrafiać na niezrozumienie. Jacyś „wielce uczeni“, mędrsi od Ducha Bożego „apostołowie“, skonstruowali wielce mądrą teorję, według której tylko trzy języki miały ten przywilej, że można było niemi wychwalać Boga publicznie. Łacina, greka, hebrajski. Tak, ponieważ w tych trzech językach wyraził Piłat publiczną cześć Chrystusa na krzyżu. Starosta rzymski w Judei zainicjował taką tylko liturgję. Dlatego też i Słowianie, tudzież jeden z ich szczepów, Polanie nad Wartą i Wisłą, powinni byli — zdaniem owych apostołów — zapomnieć swej mowy przy ołtarzu krzyża.

I duch Piłata zwyciężył. Ten genjusz zaważył na losach naszej liturgji w Polsce. Musimy w Kościołach po łacinie wielbić „wielmożne sprawy boże“. Skrępowała Ducha Bożego i ducha polskiego adoracja dla Cycerona, Horacego, Wergiljusza, Tacyta i — Piłata. Duch

Boży i duch Polski bronił się wprawdzie, ale nie obronił. Rzym bowiem, ten w tiarze, stanął po stronie Rzymu Cezarów i Piłatów, wraz z jego mową i zadławił, ściśle mówiąc, mowę naszą. Upstrzył ją łaciną. Stworzył makaronizm liturgji po kościołach. Nie wiedzieć, jaki naród w nich się modli.

A przecież liturgia powinna wśpiewać wiarę w duszę narodu!

We wszystkie jego warstwy i stany! —

W prostaczków i uczonych!..

Uczonych? Przecież uczeni polscy rozumieją po łacinie! Zostawić im liturgję łacińską!

Tak?! A oto zdanie jednego z „uczonych“ polskich w tej mierze. Przytaczam urywek z całości.

„Sprawa unji, sprawa Kościoła narodowego,*) z własnym językiem zamiast łacińskiego, z liturgją zrosłą z obyczajem narodowym, a **jednak łącznego** z powszechnym Kościołem tak zwanym rzymskim i z cywilizacją zachodnią, sprawa ta nasuwa nam przed oczy sprawę własnego obecnego łacińsko-rzymskiego Kościoła.

Jak długo łączność religijna z Rzymem była narażoną na wstrząśnienia husytyzmu i reformacji, tak długo język łaciński w Kościele miał

*) A. Górski. Ku czemu Polska szła. Wyd. 2. — str. 225—230. — Niesłusznie autorowi podsuwano koncepcje kodurowskie „Kościoła narodowego“. Podkreśliłem odnośne miejsce tekstu, wyświetlające sprawę. — Słowa, ujęte w nawias, są moje.

swoje znaczenie łącznika z Rzymem. Przy słabych jeszcze węzłach wewnętrznych, węzły czysto zewnętrzne odgrywały tu dużą rolę. Język ten dawał duchowieństwu dostęp do literatury teologicznej, kościelnej wogóle i dopływ nowych idei. Był on również czemś żywym i dla społeczeństwa w czasach, kiedy znajomość łaciny była upowszechnioną w warstwie ziemiańskiej, ta zaś stanowiła naród. Język ten otwierał zarazem dostęp do literatury starożytnej, poza którą jeszcze w wieku XV, nawet XVI, niewiele w Europie było do czytania. Był on wreszcie językiem międzynarodowym nauki, dyplomacji, nawet językiem towarzyskim, jak dziś francuski i angielski.

Wszystkie te względy dziś już nie istnieją. Dla zwartej masy narodu język łaciński jest niezrozumiałym, wyjąwszy grono filologów. **Wzgląd najpoważniejszy, troska o utrzymanie jedności z Kościołem zachodnim, przestaje odgrywać rolę tak poważną jak dawniej; na miejsce bowiem łącznika zewnętrznego wytworzył się już w narodzie związek wewnętrzny z Kościołem zachodnim, organiczny i organizacyjny, powinowactwo długich przeżyć i wspólnej kultury. Niema obaw o chęć bytowania w oderwaniu, o ruchy protestu, dążenia takie nie leżą w duchu czasu. (Łączność, ale i **samodzielność** w stosunku do Rzymu, to hasło dzisiejsze). Pozostają jedynie względy na jednolitość (wygodną) liturgji i na miłą dla duchowieństwa kościelną tradycję.**

Ale gdzie są względy na naród?

Synod piotrkowski z r. 1577 rozszerzył był granice używalności języka polskiego w liturgji, a to pod naciskiem języka polskiego w kościele reformowanym. Sądzimy, że obecnie nowy synod Kościoła polskiego jest nieunikniony. Będzie to krok konieczny, aby zbliżyć Kościół do życia, tego życia, które dzięki martwemu językowi liturgji, odchodzi od jego progów. Krok ten zbliży nas zarazem do Kościoła unji, z pożytkiem obopólnym. Wiadomą jest rzeczą, że w Galicji np. unja ruszczy polskiego chłopą, podczas gdy Kościół łaciński jest w podobnem położeniu bezsilny.

Szkody, wyrządzone nam przez łacinę w Kościele, są ogromne. To, że Włoch, Francuz, Rosjanin przywiązany jest do swej swoistej atmosfery obyczajowej, że w niej tkwi, że ona ma dlań urok, który zwiększa jego przywiązanie do kraju, pochodzi to także i stąd, że jego Kościół, jego cerkiew, jego młodość przeżyć religijnych związane są z zapałem mowy rodzinnej: bo wkońcu dla Francuza łacina jest jego językiem (staro-) cerkiewnym. W Kościele, który nas ogarnia, niema ciepła rodzinnego uścisku. Formy jego kopjowane z zachodu, z wzorów obcych; język jego nie mówi nam nic. O ileż szczęśliwszy od nas jest Rusin i Rosjanin.

A wszakże w tym języku liturgji złożone są skarby doświadczeń religijnych i uczuć, jakie ludzkość przeżywała tylko raz, w katakumbach swoich. Cała ta księga hymnów nieśmiertel-

nych, psalmów, prorocत्व, pieśni i modlitw natchnionych jest dla nas w podwojach świątyń polskich poprostu straconą. Od czasu pierwszych Piastów, kiedy obcy kapłan, w obcym języku zajmował Kościół w posiadanie, a naród był tylko milczącym widzem obrzędów, nie posunęliśmy się o wiele. Jest to szkoda nieogarniona. Rozumiemy wagę tradycji, szacunek winny językowi, który z burzy dziejów wybrocił takie skarby wierzącego serca i takie pieśni z piersi swojej wyśpiewał. Ale wkońcu każda tradycja martwa wyczerpuje się; a jeśli już chodzi o tradycję, to większe prawo będzie miał język hebrajski.

I w jaki to wogóle sposób rozwijać się mogła u nas głęboka twórczość religijna, jeśli naród odłączony został obcym sobie językiem od tradycji zarówno chrześcijańskiej jak własnej? Jeśli ten język, zasiadłszy w jego gontynie starodawnej, kazał wieszczkom i ofiarnikom jego oniemieć od czasów Mieszkowych po dziś? Zachowało się w drewnianych kościołach wiejskich budownictwo nasze plemienne i dziś wdzięczni jesteśmy budarzom, że ocalili dla nas polski kształt swoisty, oczom drogi. Ale z dawnych polskich zaśpiewów modlitewnych nie pozostało nic. Zubożyło to duszę narodu. Poszła ona pocieszyć się w pieśni ludowej; ale ta pieśń ludowa to jeszcze nie twórczość narodowa, to nie hymn wedyjski, czy ambrozjański. Nie zapominajmy, że hymn „Święty Boże” jest tłumaczeniem z łaciny (i dzięki przekładowi tak

miły). Czemże byłoby całe dzieło kultu, gdyby mu język polski podobnego (zrozumiałego) **do-
dał majestatu!** Kiedy się widzi w dniach Wielkiego Tygodnia, jak najpiękniejsze pieśni i zawodzenia chóru diakonów rozbijają się o łuki kościelne i padają jak martwe, niepojęte, niezrozumiałe przez ogół — to wkońcu ten błąd obcości językowej wyrasta w oczach naszych **na grzech (ciężki!) przeciw religijnej duszy narodowej.** Jej boski dar mowy przyrodzonej domaga się własnego prawa czci. A prawo to wyrósć może i spełnionem być może tylko tam, u samego ołtarza, gdzie się podnoszą słowa tajemnic pomiędzy bóstwem a duszą. Podobne poczucie nonsensu odnosimy np. przy łacińskich egzekwjach, które przyszły zastąpić dawne, rzewne, słowiańskie obrzędy pogrzebowe. Jesteśmy naprawdę najbardziej pokrzywdzonym na wierze swojej narodem.

Nasz związek z Kościołem łacińskim okupiliśmy drogą. Jemu zawdzięczamy zatrzymanie rozwoju naszego piśmiennictwa aż do wieku XVI, jemu również łacinę siedemnastowiecza. Gdy Ruś posiada już w wieku X swoich narodowych kronikarzy (z których korzysta Nestor), gdy jej język pogłębia się i wykryształą w pieśni modlitewnej, u nas język ten, który wszędzie indziej szkołę swoją znajduje w kulcie, cofa się przed obcym językiem, który go wyręcza, milczy w kronikach, jest u siebie samego uważany za intruza. Tak to łacina, wtargnąwszy do świątyni narodowej, zubożyła tu treść i formę

języka religijnego. Zubożyła ona i jego obrzędową melodję. Lepsza dola była udziałem Rusi; tam cała obrzędowość jest rozmową między kapłanem a chórem. U nas chór, jako łaciński, wykluczał lud ze swego grona. Śpiewy gregorjańskie istniały tylko przy kapitułach i po zakonach, wszędzie indziej zaś śpiew zastąpiony był przez organy i nieforemne ludowe unisono. A jednak śpiew ludzki ćwiczony jest najszlachetniejszym i najwymowniejszym instrumentem, którego nic nie zastąpi.

Przypomnijmy sobie po drodze, że w początkach było inaczej, że w dziewiątym wieku znajdujemy na obszarach polskiej ziemi Kościół słowiański jeszcze przed chrztem Mieszka. Kronikarze mówią nam wyraźnie o założonym w 949 r. na Kleparzu (dziś przedmieście Krakowa) Kościele św. Krzyża z językiem słowiańskim. Kolegium benedyktynów słowiańskich, ustanowione przez Jadwigę, istnieje jeszcze za Długosza, a więc pod koniec XV wieku. Długosz „często się tam udawał dla przysłuchiwania się pięknym śpiewom w języku narodowym”. Wapowski, historyk z XVI wieku, pisze: „Narodowe nabożeństwo niedawno zatraciło się u nas, a niewątpliwe jest, że w jednym miejscu odprawiało się ono do początku XVI wieku.” Antykwariusze dawniejsi, ks. Siarczyński, ks. Juszyński, potwierdzają tę opinię na podstawie źródeł i ksiąg liturgicznych, które mieli w rękach. Juszyński zapewnia, że do r. 1500 były w użyciu brewjarze polskie, twierdzi również,

że księgozbiór Załuskich posiadał egzemplarze przekładu Pisma na język polski, dokonanego z polecenia arcybiskupa gnieźnieńskiego M. Trąby (pierwsza połowa XV wieku), który był zwolennikiem liturgji narodowej. Gdzie się podziały te księgi słowiańskie, a może i polskie, których gdzieniegdzie w Polsce do liturgji używano? Wytepione zostały przez duchowieństwo łacińskie. Przypomnijmy, jak jezuici w Czechach w w. XVII spalili, wedle ich własnych obliczeń, ksiąg czeskich do pół miljona.

Można powiedzieć, że obecną liturgję łacińską zawdzięczamy u siebie Niemcom; raz dla wytepienia przez nich posiewu Cyryla i Metodego u Słowian zachodnich, a powtóre dla wojny husyckiej. Wciągnięcia Polski w ten wir walk religijno-narodowych obawiał się Oleśnicki. I słusznie. Mielibyśmy wtedy przeciw sobie nową krucjatę Europy z Zakonem na czele...

Dziś, gdy względy poprzednie ustały w zupełności, gdy **unarodowienie języka obrzędowego** nie zagraża jedności Kościoła powszechnego, gdy ruski kościół zjednoczony wykazał swą żywotność, a bułgarski, narodowym będąc, przystępuje do unji z Rzymem, dziś przyszedł czas zatroszczyć się nietylko o Martę jednolitej administracji, ale i o lud, słuchający słów u stóp Nauczyciela. Wiele zjawisk przemawia za tem, że nowy ruch wprowadzenia języka polskiego do obrzędowości Kościoła wyjdzie z szeregów samego duchowieństwa. Nowy Synod z **szerokim udziałem duchowieństwa**

(a wartoby popytać o zdanie także inteligentnych katolików świeckich) należy do niedalekiej przyszłości. W jakich granicach dokona się ta przemiana, przesądzać trudno. Musi to być jednak przemiana taka, aby religijne uczucie narodu mogło powitać ją jako drogę do swego odrodzenia."

Po skończonem nabożeństwie gawędziliśmy z proboszczem na plebanji. Pytałem, czemu w środku procesji końcowej przerwał pieśń „Kto się w opiekę“, intonując „Te Deum“, które „odbeczał“ tylko organista. Śpiew pieśni przecież tak się pięknie rozwinął.

— Ha, cóż robić! Przepis i tyle — odrzekł. Gdyby to ode mnie zależało, tobym sprawę języka liturgicznego załatwił poprostu. Gdzie się ksiądz modli sam dla siebie, niech się modli po łacinie, nabożeństwa publiczne, w których lud uczestniczy — po polsku. Ja np. bardzo lubię łacinę. Tajemniczość pewna, wytworzona niecodziennym językiem, potem posmak katakumb... Ale nie chciałbym swojego gustu narzucać innym. Znam takich, którzy utrzymują wręcz przeciwnie, że inaczej nie umieją się modlić, tylko po polsku. W każdym razie powinniśmy mieć dwie rzeczy przed oczyma, że liturgia łacińska nie jest dogmatem i zmienić ją na polską, nawet w całości, można, a powtóre, że zasadę i wytyczną w sprawie liturgji brać powinniśmy z pierwszych wieków. Byleby Chrystus był przepowiadany, byle Bóg był bardziej uwielbiany w takim, czy owakim języku —

wszystko jedno. Zatem brewjarz — zreformo-
wawszy go odpowiednio i skróciwszy — i admi-
nistrację dać po łacinie, a kult publiczny — po
polsku. Jabym ostatecznie zgodził się na łaci-
nę w publicznych nabożeństwach, ale pod wa-
runkiem, że biskup nauczy wpierw każdego ze
swych diecezjan władać tym językiem tak, jak
nim włada sam pasterz diecezji. Wtedy zgoda.
Ale inaczej, co ci ludzie rozumieją? „Kyrje elej-
son, oremus, benedicat vos... ignis, graudo, nix,
glacies, spiritus procellarum...” Istny bigos hul-
tajski przy ołtarzu.

Ale cóż! Kazali! Jak przepis to przepis.
A mógłby przecież papież sobie przypomnieć,
jak mu się podobały Gorzkie żale w Warszawie.
I wszystko dać na tę modłę urządzić... A tak?
Łatamy łaciną dziury Królestwa Bożego.

Nagle zwrócił się do mnie żywo.

— Ciekawym, jakby też wyszły Gorzkie żale
po łacinie?...

KANDYŃSKIE JARZMO.

Zakładając fundamenty swego Kościoła, zdawał sobie Chrystus dokładnie sprawę z tego, że instytucja ta ma przed sobą robotę boską do spełnienia. Ma brać w swe ręce glinę — ludzi ułomnych, niedoskonałych, grzesznych — i ma z nich czynić na całym okręgu świata, po wszystkie czasy, „święty“ Kościół powszechny. Ma z błota ziemi wyprowadzać i wypracowywać świętych dla nieba.

Boski Nauczyciel, Pan i Lekarz obmyślił i pozostawił w tym celu Kościołowi rozumne i skuteczne środki zaradcze. Złożył w ręce Kościoła dar nieoceniony, któremu na imię: grzechów odpuszczenie. Po zmartwychwstaniu stanął wobec uczniów zgromadzonych w Wieczerniku, tchnął na nich i rzekł: „Jako mnie posłał Ojciec, tak ja was posyłam. Weźmijcie Ducha Świętego. Którym odpuścicie grzechy, są im odpuszczone, którym zatrzymacie, są im zatrzymane.“

Wzięli Ducha Świętego i zaczęli odpuszczać i zatrzymywać grzechy.

Śladami Chrystusa i Jego władzą, boć „nikt nie może grzechów odpuszczać okrom Boga“.

Dużo grzechów ma świat. Siłą rzeczy narzu-

cała się konieczność nie jednej drogi odpuszczenia ich, ale całego szeregu dróg. Gładzi grzechy sakrament chrztu świętego, a gładzi bez uprzedniego ich wyznania, byle z uprzednią **skruchą**; gładzi grzechy sakrament namaszczenia, z wyznaniem grzechów, albo, gdy nie można wskutek stanu choroby, bez ich wyznania, byle towarzyszyła **skrucha**; grzechy zapomniane gładzi ubocznie każdy sakrament, gdy jest przyjmowany ze **skruchą**; gładzi grzechy sakrament pokuty, z wyznaniem grzechów zasadniczo, albo gdy nie można zastosować spowiedzi w jakimś wypadku, to i bez ich wyznania, byle serce grzesznika przejmowała **skrucha** i żal za grzechy; gładzi nareszcie winy sama **skrucha doskonała** z pobudek miłości Boga płynąca, bez wyznania grzechów. Ten ostatni zwłaszcza sposób, spełniający często rolę chrztu pragnienia, jest najszerszym i najłatwiej zastosowalnym środkiem usprawiedliwienia. Wszystkim, wszędzie i zawsze dostępny. Tym, co są Chrystusowi i tym, co wyraźnie nimi nie są, ale się stać mogą i najczęściej stają. I właściwie możnaby powiedzieć, że droga usprawiedliwienia dla całego świata jest jedna: „pokutę czynicie!” — sakrament naturalny — skrucha.

Dla pogan i dla chrześcijan.

„Pokuta”, którą Chrystus głosił i głosić rozkazał, po grecku „metanoja”, oznacza „przemianę myślenia”, zasadniczą, aż do sanktuarjum przekonań, sięgającą przemianę w duszy człowieka. Kto przedtem „myślał”, żeby krzywdzić,

uwodzić, oszukiwać, kłamać, źle czynić, a teraz, wejrzawszy w swój bilans życiowy, z gruntu przekreśla dawne rachunki, zmienia swoje „myślenie“, zamiary, słowa, czyny — ten wkacza na drogę sprawiedliwych, na której Bóg przechadza się z łaską swoją.

Taka wewnętrzna, gruntowna przemiana wymaga dużego nakładu pracy wewnętrznej. Ułatwić ją może człowiekowi drugi człowiek. Zmieniamy — jakże często — nasze „myślenie“, pod wpływem myślenia, przekonań innych ludzi, z którymi się w życiu spotykamy. Bez tego zaskorupilibyśmy się w ciasnocie własnej. Wiedział o tem Chrystus. Dlatego zorganizował w swoim Kościele pomoce „Nowego myślenia“, myślenia w Duchu Bożym. Cóż innego ma na celu Jego wyraźny rozkaz, do wszystkich, jakich wówczas miał, chrześcijan zwrócony: „Idźcie, nauczajcie?“ Nauka, nietylko ta z ambon kościelnych. Uczy książka, uczy życie. Każdy dobry, rzetelny, szlachetny człowiek jest nieustannym kazaniem. Ale najwięcej poucza, wprowadza nowe myśli w zamęt myśli starych, dobra, rozumna, poufna, a szczerą i serdeczną rozmową. Dusza jedna wypowiada się przed duszą drugą, z tem wszystkim, co stanowi jej treść. Poddaje się kontroli życzliwej, rozumnej, serdecznej — w zaufaniu. Szuka aprobaty dla swoich poglądów. Spowiada się ze swoich myśli, słów, czynów. Tak. Najczęstszą dźwignią nowych światów w ludziach jest — — **spowiedź**.

Ludzie spowiadają się wiele, bardzo wiele

jedni drugim. Na rynkach, ulicach, po domach, w drodze, w polu, przy pracy i zwłaszcza w bezczynności. Ale ta „spowiedź” rzadko staje się w nich dźwignią nowych, lepszych światów. Nie jest spowiedzią „Chrystusową”. Nie jest przygotowaniem do skruchy, pokuty, przemiany ducha na lepsze. Bo spowiedź sama z siebie jest tylko odchyleniem zasłony i pokazaniem, **co jest** we wnętrzu człowieka. Gdy jej nie towarzyszy kontrola i sąd, życzliwy, ale i sprawiedliwy, tylko stale i w każdym wypadku **aprobata** wszystkiego, co jest, wówczas chybia celu. Nie ulepsza dusz, owszem, utwierdza je w złem, uczy schodzić na bezdroża. Stać się może spowiedzią szatana, który wszystkich i wszystko rozgrzesza, zawsze i wszędzie. Chrystus chciał mieć spowiedź na usługach skruchy, odrodzenia dusz i świata. Dlatego rozkazał: niekiedy rozgrzeszać, niekiedy rozgrzeszenie powstrzymać. Mianowicie wówczas, gdy przemiana myślenia — od zła ku dobru — jeszcze w duszy nie nastąpiła. „Których odpuscicie grzechy, są im odpuszczone, którym zatrzymacie, są im zatrzymane.”

Taką jest spowiedź. Nie jest odpuszczeniem grzechów, ale jednym z uprzednich przygotowań do skruchy, przemiany człowieka. A stąd i do odpuszczenia grzechów, którego Bóg „ani Kościół, jego władzą obleczone, skruszonym nigdy nie odmawia”.

Z powyższego płynie wniosek jasny. Tak pojęta spowiedź jest olbrzymią dźwignią dusz,

poważnym trybunałem, walnie popierającym sprawę odrodzenia świata. Jest najgłębszą sondą, zapuszczoną aż w bezdno sumień, by wybrać stamtąd wszelkie zło, wprowadzić natomiast wszelkie dobro.

Tymczasem tak się stało, wskutek poważnego niedopatrzenia, że ta instytucja prawdziwie boska, zawierająca skarby lecznicze dla zdrowia i odkażenia najgłębszych słojów, żył i tętnic ciała ludzkości, poczęła się stawać zamiast dźwigni — tylko ciężarem, zamiast ulgi — jarzmem sumień. Zamiast środka do celu — zrobiono z niej cel bezwzględny. Stała się nowem w dziejach świata dusz — **Kandyńskiem jarzmem.**

Jak do tego praktycznie doszło? Rzućmy okiem na dzieje spowiedzi.

Praktyczne jej stadjum w pierwszych czasach Kościoła przedstawiało się najprawdopodobniej tak, jak je wyraził jeden z Apostołów: „Spowiadajcie się jedni drugim z grzechów waszych.“

Każdy grzech jest w zasadzie błędem, „Lamartija“ w języku pierwszych chrześcijan. Od chyła człowieka od drogi zdrowego ładu i prawa, jakie Stwórca nadał naturze. Gdyby człowiek był sam jeden tylko na kuli ziemskiej, wówczas grzech jego wykraczałby przeciw Dawcy natury — **Bogu** i przeciw posiadaczowi natury — **człowiekowi**. Z chwilą, gdy obok pierwszego człowieka zjawia się człowiek drugi, gdy tworzy się społeczeństwo, grzech, jako od-

chylenie od normalnych praw natury, godzi także w społeczeństwo. Jest strzałą zatrutą w kołczanie przestępcy, gdy nikt o nim nie wie, jest strzałą zatrutą puszczoną z cięciwy, gdy staje się jawnym. Skrucę za grzech winien zatem człowiek: **Bogu, sobie i społeczeństwu.**

Pierwsi chrześcijanie, wszedłszy w „społeczność świętych“, potem jednak grzeszyli. Były wśród nich grzechy małe, powszednie, codzienne drobiazgi i niedociągnięcia, ale zdarzały się i rzeczy zatrważające pod względem moralnym: porubstwo, bałwochwalstwo, krzywdy ciężkie na sławie i majątku... Jak wszędzie i zawsze zdarza się „wszystkim świętym“, którzy się rekrutują z grona zwykłych ludzi.

Gmina „świętych“ — tak się bowiem nazywali — uważała się za jedną rodzinę. Uchybienia drobne wybaczali sobie członkowie łatwo i w duchu wskazań Apostoła: „Jedni drugich brzemiona noście, a tak wypełnicie zakon Chrystusowy.“ Ale wobec uchybień ciężkich stosowano metodę sądu rodzinnego. Winny zjawiał się przed całym zgromadzeniem i publicznie wyznawał swój grzech. Imieniem zgromadzenia rozgrzeszał go przewodniczący, naznaczając stosowną pokutę. Ale nie zawsze. Bywały wypadki, w których oszczędzano winowajcy upokorzenia i wstydu publicznej spowiedzi. Skruszony przeproszał gminę w osobie jej przedstawiciela — presbyteros, starszy — kapłana. Czynił to wprawdzie na oczach całego Kościoła, bo na zebraniu, w świątyni, ale pocichu. Odby-

wał uszną spowiedź. A ponieważ przewodniczący gminy miał władzę kapłańską zazwyczaj, więc rozgrzeszał winowajcę także „imieniem i mocą Pana naszego Jezusa Chrystusa“. Powtarzał to, co czynił Chrystus. „Odpuszczają ci się grzechy twoje. Idź w spokoju, nie grzesz więcej.“

Powagą i władzą, przysługującą tylko Bogu, rozwiązywał na ziemi gordyjskie węzły grzechowe. Bóg rozwiązywał je w niebie. Niekiedy jednak uznawał, że grzesznikowi brak pełnej skruchy. Wówczas leczniczo i chwilowo rozgrzeszenia odmawiał. Stwierdzał zewnętrznie to, co wewnątrz działo się w sercu grzeszącego. Tam zatrzymywano sobie grzechy i chęć grzeszenia, więc i on „zatrzymywał“ grzechy. Gdy rozgrzeszenie dał, wówczas znaczyło to: N. N. lubo splamił uprzednio swą duszę, teraz wycofuje swe grzechy. — Wolno mu odtąd mieć nadal „obcowanie wśród świętych“, „komunję ze świętymi“ braćmi Kościoła. I prowadzono go do Stołu Pańskiego, gdzie zaznaczał, że ma przedewszystkiem „komunję“ z założycielem Kościoła. Gdy przewodniczący rozgrzeszenia odmówił — oznaczało to, że brat czy siostra N. N. odcinają się i są odcięci nadal wyrokiem Kościoła od „komunji“, od „obcowania“ ze świętymi. Cały bowiem Kościół, uczy i nakazuje postępować tak a tak, w rzeczy poważnej życiowo, a oni postępują wręcz inaczej. I nie chcą uzgodnić swego życia i zapatrywań z życiem i zapatrywaniem wszystkich członków

Kościola — wszystkich „świętych“. Nie mają z nimi zatem nic wspólnego — nie mają „komunji“.

I nie dopuszczano ich do Stołu Pańskiego. Nie mieli „komunji“ z założycielem Kościoła, Chrystusem w Eucharystji, dopóki gminy świętych w osobie jej przedstawiciela, kapłana, nie przeprosili.

Takie postawienie kwestji w rysach zasadniczych pozostało po dziś dzień w praktyce tak zwanej spowiedzi. I dziś, jak ongi, **niema obowiązku spowiadać się z grzechów powszednich**, uchybień drobnych, codziennych niedociągnięć, wynikłych więcej z temperamentu, niż z premedytacji lub złej woli. Kto chce, może się oskarżyć przed kapłanem, przewodniczącym gminy świętych. Żeby i za to przeprosić całą gminę i jej Najświętszą Głowę, Chrystusa, iż życiem swoim niedociągnęli, lubo w drobiazgach, od tej idealnej miary, jaką On zakreślił swoim: „Bądźcie doskonałymi, świętymi bądźcie.“ Ale obowiązku oskarżania się, przepraszania uroczystego, obowiązku spowiedzi nie mieli i nie mają. Mają tylko obowiązek dźwignania się z ułomności. „Co poza mną — zapominam, wyrrywam się ku temu, czego mi jeszcze niedostaje.“ (św. Paweł.)

Ale **spowiedź z grzechów ciężkich**, zbrodni, będących hańbą dla członka gminy i przez to dla samej gminy, **była dawniej i dziś jest obowiązkiem**. Kto wyraźnem, występnem, niekiedy zbrodniczo występnem postępowaniem odcina

się od gminy, ściąga na nią — „świętą“ — nie-sławę grzechu, ten winien gminie zadość uczynić. Winien przeprosić ją — w osobie jej przedstawiciela. Przeprosić za wszystkie grzechy ciężkie. Nietylko jawne — czyny, słowa, — ale i myśli. Bo zbrodnia już jest zbrodnią w pierwszej chwili, gdy się w sercu poczyna. I jako taka bezcześci zreszenie duchów „świętych“ — wiernych Kościoła oraz Chrystusa. Winna być odwołaną wobec przedstawiciela gminy i Chrystusa — wobec kapłana.

Tak się przedstawiają zasady spowiedzi. Kościół katolicki, w myśl Chrystusa idąc, dobrze ją postawił. Braki i niedomagania w jej dziedzinie głównie wyniknąć mogą i faktycznie wynikają z dwu źródeł. Z winy „przewodniczącego“ — spowiednika, który wyznanie grzechów odbiera, nie będąc umysłowo, ani moralnie do tak wzniosłej roli przygotowanym, a powtóre z winy systemu, prawodawstwa, ujmującego w pewne wytyczne ramy całą tę praktykę czynienia „pokuty“.

Słów parę na ten temat.

Najpierw ksiądz, reprezentant gminy i Chrystusa, może być człowiekiem, który nie dorósł do tak wzniosłego zadania. Istotnie pod tym względem dużo zawiniło duchowieństwo wobec wiernych. Seminarja nie przygotowują spowiedników, ale urzędników. Owszem coś gorszego. Urzędnik, spełniający swe funkcje głośno, krępuje się względami na otoczenie. Ksiądz przy spowiedzi cichej, do ucha, może być

łatwo gburem, łotrem nawet, czem kto chce, bo... nikt przecież nie słyszy. Tajemnica okrywa to, co szepcą sobie do ucha. Może umyślowo nie dorość do wysokiej skali wymagań duszy penitenta. Może moralnie stać od niego niżej. Władzę wprowadzie ma i może „imieniem świętych“, imieniem gminy i Chrystusa, przyjąć grzesznego brata do „komunji“, ale każdy czuje, jakie to „kandyńskie jarzmo“ przejść musi człowiek, by przed taką jednostką otwierać rany duszy.

Tu tkwi jedno źródło, sprawiające, że mniej świętych jest w „gminie świętych“, że grzech grasuje publicznie bez pokuty.

Winę ponosi także system — prawodawstwo w sprawie praktyki pokuty.

Kościół pierwotny wychodził z założenia, że gmina chrześcijańska jest i powinna być w zasadzie zrzeczeniem, zgromadzeniem świętych. Jej członkowie są godni „komunji“ współobcowania ze swym Założycielem—Chrystusem. Grzech pośród nich jest tylko przypadkiem, wyjątkiem. W tym też duchu traktowano spowiedź, pojednanie się z Kościołem. Zdarzało się ono w razie upadku, gorszącego zazwyczaj i publicznego. Było naogół dość rzadkie, przynajmniej nie częste.

W dzisiejszem prawodawstwie Kościół wychodzi z wręcz odmiennego zapatrywania. Kościół jest zgromadzeniem grzeszników. Przynajmniej raz do roku każdy, literalnie każdy wierny ma ścisły obowiązek sumienia iść do

spowiedzi. Przynieść kartkę nawet, kwit, czy jak się to tam w różnych stronach nazywa. Czy ma grzechy ciężkie, czy ich nie ma. Jeśli nie był — grzeszy śmiertelnie, jest nieprzykładnym chrześcijaninem, można mu odmówić pogrzebu chrześcijańskiego na wspólnym cmentarzu „świętych”. Dusze „gorliwsze o chwałę Bożą” biadają, załamują ręce nad takimi grzesznikami. Drżą o ich zbawienie wieczne, choćby to byli ludzie formalnie bez zarzutu.

Czy to nie wypaczenie myśli pierwszego Kościoła? Czy to nie „jarzmo Kandyńskie”? Kobiety, uleglejsze i pokorniejsze z natury, lubiące przytem wygadać to, co mają na sercu, łatwiej idą pod to jarzmo. Spowiadają się. Ale mężczyźni?!

Osobiście sędzę, że punkt widzenia pierwszych wieków, więcej sprzyjałby świętości. Pogłębić w prawie i unormować potrzebę komunji z Chrystusem i Kościołem świętych. Z win pomniejszych kto chce, niech się oskarży, kto nie, nie, byle się tylko z nich dźwigał. I niechaj idą do komunji, dajmy na to w okresie wielkanocnym. Kto będzie się poczuwał do win cięższych — zrobi z sumieniem porządek kiedy będzie trzeba i kiedy sam uzna za wskazane. Wszelkie przymusy pod tym względem, nawet w zakonach, gdzie się stosuje spowiedź wogóle częstszą, wydają cierpkie owoce i płonne. Ustawowe np. spowiedzi po zakonach co tydzień lub co dwa tygodnie, gdy są robione bez wewnętrznej potrzeby duszy, wyradzają szablon,

obniżają charakter (bo wciąż się spowiada, a wciąż to samo robi), nawet budza wstręt do sakramentów. Tak. Nawet tego rodzaju kwiatki rosną na tej grzędzie — przymusu.

A oto jaki jeszcze bukiet wonny potrafi zebrać przymus. Pierwsza skautka polska O. M. bawiła w Ameryce czas dłuższy. Przebywała na odludziu leśnym, stepowym. Zatęskniła za spowiedzią. Przybywszy do jakiejś parafii klękła do konfesjonału. Pierwsze pytanie księdza, zwrócone do niej brzmiało: „Czy ma bilet do spowiedzi?” Nie wiedziała, co to takiego. Objasniono ją, że to jest... szósty warunek do sakramentu pokuty w Ameryce, *conditio sine qua non*... Kosztuje 5 dolarów.

Kiedy ja dla siebie i dla synka na utrzymanie mam w tej chwili jednego dolara zaledwie! — wyznała upokorzona.

Mnie to nic nie obchodzi.

Odeszła bez spowiedzi, rozbita, rozgoryczona.

Czy nie „Kandyńskie jarzmo” zrobiono ze słodkich ramion Dobrego Pasterza?

PIEŚŃ O CHLEBIE.

Zanucić muszę Kościołowi wszystkich czasów, dzisiejszych szczególnie, wielką, wszechświatową pieśń o chlebie.

Zanucić dlatego, że w pierwszych dniach swych zrękowin Oblubienica Chrystusowa sama poczęła śpiewać tę pieśń Oblubieńcowi, śpiewać tak głośno i cudnie, że w gronie pierwszych wyznawców „nie było nikogo potrzebującego“. A pieśń o chlebie uczynić wszechświatową dlatego, że i Kościół dziś urósł na miarę globu.

Czyż pieśń ta została przerwana? Przycichła? Kto ją miał nucić, a zaprzestał śpiewu?

Zaraz od początku, idąc za impulsem Chrystusowej miłości, nadali jej ton Apostołowie. Do ich stóp znosili wierni „swoje dobro“, oni z tego zastawiali wspólne stoły dla nie mających. Brał z nich kto potrzebował obficie. Nie było głodnych, nagich i bezdomnych w gminie chrześcijańskiej. Powołano diakonów do ich specjalnej obsługi. Pieśń uderzyła jak czar zachwyty i opanowywała świat zdumiony. Wyczuwano w niej anielskie, boskie dźwięki — miłości.

Atoli z biegiem czasu fałszywy ton egoizmu kasty począł zatruwać boskość tej melodji.

Potrzebny był także chleb „apostołom“. Dopóki Kościół był mały, dopóki gmin religijnych było niewiele i niewielu członków liczyła każda gmina, dopóty każdy z Apostołów, biskupów i kapłanów mógł zupełnie prosto powtórzyć za Pawłem Apostołem: „Potrzebom moim i tych, co byli ze mną, służyły te oto ręce“. Wyrabiał Paweł namioty i tak zarabiał na życie. A inni zapracowywali sobie na chleb powszedni w inny sposób.

Ale z czasem gminy urosły, zagęściły się diecezje, wyniknęło całe mnóstwo spraw, dla których załatwienia należało poświęcić cały rozporządzalny swój czas. Nie było miejsca na pracę zarobkową, chyba z poważnym uszczerbkiem, lub całkowitem zaniechaniem pracy kapłańskiej. Wówczas i duchowni i sami wierni wyszli z tego słusznego punktu widzenia, że kto służy ołtarzowi z ołtarza też żyć powinien. Podobnie jak ten, kto służy urzędowi, wojsku, poczcie z nich czerpie swe utrzymanie. I zaczęli zastawiać stoły dla sług ołtarzy. Stoły pełne chleba, obok stołów dla ubogich.

Krowy chude i tłuste nigdy nie będą się spokojnie paść obok siebie. Prędzej lub później krowy tłuste pozjadają chude, naprzekór wszystkim snom faraona. Tak się też stało ze stołami ubogich, umieszczonemi obok stołów sług ołtarza i pozostającemi pod zarządkiem bezpośrednim tychże „sług pańskich“. W miarę,

jak na stołach duchowieństwa przybywało chleba, jak zamiast okrągłych bochenków na ich ręce składano okrągłe fortuny, owszem małe państewka, hrabstwa i palatynaty, w miarę tego wąż egoizmu i skąpstwa zakradał się coraz głębiej do mieszkań i serc najprzewielebniejszych i świątobliwych. Następcy Apostołów okazali się właścicielami latyfundiów, biskup Rzymu miał całe państwo, zbierał jubileuszowe dochody i świętopietrza, w blichtrze bogactw gniły „ubogie i ubóstwo ślubujące” klasztory, a ich opaci występowali w rzędzie pierwszych wielmożów w państwie. U nas w Polsce „abbas centum villarum” opat tyniecki przeszedł do historii. Kościołowi nie brakło chleba, nigdy i nigdzie. „Zastawiał ucztę, kąpał się w winie...” Aż do ostatnich czasów... Nawet mimo tylu, klątwami ściganych, przymusowych konfiskat i zaborów majątku kościelnego.

Aliści rzecz dziwna i wielce znamienne. Im więcej miał Kościół, im szerzej garnął i zagarniał ziemie pod swoje „święte władanie”, czyniąc ze zwykłej mamony majątkowej „res sacra”, „Deo dicata” — tem głośniejsze, zdawało się — szedł jego śladami jak wyrzut, jak przekleństwo, jak skarga i oskarżenie zarazem, proroczy głos Chrystusowy: „Ubogich zawsze macie z sobą”. Z wieku na wiek nietylko nie zmniejsza się ich liczba, ale rośnie w ilość i potęgę. Ubóstwo przeistacza się w nędzę, nędza—to tu to tam—przeradza się w potworną

poczwarę rozpaczy, jak piekło czarnej, jak piekło palącej i jak otchłań strasznej. I mściwa ręka dziejów pisze nad głowami pokoleń, państw i narodów, błyskawicowemi zygzaki: „Mane, Thekel, Phares!”

A Chrystus, odchodząc, tak serdecznie prosił, żeby uczniowie Jego miłowali braci... Żeby w osobie nędzarzy widzieli Jego Samego, uczcili Jego ubóstwo i rany w ich ranach i ubóstwie... A któż bardziej powinien był przejąć się słowami Pana, jak nie uczniowie? Jak nie wodzowie wiernego ludu?

Hierarchja, idąca od Apostołów, zapomniała słów pieśni bożej. Tej pieśni, co się zbudziła nad jeziorem Genezaret, jako cudne tętno Serca Jezusowego: „Żał mi tego ludu... Wy dajcie im jeść...”

W ciągu dziejów Kościoła wygłoszono mirjady kazań na temat cudownego rozmnożenia chleba na puszczy przez Chrystusa. Nie był-że to wyraźny znak przezeń dany, by w zaradzeniu niedoli iść i szukać najlepszych ludzkich sposobów aż do granic możliwości, aż do granic cudu? A co uczyniła hierarchja? Następcy Apostołów — z ich władzą i wpływem? Prawie że palcem nie tknięto tej sprawy z wyżyn konsystorzów, kongregacyj apostoelskich — z ramienia potężnej i zorganizowanej i organizacją silnej hierarchji. Jeżeli się kto zrywał do czynu, to jednostki wśród hierarchji, głębiej pojmujące Chrystusa i Jego niedolę w niedoli nędzarzy.

A ile ci ludzie powielekroć musieli walczyć zęb za zęb z samą hierarchją!

W ciągu dziejów Kościoła tysiące bull, listów apostołskich, wydali papieże do wier-nych. Żeby choć jedna bulla w sprawie nędzarzy!.. Dosłownie... Żeby choć jedna!.. Bulla, któraby ujęła w program całość zagadnienia i rozwiązała je tak, żeby Kościół hierarchiczny u bramy swych świętyń nie musiał potykać się o nędzarzy. Albo przynajmniej bulla-ankieta, w którejby pasterz wszystkich ludów zapytał się rozumnych swych dzieci o wskazówki, o radę, jak dać odpowiedź najlepszą na życzenie Chrystusowe: „Wy im dajcie jeść...” Jak zorganizować miłosierdzie? Jak pójść w myśl pańską: „Misericordiam volo et non sacrificium...” „Miłosierdzia chcę przed wszelką ofiarą, i ponad wszelką ofiarę...” Jak sprawić, by obok świętyń, przybytków ofiary, wzniosły się równie bogate, równie zasobne, jak same świętynie, przybytki miłosierdzia dla ubóstwa, domy i stoły ubogich...? Jak przygotować świat na dzień sądu, gdzie zapadnie wyrok, oparty na takich paragrafach kodeksu: „Łaknąłem, pragnąłem, byłem nagi i w więziennych zaiste lochach i norach najostatniejszej nędzy... A wy nie daliście mi jeść, pić, nie nawiedziliście mnie?... Mając władzę moją, naukę moją i moc nad światem, moc Chrystusową!..”

Zaprawdę, że zrozumieć tego niesposób, że woła to o pomstę do nieba!

Pomyślmy tylko... Mieć w swem ręku orga-

nizację najstarszą i najbardziej sprawną, najbardziej sprężystą pod słońcem — — —

Rozporządzać pełną posłuchu hierarchją, organizacją jednolitą, wszechświatową —

Mieć pod rozkazami tej hierarchji miliony wiernych, chętnych, ofiarnych, —

I przy tem wszystkim pozwolić, żeby w dziedzinie miłosierdzia cała ta rzesza o wszechświatowem imieniu była jak owce bez pasterza?

I przy tem wszystkim pozwolić hierarchji zamknąć się w paragrafach, biurach i bibułach i kurzu archiwów, z których nauka przyszłości wyjmie i wypisze Kościołowi: „Anathema!”

Dopuścić, żeby z wieku w wiek, z wieku XIX w wiek XX szedł Kościół zdezorjentowany, przeklinany, obrzucany plwocinami z prawa i z lewa za to, że zaniechał Chrystusowego, Apostolskiego programu? Że go nie zorganizował na wszechświatową skalę, rozsiadłszy się na obu półkulach świata!

Zaprawdę! Woła o pomstę do nieba zapomniana przez hierarchję apostolska pieśń o chlebie.

I pomsta przychodzi raz po raz. I muszą się krwawić serca, dusze, wśród przekleństw konać wyschłe wargi... I dopiero ci, których się ma za Judaszów, za zaprzańców Chrystusa, muszą błyskawicami czerwonych sztandarów przypominać fioletem i purpurze, że pieczę o ubogich rozkazał mieć Chrystus. —

Największa, najwspanialej zorganizowana

potęga pod słońcem nie posiada dotąd równobieżnej z kościelną organizacji miłosierdzia. A przecież tak zainicjowali prostacy apostołowie! Są świątynie miłości — powinny być obok nich domy miłosierdzia. Równolegle. Inaczej: „anathema!” Kościołowi.

Mówi groźne jutro. —

W podróży, jak to często bywa, spotykam się z pewnym księdzem, młodym jeszcze, ale myślącym, idealnie nastrojonym. Rozmowa ześlą na temat miłosierdzia.

„U nas — mówił — jest miłosierdzie, ale — jakby je tu najtrafniej określić — miłosierdzie zdeprawowane. Tak, zdeprawowane, bo deprawuje otrzymujących jałmużnę narówni z dającymi. Jest doraźne, bez planu. Dający rzuca grosz, jak do studni bez dna. Nie wie kogo wspiera. Może opryszka, co go jutro przyjdzie ograbić. Niema organizacji. Niema ręki, coby **dziś** zebrała w jeden węzełek wszystkie grosze **dziś** rzucane do skarbonki miłosierdzia... Zebrała **dziś** i za te pieniądze postawiła dom w jednej diecezji... Zebrała jutro i postawiła drugi dom w drugiej diecezji, zebrała pojutrze i postawiła trzeci dom, czwarty, setny — w trzeciej, setnej diecezji, a choćby nawet i parafji.

Gdym objął u siebie parafję, pierwsza rzecz, kazałem podać sobie listę ubóstwa. Znalazło się tego z pół kopy blisko. Na pierwszą zimę zrobiłem tak. Urządziłem jednej niedzieli na-

bożeństwo uroczyste, na miesiąc zgóry „rozplakatowane” z ambony tudzież pocztą pantoflową, za ubogich. I zbiórka. A obok tego powiedziałem tak do chłopów: „Dziesięcinę płaciliście dawniej Kościołowi. Dziś ustała. Ale z dobrej ręki co dziesiąty snopek, co dziesiąty chleb — ofiarujcie dla P. Jezusa w osobie ubogich braci. Bóg pobłogosławił urodzajami. Nie żałował wam. Nie żałujcie jemu. Niech w naszej parafji nikt przez ten rok nie umiera z głodu. A na wiosnę budujemy dla ubogich dom. Wprawdzie Kościółek też lichota, wartoby postawić lepszy, ale to na potem. Pierwszy P. Jezus w postaci ubogich.”

Nazbierało się pół stodoły zboża. Biedacy chleba mieli w bród. A tymczasowy kąk — to tam już każdy zwykle miał. Zresztą pomyślało się i o tem. Teraz buduję dom... Czteropiętrowkę... Obliczam na przyszłe czasy. Przytułek ubóstwa, zaopatrzony w kulturalne „wszystkie” potrzeby człowieka. Dla ludzi buduję nie dla bydła, jak było dotąd... Pracować będą na siebie, zarabiać. Praca uszlachetni różniaczonych dziadów. Zebraniny u mnie już niema.

Jeżeli jedną parafję stać na to, na zbudowanie wielkiego domu (zwykle się stawia Kościoły i plebanje — dobre i to — ale nie najpierwsze) to o wiele lepiej i prędzej mógłby to zrobić każdy biskup w swej diecezji, wszyscy biskupi w kraju. Niech dwa domy co roku wzniesie każdy za pieniądze całej diecezji.

Niech dwa nabożeństwa co roku urządzi. Na Boże Narodzenie — na Zielone Świątki. Po zbiorach i w okresie nadziei zbiorów. — Nabożeństwa i zbiórkę dla ubogich. Robactwo nędzy przestanie toczyć kraj. Kwestja cała ulegnie likwidacji. Kiedyś sprawę zorganizowania pomocy ubóstwu rozpoczął Piotr Skarga. Ale Skarga majątków sam nie miał, nie był biskupem, ani papieżem. Bull nie mógł pisać, ni listów pasterskich. Niektórzy biskupi sami w swoich dobrach mogliby domy takie postawić i z dochodów utrzymywać. Budować potrafią wielkopańskie wille. I stać ich na to. Niejeden „wielki pan“ mógłby to samo zrobić w swoich dobrach. Nie podlegałby „reformie rolnej“.

Servus. Trzeba przypomnieć hierarchji pieśń o chlebie. Od Rzymu począwszy. Bo gdyby ta śruba planowo nacisnęła wszystkie śruby świata katolickiego, hierarchicznego, to zaraz poczęlibyśmy inaczej stać w oczach ludów. Jedno, ciche życzenie Piusa XI zgromadziło miljardy na stworzenie misji żywnościowej dla głodnych w Rosji. Coby zrobiła w katolickim świecie programowa bulla, planowo zakreślona akcja, choćby na lat sto! Coby zrobiła nanowo podjęta, wszechświatowa, apostolska pieśń o chlebie !

Stwarzają w Rzymie różne „święte“ Kongregacje. Pierwszą Kongregacją, przez pierwszego papieża powołaną do życia, było kolegjum siedmiu diakonów na posługę ubogim. A dziś co?

Szkoda, że jaki Piotr Skarga nie jest papieżem, bo nauczyłby monsignorów rozumu i nakazał pod grozą gniewu Bożego mieć serce. Państwa, te „spoganiałe“, uprzedzają „święty“ Kościół, tworząc ministerja opieki społecznej. A Kościół? — Śpi, bo hierarchowie śpią... na wszystkie uszy! Niech się obudzą, niech się obudzi przedewszystkiem Rzym, a nie będzie trzeba osobnych kongregacyj. Wiarę szerzą... Wiarę bez uczynków. To też nie dziw, że martwa... I zapewne „martwi“ Chrystusa, któremu ciągle musi być „żał tego ludu, bo są jako owce bez pasterza“.

O Pastor gentium! Evigilare! —

Pożegnaliśmy się serdecznie. Pod wpływem jego słów począłem marzyć. I zdawało mi się, że wówczas Kościół rozwiązałby zagadnienia pokoju, boć jego największymi wrogami są głód, nagość i nędza bezdomna. A powtóre wówczas stanąłby ponownie przed światem w glorii pierwszych apostoelskich dni, kiedy na wiernych wskazywano palcami: „Patrzcie, jak oni się miłują“. Zaś Duch Boży z wyżyn Syjonu mówił o nich, iż mieli „serce jedno i duszę jedną“.

Pieśń o niebie, — niezrozumiałem, dalekiem niebie — dzieli Kościoły, skłóciła wiernych. Możeby ich złączyła prędzej i łatwiej tak rozumiała, a tak cudna, o apostoelskich akcentach — wielka pieśń o chlebie.

HANDEL DUSZAMI.

Było pogodne, ciche i jak na pierwsze dni listopada nawet słoneczne popołudnie. Ponieważ po obiedzie nie miałem już pracy zawodowej, przeto korzystając z chwil wolnych i miłego nastroju w przyrodzie wybrałem się na krótką przechadzkę. Dokąd iść? Odpowiedź narzucała się sama: na cmentarz, na groby, boć to „Dzień Zaduszny“.

Droga w stronę cmentarza prowadziła obok kościoła. Świątynia stała otworem, wewnątrz połyskiwało trochę światła na tle jakiejś krepy, osnuwającej ołtarze, kilka głosów w ławkach śpiewało smętną pieśń za umarłych: „Jezu w Ogrójcu mdlejący“.

Wszedłem do kościoła. Uwagę moją zwrócił na siebie ogromny, o kilku stopniach katafalk. Przygotowany był na nabożeństwo ostatnich nieszpórów, które się jeszcze nie zaczynały. Cały pokryty krepą, zeszpeconą okapem stojących przy nim świec — ni to woskowych, ni to łojowych, ni to stearynowych — uwieńczony pooskubywaną z politory trumną, wywarł na mnie swym widokiem tak ohydne wrażenie, żem nie mógł nań dłużej patrzeć.

Brud i niechlujstwo w obliczu Świętego

Świętych, do którego modlił się Krasieński, nazywając Go „Pięknością piękności“!

Odwróciłem oczy na lewo i przy ołtarzu Marji—statuetki ordynarnie wykonanej z przekrzywioną twarzą i korpusem kukły—spozstrzegłem nowe widowisko.

Na stopniu ołtarza leżał duży krzyż na wytartej, zatłuszczonej poduszce i na dywaniku, któregooby się wstydzić musiał każdy przedpokój w porządnym domu, ale dla saloniku, w którym Stwórca przyjmuje gości, dla kościoła to przecież ujdzie. Bóg jest śmieciem świata, więc też mieszka i odbiera hołdy swoich — w stajni. Nie należy się nic więcej Jezusowi Chrystusowi!

Jakaś wiejska kobieta, pełznąca na kolanach, całowała postać Ukrzyżowanego razem z usmarkanym dzieciakiem, który pozostawiał widoczne ślady swych pocałunków na obcałowyanem drzewie krucyfiksu. Inni potem przyjdą i ślad ten zetrą ustami. Chłopiec wyglądał na suchotnicze dziecko i sama matka robiła podobne wrażenie.

Po ucałowaniu „Pana Jezusa“ kobieta sięgnęła do „szmatek“ i wyjęła z nich zwój pieniędzy papierowych. Odjąwszy kilka banknotów, złożyła je do wielkiej skrzynki, w formie sporego kufra, postawionej w głowach krzyża. Zainteresował mię mocno, nadzwyczajnie ten „statek“ pasyjno-zaduszny. Rozejrzałem się po kościele, czy podobnych niema więcej w świątyni. Wyszperałem jeszcze dwie, mniejsze skrzynki. Do jednej, umieszczonej pod św. An-

tonim, składali wierni jałmużny na chleb dla ubogich, do drugiej — nie wiem na co...

Wzrokiem przeszedłem na zakrystję. Zaintrygował mię ruch przy niej ustawiczny. Otwierały się drzwi i zamykały bez przerwy. Ludzie wchodzili i wychodzili tłumnie, szeregami. Zaciekawiony poszedłem ku wielkiemu ołtarzowi i stamtąd z falą ludzką dostałem się do zakrystji.

Nie umiem powiedzieć, jaki cel przyświecał twórcom zakrystyj, gdy je budowali. Czy to miał być pokój dla przechowywania szat kościelnych w świeżości i pięknie, czy też rodzaj salonu — poczekalni dla księdza i służących przed rozpoczęciem nabożeństw, czy może komnata modlitewna? Raz jeszcze—nie wiem. Ale stwierdzić muszę fakt, że zakrystja, do której wszedłem w owe zaduszki, nietylko nie należała do żadnej z wymienionych kategorii, ale wogóle nie powinna była zaliczać się do pomieszczeń, przeznaczonych dla ludzi. Była to poprostu zgniła od wilgoci, brudna, odrapana, omal że nie cuchnąca spelunka, do której na zachodzie nikt szanujący się nie wprowadziłby bydłęcia... Tu się jednak niekiedy odbywały poświęcenia i modły — nad ludźmi i dla ludzi. A w chwili, gdy wszedłem, tutaj przed stolikiem, wziętym najwidoczniej z piękniejszego o wiele mieszkania, siedział na środku ksiądz w komży, z piórem w rękę, papierem szeroko rozłożonym przed sobą i zapisywał, przyjmował interesantów.

Stanałem na uboczu, nie zbliżając się jednak, tak aby można było sądzić, że czekam na swoją kolejkę. W ten sposób mogłem widzieć dokładnie i słyszeć wszystko, co się przy stole działo. Ksiądz zajęty zapisywaniem nie zauważył wejścia „inteligenta“.

Odbywała się ceremonia religijna, którą najtrafniej określi nazwa: „Handel duszami“.

Wiadomo, że po Kościołach parafjalnych co niedziela przed sumą odbywają się „pacierze za umarłych“. Ksiądz odczytuje z ambony szereg nazwisk nieboszczyków i odmawia za nich „Zdrowaśki“ z wiernymi. Otóż, chcąc taką co-niedzielną modlitwę zapewnić swoim umarłym, wierni zapisują ich nazwiska „do ks. proboszcza“ na rok lub na pół roku, przyczem składają datek na ofiarę. Wkrótce też po wejściu do zakrystji usłyszałem taki dialog:

Za czyją więc duszę dajecie?

Ja też kciałam prosić za duszę Weroniki i Macieja Ożogów.

To za dwie dusze?

Za dwie.

Z nazwiskiem, czy bez nazwiska?

Dyć one miały nazwisko, niby Ożóg.

Bo to widzicie, matusiu, za nazwisko to się tu dwa razy płaci. Za samo imię — 50 tysięcy, a za imię i nazwisko — sto tysięcy. Więc jak sobie uważacie, żeby zapisać? Z nazwiskiem, czy bez nazwiska?

A dyć ta P. Jezus wie, że oni się nazywają Ożogi, to można i bez nazwiska.

Pewnie, że Pan Jezus wie, ale ludzie nie wiedzą, którzy się będą modlili. Dajcie tu dwie stówki, to wam zapiszę z nazwiskiem.

Kiej oni mieli jedno nazwisko, nie dwa, żeby aż za dwa płacić!

Jedno, ale każda dusza miała to nazwisko dla siebie, nie dla drugiej. Za każdą duszę płaci się dlatego osobno. A cóż to? Może nie warta, żeby za nią osobno ludzie się pomodlili? Kładźcie dwie stówki, bo nie mam czasu! Widzicie, tyle ludzi jeszcze czeka i nieszpory niedługo, a wy tu gadu, gadu. Marudzicie bez zdania racji! — A wy, gospodarzu, za kogo dajecie?

Postałem czas dłuższy, obserwując ten handel duszami. Ale ponieważ zaduch robił się dość mocny w zakrystji, nieznacznie wysunąłem się z powrotem do kościoła. Zdawało mi się, wychodząc, że widzę oczy księdza, który zerknął w moją stronę. Zdziwiony był, a może i zgorszony, że nie dotrzymałem swej kolejki i nie sprzedałem mu żadnej duszy. — Gdybyż on te pieniądze obrócił choć na odświeżenie, nie mówię już upiększenie kościoła! Żeby ten dom, był domem modlitwy, domem naprawdę bożym, a nie jaskinią brudu i niechlujstwa! — Dziwią się czasem sfery kościelne, czemu inteligencja nie bywa na nabożeństwach! To tak samo, jakby się ktoś dziwił, że inteligencja nie uczęszcza do brudnych karczem żydowskich, woli sympatycznie urządzoną, higieniczną restaurację. Trudno jeść, a cóż dopiero się modlić na śmietniku!

Z nazwiskiem, czy bez nazwiska? — dola-
tywało mię echo pytań z zakrystji, gdy już by-
łem przy balaskach wielkiego ołtarza i uklą-
kłem przed Utajonym na chwilę modlitwy za
umarłych. Modlitwy zadarmo...

Potem szedłem na cmentarz. Po drodze
rozmyślałem na temat prawdziwie dla mnie
wstrętny: dusigroszostwa w kościele, Dusigro-
szostwa przy okazji każdej, najmniejszej czyn-
ności religijnej. Pomyśleć tylko, coby było
krzyku w kraju, gdyby tak robiono w urzędach
państwowych! Płać za każdą drobnostkę, każ-
dą usługę. A to się dzieje w urzędach Pana
panujących! Za każdą czynność — płać!

Handel duszami, handel sakramentami,
szantaż i giełda modlitwy, jej akcje i dewizy,
haussy i baissy, zniknąć powinny nieodwołal-
nie! Duchowieństwo i kościoły winny mieć
dostatnie utrzymanie, zabezpieczone na innej
drodze. Przychodząc na modlitwę, chce każdy
myślący i czujący katolik zastać prawdziwie
dom boży — nigdy jaskinię z kuframi Mamona!

NA MARGINESIE FORMUŁY ŚLUBU.

Formuła ślubu przy zawieraniu małżeńskiego związku w Kościele katolickim jest podwójna: osobna dla mężczyzny, osobna dla kobiety. Mężczyzna przysięga:

„Ja N. N. biorę sobie ciebie N. N. za małżonkę i ślubuję ci miłość, wiarę i uczciwość małżeńską i że cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż Panie Boże Wszechmogący w Trójcy jedyny i wszyscy święci.”

Kobieta przysięga:

„Ja N. N. biorę sobie ciebie N. N. za małżonka i ślubuję ci miłość, wiarę, uczciwość i **posłuszeństwo małżeńskie**, i że cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż i t. d.”

Różnica wyraźna obu przysięg spoczywa w „posłuszeństwie małżeńskim”, składanem przez kobietę, na mocy którego ma ona ulegać mężowi, ilekroć ten zwróci się do niej z prośbą-żądaniem stosunku małżeńskiego. Na mocy złożonej przysięgi — tłumaczą moralisci i teologowie — kobieta winna być „posłuszną”, powolną mężowi **zawsze**, gdy on tego zażąda. Powinność ta spoczywa na niej pod grozą grzechu ciężkiego.

Kobieta powinna być posłuszną **zawsze**. Co

to znaczy? To znaczy — co tu dużo rozprawić — zawsze i koniec. Takie prawo, taki jej obowiązek.

Oto zdanie teologów.

A teraz zdanie lekarza-kobiety na ten sam temat. Cytuję z książki p. t.: „Higjena kobiety, Dr. J. Śmiarowska“ Lwów 1924. — Księgarnia nauczycielska“.

Higjena pożycia małżeńskiego.

W świecie zwierzęcym samica po zajściu staje się nietykalną dla samca, to samo ma miejsce i wśród dzikich plemion.

I tylko pośród cywilizowanych społeczeństw, pyszniących się swojemi wysokimi religijnymi i etycznymi ideałami, istnieje do gruntu fałszywy przesąd, że płciowe instynkta mają być zaspakajane w każdym czasie, a więc i podczas ciąży kobiet.

Rozpatrzmy te sprzeczne argumentacje, przemawiające jakoby w imię praw natury. Więc niektórzy utrzymują, że potrzeba płciowa u mężczyzny jest niezbędna, że nie może jej przez dziewięć miesięcy zaniechać, że natura kobiety jest inna, więcej bierna i dlatego ona przeznaczona jest na matkę, on zaś — na siewcę życia.

Inni zaś dowodzą, że i natura kobiety nie tak bardzo jest różną, że i ona mieć może równie silne potrzeby płciowe. Mało zaś kto w tym sporze wspomina o głównym celu: **o zdrowiu i dobrym wpływie na potomstwo.**

Jak odbija się przeważający dzisiaj tryb ży-

cia małżonków — bez abstynencji — na rozwój i siły potomstwa? Skrzętnie zbierałam spostrzeżenia w tym przedmiocie, które nasuwało mi otaczające życie — i oto z tych obserwacji z całą pewnością mogę wnioskować, że obcowanie fizyczne w czasie ciąży jest przeciwne naturze i szkodliwie wpływa na potomstwo. Dzieci w takich małżeństwach rodzą się wątłe, nerwowe, skrofuliczne i niezmiernie płciowo pobudliwe. Matkę wyczerpują fizycznie i nerwowo stosunki fizyczne, osłabiając ją ogólnie. Wprawdzie przez ostatnie dwa miesiące przeważnie zachowywaną jest wstrzemięźliwość, lecz to za mało i należy jej wymagać od pierwszych chwil rozpoznanego macierzyństwa. Pozorna różnica w temperamencie mężczyzny i kobiety wydaje mi się więcej być wynikiem różnego ich wychowania i wmawiania od lat najmłodszych, że to, co dla pierwszego ma być konieczną potrzebą, dla niej jest wstydem. Skromność i niewinność uważa się za największy skarb kobiety... A mężczyzna? On przyzwyczajają się do narzuconego mu poglądu na tę kwestję (w przysiędze przy ołtarzu! Przyp. mój). Jego egoizm ma pełne ujście, swobodę nieograniczoną. Może nadużywać jej, nie ponosząc skutków, ujawniających rozpustę.

Dwie te odrębne i przeczące sobie etyki wytworzyły straszliwe zło społeczne i zhańbienie godności ludzkiej — **prostyucję!**

Bo... nie jest pogardy godnym ten, który korzysta jakoby dla swojego zdrowia z żywego

towaru, ale kobieta „nie mająca tych potrzeb” gwałci prawa natury i dlatego staje się wyjęta z pod prawa i na zawsze pod pręgierz wzgardy w opinii oddaną. Zowiemy takie kobiety upadłymi...

Ale czemuż ta sama nazwa nie dotyka tych, którzy pogrążają je w tej otchłani?..

Mężczyzna, przyzwyczajony do swoich wyjątkowych przywilejów płciowych, żeni się z panią czystą i skromną, nie mającą takich jak on popędów, lub umiejącą je do czasu poskramiać. Z chwilą ślubu przechodzi ona na własność mężczyzny i odtąd ma zastąpić mu te inne, które miał przed nią. Jeżeli miłość prawdziwa skojarzyła ten związek, to wspomnienia przypuszczalnej przeszłości kawalerskiej męża będą zawsze przykrym i bolesnym rozdźwiękiem w ich zespole duchowym. Z drugiej strony nadmierne wymagania męża doświadczonego w miłosnych sprawach zniechęcić ją mogą na samym wstępie nowego życia i z raju — piekło uczynić.

Jakżesz często różne takie ciche skargi słyssałam w sekrecie i w największej tajemnicy „przed nim”, który ich nigdy nie zrozumie, bo jest inny...

Bardzo często zdarza się, że matka, karmiąc jedno, poczuwa nowe życie w swem łonie i musi zaprzestać karmienia pierwszego, żeby oddać swe soki i krew drugiemu... Nie można wymagać od kobiety spełniania niewolniczo obowiązków ze szkodą dla jej zdrowia i jej po-

tomstwa. Mężczyzna zaś tylko zyska na zdrowiu, gdy przyzwyczai się okiełznywać swoją wolą fizyczne popędy dla zdrowia żony i dziecka.

Umiarkowanie w życiu płciowem sprzyja rozwojowi sił ducha i ciała, zmierzając do udoskonalenia rasy (i jednostki. — Przyp. mój). Najlepiej wychowanym jest ten, kto od lat młodzińskich ćwiczył ciało swoje w posłuszeństwie woli silnej, kierowanej sumieniem.

Życiosiewna zdolność mężczyzny powinna być dla niego skarbem, drogo cenionym i oszczędnie wydatkowanym tylko w jasnym, świadomym celu mnożenia swego gatunku. Wtedy dzieci nie będą owocami przypadku, lecz zobopólnego upragnienia w momencie najlepszego stanu ich ducha i ciała.

Nie ulega wątpliwości, że obecny tryb życia mężczyzny—wyklucza wstrzeźliwość płciową. Odurzając się tytoniem, pobudzając trunksami, przebywając długo bez ruchu w rozrzanym powietrzu biur, kawiarni i knajp, czytając książki erotyczne (patrzac na „nagie“ stroje kobiece. — Przyp. mój) muszą podnieconymi być stale. Rozigrane zmysły znajdują się w ciągłym niepokoju gorączkowym, z czego fałszywie mężczyźni wnioskują, że ich zdrowie wymaga częstego zaspakajania zmysłów i bez tego cierpi. Przy higienicznych warunkach życia abstynencja płciowa nie może szkodzić zdrowiu...

Jakąż więc rolę ma spełnić mąż w oczekiwaniu potomka według praw natury?

Tylko to, co wypływa z jego serca i duszy: niech otoczy serdeczną troskliwością przyszłą matkę swego dziecka — niech oszczędza jej zdrowie i siły, na ową chwilę największego ich zapotrzebowania, niech dodaje jej otuchy i energii w tym przełomie jej życia, niech myśli o zabezpieczeniu jak najlepszym bytu dla całej rodziny. Nie jest godnym miana ojca ten, który nie chce nic z siebie poświęcić dla dobra swego dziecka." (Str. 61—62, 97).

Kościół w swoich prawach etycznych nie powinien stać niżej od zasad lekarskich. A ze wstydem przyznać trzeba, że forytując „posłuszeństwo małżeńskie” i do godności przysięgi je wynosząc, do wyżyn prawa — rozwiązuje cugle mężczyźnie, poniewiera kobietę. Wobec tego powinien Kościół skreślić w przysiędze ślubnej ten upadlający kobietę dodatek.

PRAWA WATYKANU.

Na szerokim terenie życia ludzkiego po wszystkie czasy prawo zмага się z prawem, kodeks z kodeksem, konstytucje wchodzą w kompromis z konstytucjami, ustawa ściera się z ustawą. Taki już świat i takie jego dzieje. I człowiek, i naród, i ludzkość pilnuje i musi pilnować swych praw i walczyć o ich całość.

Najcięższą walkę o należne sobie prawa staczał w ciągu wieków i staczać wciąż musi Kościół. Każda niemal stronica jego kodeksu została wywalczona, niekiedy oblana purpurą krwi męczeńskiej. A wśród wielu pozycji i uprawnień Kościoła, najzacieklej atakowanych, widnieje pozycja najwyższej postawiona: — prawa Watykanu.

Jakie ma prawa Watykan i czy je ma wśród ludzkości? — pytają z wieku na wiek odporne a uporne głosy.

Najlepszą odpowiedzią na pytanie jest ta, która ujawnia i wyjaśnia rzecz sporną w należnym jej zakresie. W naszym wypadku odpowiedź ta brzmi: Prawo potrójne ma Watykan — potrójną nosi koronę.

Nie tak dawno jeszcze zaszumiła nad światem burza wolności i z wiosennego nieba lu-

dów uderzył grom. Rzucił on w dzieje iskrę do-
tychczas niedocenianą, iskrę, która migąła tyl-
ko w błękitach myśli i zamierzeń ideału, mo-
zownie zstępując, albo nie zstępując wcale na
ziemię czynu. Iskra ta rozpałała wszędzie
w pożary **prawo człowieka do niezależności.**

Wolny w gronie wolnych, równy wobec ró-
wnych sobie, brat pośród braci na mocy swego
człowieczeństwa! — rozlegało się hasło, budząc
tysiączne echa z krańca w kraniec. W tem, co
stanowi jego świat wewnętrzny, co się na jego
jaźń indywidualną składa, byle nie było czyn-
nikiem etycznego rozkładu i rozstroju, w tem
wszystkiem — człowiek czy lud — posiada nie-
zależne od innych, swoje własne prawa.

Na tej podstawie i klucznik Watykanu, dzie-
jowy Piotr, opiera swe pierwsze prawo — nie-
zależności.

Tak zaiste! Wewnętrzna jaźń jego stanowi-
ska, jego swoisty świat, nie zależą od nikogo.
Świat, który się okazał nasieniem gorczycznem
i rozrósł w ochłodę i dźwignię pokoleń, w ster
nieśmiertelny nieśmiertelnych duchów, nie mo-
że być podporządkowany nikomu. Czoło swe
pochyla Temu jedynie, który go Duchem Swym
natchnął w łono ludzkości. Nie zależy więc od
państw, ani dekretów ministerjalnych, nie za-
leży od rządów i gabinetów, ich krzesel i bereł.
Żaden dekret, choćby go podpisywał w przy-
szłości prezydent świata całego, nie może spr-
wić, by człowiek przestał być człowiekiem
i stracił prawa człowieka. Tak też dekry

wszystkich rządów i wszystkie demagogje świata nie sprawią, by papież przestał być papieżem.

On jest i pozostanie niezależnym od nikogo. On wielkością swej duszy, pełnią i głębią swej istoty, przerósł wszystkie państwa, ogarnął okrąg globu. Zatem obok wielkich i największych tego świata, obok rządów i ministerstw, on staje jako równy wobec równych, wolny obok wolnych, brat w gronie bratniem, władny obok władzę mających. A ponieważ poszedł jeszcze dalej i przeniknął do głębi sumień, ponieważ rozdarł niebiosą i sięgnął w zaświaty, dlatego wznosi się wyżej. On staje ponad nimi. Najdosłowniej, najprawdziwiej — jego sztandar ponad trony. On — pierwszym wśród niezależnych... Jak prezydent kraju jest pierwszym obywatelem, jak ojciec pierwszym członkiem rodziny, jak wódz pierwszą osobą w armji.

I tak być powinno. Ktoby sądził inaczej, zdradzałby zaiste niedojrzałość umysłową.

Jeżeli bowiem dzisiaj każdy dział życia ludzkiego—sport, muzyka, poezja, malarstwo, technika, organizując się w społeczeństwie, wołają wobec rządów o niezależne, swoje prawa, jeżeli wiedza wogóle i sztuka dopomina się mocnym głosem o niezależność, jeśli krzyczy o nią dla siebie najbezczelniej nawet nagość, to na jakiej podstawie, jaki głos i jaka powaga może powiedzieć pod adresem Watykanu: „Stanowisz wyjątek! Milcz i bądź zależnym! Zrobisz, co ci rozkażą!”

Próbował wymusić to na nim miecz Cezarów i prysł w zakrzepłej prawicy, próbował wymóc to samo głos Hohenstaufów i umilkł bezsilny, próbował bagnet Hohenzollernów i Faustrecht Żelaznych kanclerzy i ulec musiały... Ulec przemocy prawa Watykanu.

I nie mogło być inaczej. Religja pośród działań życia ludzkiego — to dział najwyższy. Religja to śpiewak, co uderza w struny najwznioślejsze, struny boskie w ludzkości. A Watykan jest najwyższym wyrazem, jest przedstawicielem religji, i to religji Chrystusowej, religji wszechświatowej, która najcudowniej uderza w owe struny święte. Watykanowi zatem i religji przed wszystkimi działami życia należy się niezależność. I ktoby chciał obniżyć ten szczyt, dumnie w niebo dźwigniony prawicą Najwyższego, ktoby go chciał wygładzić z ziemi, ten niechaj wpierw odmierzy swe siły. Niech najpierw usunie z powierzchni globu szczyty materialne Alp, Kordyljerów i w gwiazdach Azji zbłąkany Mounth Everest... A potem może już rękę podnieść na prawa Watykanu, na jego niezależność.

Nie! Watykanowi należy się niezależność! Przynajmniej taka, jaką się cieszy każdy kulturalny dział życia ludzkiego. I nie może papież posiadać mniejszej niezależności, niż prezes międzynarodowego klubu wioślarzy, ani praw mniejszych od niego.

Dominuje dziś nad umysłami hasło powszechne: „Religja jest rzeczą prywatną każ-

dego." Ma to oznaczać, że religja, stosunek duszy ludzkiej do Boga jest zależny od osobistych przekonań. Nikt nie ma prawa, żadna władza, wglądać w duszę religijną jednostki. Jeżeli tak, to uczynimy krok dalej. Jeżeli religja jest niezależną w jednym człowieku, to jest nią także w dwu, trzech, stu, tysiącach ludzi, jest niezależną, „rzeczą prywatną” w całej zbiorowości. A ponieważ najwyższym wyrazem tej zbiorowości religijnej, jej wodzem i przedstawicielem jest Watykan, więc i on, jak cała religja jest „rzeczą prywatną”, katolicyzmu. Nikomu nic do niego. — Jest niezależnym! Jest panem swych praw!

I niewolę narzucałby wolności wogóle, kajdany na wszelką niezależność nakładał ten, ktoby odmawiał niezależności najwyższemu przedstawicielowi najwznioślejszej religji. Jest taki kraj, gdzie religji praw odmówiono, nazwawszy ją trucizną ludów. Tam też skreślono szereg innych praw ludzkich. — Nie! Nikt nie zamknie wiary bożej w szufladach ministerjalnych! Nikt Apostoła narodów nie uczyni pomiotłem rządów!

Na to się nigdy nie zgodzi Rvbak z Galilei, wolny i niezależny w duchowem swem rybołówstwie. I nigdy na to nie przyzwoli jego Mistrz i Pan, który doń mówił: „Jako mnie Ojciec posłał, tak i ja cię posyłam... Idź na świat cały i nauczaj... A wiedz... Do końca wieków Jam jest z tobą... Ani przepomnij — że dana mi wszelka władza na niebie i na ziemi...”

Tak rzekł. I gdyby zaszła potrzeba, to wśród błyskawic i gromów przypomni słowa swe Chrystus... Temu wiekowi, co adorując cienie Dalajlamy, i plackiem leżąc przed misterjami yogów, zwykł się natrzęsać i szydzić i kwestjonować prawa białego starca z Watykanu. Ale Chrystus czyni to stale swoim zwyczajem — cicho: dając zwycięstwo prawdzie. I biały starzec z Watykanu błogosławi coraz potężniej, coraz dalej... Wiekom i miastu wiecznemu.

Tak więc niezależność — pierwsze prawo Watykanu.

A za niem idzie drugie i trzecie.

Człowiekiem jest Apostoł, wziętym z ludzi i dla ludzi. Jak każdy przedstawiciel i wódz zbiorowości ludzkiej, podobnież i on posiada, skupia w swem ręku, prawa należne dla ciała i ducha tej zbiorowości. Stąd jego drugim prawem, prawem jego ducha wobec zbiorowości religijnej ludów jest **nieomylny prymat**, a prawem trzecim, prawem jakby fizycznej jego osoby wobec zbiorowości religijnej świata jest twardy grunt pod nogami. **Mocarstwowe stanowisko Watykanu, państwo kościelne.**

Najpierw kamień obrazu dla „wieków oświeconych“, dla epoki „ignoramus et ignorabimus“ — nieomylny prymat.

Co sądzić o nim? Czy stanąć wobec niego bez dyskusji wrogo, jak to czyni obóz akatolicki, czy przeciwnie z katolikami przekonana wpisać go w swoje dogmatyczne „Credo“,

włączyć w wyznanie wiary? Należy wybrać to ostatnie, rozpatrzywszy rzecz uprzednio z punktu widzenia umysłowości ludzkiej, którą on zdawałoby się chce pogrzebać w gruzach zacofania.

Każdy człowiek dąży do posiadania niewzruszonego dogmatu. Na terenie swego ducha, w dziedzinie wiedzy i prawdy, którą zdobywa z latami, pragnie nieomyślności. Chce bowiem, żeby wiedza jego nie była wątpliwą, lecz niewątpliwą, żeby myśl jego nie była chwiejną, lecz pewną, żeby na jej danych, na jej treści, mógł śmiało oprzeć się każdy. I on sam, który na niej codzień opierać się musi, o ile się na niej opiera, to zawsze tylko dlatego, że ją uważa za pewną, że się co do niej nie myli. Słowem, program postępowania ludzkiego, w człowieku pojedynczym i zbiorowym, dąży do nieomyślności i opiera się na tem, co nieomyślne. Inaczej bowiem człowiek prowadziłby swoje życie do stanu chaosu. Przecież każda omyłka pociąga za sobą nieład, omyłki we wszystkim, powszechne „ignoramus“, pociągnęłyby za sobą nieład powszechny, zupełny chaos.

Tak jednak nie jest. Każdy bowiem doskonale to czuje, że przestałby mieć grunt pod nogami, gdyby się w życiu na tem oparł, co omyślne. Czemże byłby, istotnie, rzemieślnik, zakładający rzemiosło po to, by uczyć mylić się terminatorów i czeladników? Czem byłby kupiec, otwierający sklep, w którymby karmiono nabywców omyłkami co do cen i towarów?

Czem stałby się uczony, tworzący laboratorja na to jedynie, żeby się w nich mylono? To też każdy Kościół i każda religja, któreby u fundamentów swych złożyły omylność, tworzą w społeczeństwie ludzkim, na najwyższym terenie jego ducha, ni mniej ni więcej tylko to, co w historii Polski figuruje jako Rzplita Babińska. Kościół katolicki położył w swe fundamenty nieomylność — na Wyżynach Watykanu. Ściśle biorąc uczynił to nie Kościół, zwłaszcza nie w roku 1870 dopiero, lecz pomyślał o tem Sam Założyciel Kościoła, Jezus Chrystus.

On, Genjusz pierwszego wieku swej ery, której nadał imię, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że prawdę religijną, nieomylną, wyczerpniętą z łona Bóstwa, rzuca na chwiejne odmęty myśli ludzkiej, na flukta ruchome jej błędów. Wiedział dobrze, że wprowadzie ta myśl ku nieomylnym horyzontom steruje i w drobiazgach powszednich pewność bodaj chwilową osiąga, ale że pełnej nieomylności w wielu najzawilszych sprawach nie ma i długo — może nigdy — mieć nie będzie. Postanowił przeto wesprzeć myśl ludzką. Dał jej nieomylnie rozwiązanie zagadnień najwyższych, wiecznych, tak jak je ogarnia Myśl Stwórcy, a potem ów boski swój podarek dla ludzkości postanowił przed chwiejnością ludzkich poglądów zabezpieczyć.

Jak to uskutecznił? — Najmądrzej.

Prawdę swej Ewangelji, tę cudną pieśń,

mógł podać na harfy wędrownych pieśniarzy. Nie uczynił tego, bo nie wyszłaby nigdy poza ramy legendy. Mógł ją zamknąć, jako słowo Boże, w pergaminie Biblii, żeby ją tłumaczono następnie, odczytywano. Nie uczynił tego, bo blisko piętnaście wieków świat pozostałby bez Ewangelji, nie umiejąc czytać i pisać. Mógł oddać treść tej księgi uczonym akademjom, by ją studjowano, jak system Platona. Nie uczynił i tego, bo wiek dwudziesty pierwszy po Jego Wniebowstąpieniu jeszczeby się nie dopytał o imiona filozofów, tytuły też ewangelicznych.

Chrystus obrał inną drogę. Jak każdy rozsądny twórca-człowiek, powierzył ideę swą organizacji, pomyslanej na najszerszą skalę. Sama nazwa, jaką dał idei, mówi o tem: Królestwo Boże. Królestwo wśród obywateli swoich znajdzie i pieśniarzy i harfy i szkoły i biblję, ale, posługując się niemi do swoich celów, na nich głównie się nie opiera. Siłą Królestwa, jego ostoją i kośćcem jest rząd, organizacja. Organizacja żywych ludzi dla żywych ludzi. Ona przechowa radośnie i zazdrośnie powierzony sobie skarb boży. W potrzebie da anielskie dźwięki piastowanej z miłością prawdzie, przekaże ją jak spuściznę rodową, jak klejnot uwielbiany, następnym pokoleniom. Organizacja jest najlepszą Biblią, bo wciąż żywą, głośną, przemawiającą, mogącą się bronić przed atakami fałszu, najtrwalszą. Nawet adoratorzy wyłączni martwej biblji, protestanci, do tej żywej biblji z czasem, instynktownie, się uciekli.

Ewangelicy wszelkich imion, Badacze Pisma św. potworzyli organizacje. Zapomnieli wszelako o jednej rzeczy, o której nie zapomniał Chrystus.

Każda organizacja, rozumnie pomyślana, posiada centrum. Taki ośrodek dał Chrystus Kościołowi, a dał tylko ośrodek jeden, Piotra, który osiadł na Watykanie. On miał być wykładnikiem prawdy, przez jego usta miał Kościół cały wypowiadać nieomyłne swe przekonania, on w razie niepewności miał utwierdzać braci. Piotr otrzymał prymat nieomylny. To jego przywilej, obowiązek i prawo. Gdyby był Chrystus pozostawił dwóch nieomylnych na swem miejscu, lub trzech — w Rzymie, w Jerozolimie, w Antiochji — to z biegiem wieków pomnożonoby niewątpliwie ich ilość. Rozszerzonoby przywilej nieomylności na Konstantynopol, Aleksandrję, Moskwę, Berlin, Madryt, Buenos Ayres, Kalkutę... Chrystus zdecydował inaczej. Rozumiał, że nieomylność ideowo co do każdej prawdy jest tylko jedna i tylko jeden ośrodek jej wyznaczył. Wiedział, że na jeden punkt globu najłatwiej zwrócić uwagę wszystkich, że najtrudniej go nie widzieć i nie skontrolować ludziom. Będą więc nad owem centrum czuwać zazdrośnie i pilnie. A Duch Boży w razie potrzeby czuwać będzie z nieba. I upilnuje jego nieomylności, „nauczy wszystkiego“ — według obietnicy Zbawiciela.

I tak powierzył prymat nieomylności Piotrowi. Nie po to, żeby stworzyć maszynkę dla

wyrobu dogmatów, ani po to, żeby w świat wprowadzić despotyzm głupstwa i absurdu, ale po to, żeby skołatany ludzkiemi błędami głowom, duchom targanym wątpliwościami w najzawilszych zagadnieniach, w kwestjach najwyższych i wiecznych, dać sternika ze swego ramienia i z echem mocnym Swego Głosu: „Zaprawdę, zaprawdę, mówię wam... Przemina niebios a i ziemia, ale Słowa moje trwać będą“. Rozbitą już i tak ludzkość jeszcze bardziej rozbijają na atomy, kto broni jej, kto jej zakazuje przyjąć otwartem sercem ów dar Chrystusowy: nieomylny prymat Watykanu.

Istnieje mnóstwo herezji i mnóstwo wśród nich uprzedzeń, niechęci, przeciwko jednemu centrum religijnemu świata, a rzecz dziwna wszyscy dziś tęsknią za programową myślą, za wieczernikowem pragnieniem Zbawcy: aby wszyscy byli jedno. Szczególniej mocno dziś Anglja pod Halifaxem się budzi. I jest mnóstwo prób przekonywania czytelników Biblii, że teksty najwyraźniej papieskie takimi nie są, choć prosty Maćkowy rozum od razu to widzi. Jabym sądził, że najpierw, jeśli kto chce poczernić okulary i nic nie widzieć, to na to żaden optyk nie poradzi, a powtóre że Chrystus, gdy coś mówił, to wiedział co mówi. Nię bredził w mąlginie. I jeżeli nazwał Piotra (przenośnie) opoką swego Kościoła, to Piotr opoką, oparciem moralnem dla Kościoła był i pozostał. Piekło się przecież organizuje i zamyka w jednolite bramy, najzwyklejsza banda ma swego herszta,

a Królestwo Boże miałoby się rządzić bezhoł-
wem przez wieki?!

Nie! Rzucam projekt międzynarodowy: Że-
by Chrystusowi Panu przyznać choć trochę wię-
cej rozumu... Bo doprawdy często różni bada-
cze i niebadacze biblijni mniej Mu przyznają
„zdrowego zmysłu“, niż go ma w Polsce prze-
ciężny Maciek z Koziej Wólki, nie umiejący
czytać i pisać.

Tak więc z zastrzeżeniami, które poczyni-
łem przy rozdziale „Niewola Rzymu“ — dru-
giem prawem Watykanu jest **nieomylny prymat**.

A trzeciem — państwo kościelne, mocar-
stwowe stanowisko Watykanu.

Argumentację w tej kwestji ułatwiła mi hi-
storja: dała papieżowi tak zwane państwo ko-
ścielne. Lecz historja również utrudniła mi do-
wodzenie: odebrała papieżowi jego państwo
przemocą. I dziś pogmatwał się stan kwestji.
Papież i katolicy domagają się pełnej **restytucji**
tego, co zagrabiono prawemu właścicielowi,
a strona przeciwna, interesowana, zwłaszcza
niekatolicy Włoch i poza Włochami, na resty-
tucję status quo z przed roku 1870 absolutnie
się nie godzą. Spokojniejsze i sprawiedliwsze
umysły przyznają wprawdzie, że ze strony Kró-
lestwa Zjednoczonej Italji należy się papieżowi
stosowna satysfakcja za oparty na gwałcie
śmiały krok Garibaldiiego, ale nie w tych ra-
mach, jak chce papież. Papieżowi — mówią —
nie wolno rozrywać włoskiej jedności. Byłoby
to dla tego kraju jego dziejowe harakiri.

Postarajmy się wyjaśnić sprawę po polsku, na Maćkowy rozum, uwzględniając stanowisko religijne namiestnika Chrystusowego w świecie.

Stanowisko to określił Zbawiciel kilkakrotnie przed Wniebowstąpieniem. Wynika z tych słów pożegnalnych, że na Kościół swój cały, a tem samem i na jego zwierzchnika, Piotra, nałożył Chrystus obowiązek nauczania prawdy ewangelicznej. „Idąc na cały świat — mówił do Apostołów — nauczajcie wszystkie narody, nauczając je zachowywać to wszystko, co rozkazałem”.

Poszli. Początkowo był to sztab nauczycielski całkiem nieliczny. Kilkunastu rybaków, a pośród nich jeden lekarz, jeden celnik i jeden uczeńszy nieco faryzeusz, Paweł z Tarsu. Z czasem liczba ta wyraziła się w setkach tysięcy duchowieństwa. Każdy z nich był oczywiście człowiekiem. Musiał mieć środki do życia, jakiś kęs chleba, dach nad głową, jakiś lokal, gdzieby można było zgromadzać wiernych na nauczanie. A nietylko sam. W zorganizowanych z czasem gminach musiał mieć środki materialne dla utrzymania służby kościelnej, kultu. I to środki stałe, nie prowizoryczne. Apostołowie z początku obok pracy apostołskiej trudnili się pracą zawodową — dla chleba, żeby nie być nikomu ciężarem. Paweł robił namioty. Ale nie trudno było spostrzec i wierni zaraz to zauważyli, że głosicielom Dobrej Nowiny, przewodnikom religijnym gmin, należy się odciążenie. Ten sam Paweł pouczał wiernych, że kto ołtarzowi

służy, z ołtarza żyje. Sam Zbawiciel, nauczając, odciął i porzucił zajęcie ciesielskie. To też, gdy się Kościół na dobre wychylił z katakumb, wierni pośpieszyli ze stałymi dotacjami dla parafji, biskupstw, klasztorów. Uposażyli duchowieństwo w ziemię, domy, świątynie, aparaty kościelne, liczne i bogate. Hojność, wobec wyższych zwłaszcza dostojników kościelnych, wobec opactw wybitniejszych klasztorów, dochodziła niekiedy do wielkopańskiej, do królewskiej wprost miary. Górujące stanowisko religijne, programowe wykształcenie duchowieństwa, oparte o splendor bogactw i posiadłości ziemskich, uczyniło duchownych potentatami pod każdym względem. Z chwilą, gdy wkraczali z nagim krzyżem w dłoni w dzieje Polski, dla duchownego i księdza (księcia) była już tylko jedna nazwa. Coprawda, duchowni po zapadłych placówkach może nieraz przymierali głodem, ale nikt już nie zmieni biegu rzeczy. U stóp złotego Krzyża, jak u stóp złotego Cielca — *prima caritas ab ego...*

Mniejsza już o to, jaką drogą, w każdym razie napewno nie tą, jaką podają pseudo dekretalja Izydora, także i pierwszy biskup wśród biskupów stał się wielkim panem, władcą papieskiego dominjum, małego państewka. Nazywano to szumnie „państwem kościelnem” — zupełnie niewłaściwie. Gdyby się tak chcieć koniecznie upierać przy nazwie, to było to „państwo lilipucie”, trochę większe od Wolnej Rzplitej Krakowskiej sto lat temu, a dziś od Li-

twy dajmy na to Kowieńskiej. Było to jedno z wielu księstw włoskich, państewko, którego walory polityczne w odniesieniu do niezależności papieżstwa, stanowczo po dziś dzień są przeceniane. Garibaldi nawet nie myślał jeszcze się urodzić, Włochy nie marzyły o Zjednoczeniu i papież był „il principe”, świeckim panującym, a zakon jezuitów wbrew woli papieskiej rugowano z Francji i Portugalji — i papież z całą swoją armją był wobec faktu bezsilnym. Tak i dziś, powiedzmy, niech papież odzyska swoje domeny dawne — czyby potrafił założyć zbrojne veto przeciwko prześladowaniom duchowieństwa katolickiego przez Eseseserepję? Gdyby nawet posiadał terytorja równe angielskim, najprawdopodobniej teżby się zawahał. Na to trzebaby mieć nie Rzym z przyległościami, Ostją i Civita Vecchia, ale conajmniej pół świata, żeby politycznie nakazać przymusowy posłuch swej woli i wywalczyć niezależność swych celów.

To też nie to stanowi punkt zwrotny w danej kwestji. Nie z punktu widzenia politycznego papież stał się polityczną potęgą, ani nie z punktu widzenia posiadania pewnego terytorjum, noszącego tytuł księstwa, czy hrabstwa. Nie, bynajmniej! Boć ostatecznie, gdyby o to chodziło, to i dziś, po tylu zaborach dóbr kościelnych, papież jest terytorjalnym potentatem. Wszystkie posiadłości, należące na całym świecie do duchowieństwa katolickiego i gmin wyznaniowych katolickich, należą tem samem na

mocy prawa do jurysdykcji papieskiej. Połączmy te wszystkie morgi i włóki w jedno terytorjum. Toż to potężna Rzplita z tegoby powstać mogła! Papież tem rozporządza, o te kawałki ziemi, **jak o swoje**, z rządami odnośnych państw się układa, jakby je z danego państwa wykrawał i tworzył swoją własną, zszywaną i łątaną, monarchję. Już z tytułu tych tylko posiadłości mógłby papież, nie troszcząc się o dominjum rzymskie, zasiąść w rzędzie książąt i królów. Toż to przecież królewska włość, na której wykupienie możeby zabrakło pieniędzy najbogatszym tego świata. Ale z tego tytułu papież wcale nie jest potęgą. Przyjdzie nowy Garibaldi i przemocą zabierze te posiadłości Kościołowi, jak tamten zabrał dominjum św. Piotra, i papież wraz z Kościołem ujrzy się z sakwą żebraczą i o kiju pielgrzymim, ogołoconym ze wszystkiego, a jednak jak był tak pozostanie jeszcze większym potentatem sumień. I on i każdy ksiądz, stojący pod jego wielką komen-dą na całym globie, znajdzie łyżkę ciepłej strawy w każdym domu katolickim. Tam jego „dominium Petri“. I powiedziećby można, że wszystkie dominja, posiadłości, należące do katolików, to „nativum dominium sancti Petri“. Złączyć je razem — to o podobnej monarchji nawet Napoleon nie marzył. Od bieguna do bieguna! —

Polityczna więc potęga papieżstwa i mocarstwowe stanowisko Watykanu nie płynie wcale pierwszorzędnie z państwa kościelnego. Gdy-

by papież nie był papieżem, to z całym swoim dominium rzymskim zginąłby jak księżęta Florencji i dożowie weneccy. Historia ich pogrzebała w grobie wielkiej Italji, a papież żyje i żyć będzie na grobach wszystkich państw i królestw.

Mocarstwowe stanowisko Watykanu ma źródła głębsze. Czerpie swą wielkość z władzy religijnej Królestwa Bożego. Złoty blask księżęcej korony „księcia Rzymu“ to tylko zewnętrzne decorum dla oczu ślepych. I bez tego jest on władcą sumień świata.

Jeżeli tak się rzeczy mają, to pocóż te wszystkie „rzymskie korowody“? POCO żądania, pod grozą ekskomunik wypowiedane, domagania się państwa kościelnego dla papieża? Wystarczy, jak papież będzie miał swój własny dom, w Rzymie, czy gdzie sobie zechce, i niezależnie od nikogo swoje sprawy załatwiać. Mocarstwowe stanowisko ma i bez zewnętrznego decorum, niezależność można mu prawnie zawarować, a prawo międzynarodowe silniej broni dziś niż bagnety wojska kościelnego. Na niem się łatwo spełnić mogą słowa Chrystusa: „Kto mieczem wojuje, od miecza zginie“. Na to, by dziś być wielkim i zbierać „królewskie“ honory, nie potrzeba mieć kilkunastu tysięcy klm² ziemi. Zbędny zresztą dla Watykanu balast — administracja księstwa, czy państwa.

A skoro tak, to niechby papież poprostu powiedział rządowi włoskiemu: „Źle zrobił Garibaldi. Ważył się na grabież. Do zjednoczenia

Włoch można było dojść i na drodze prawnej. Ale skoro z jego głupstwa wynikła mądra i dobra rzecz — jednolitość państwowa Włoch, nie chcemy dobra naszej Ojczyzny tamować. Dla jej większego szczęścia i chwały szaleńcowi darujemy winę, a rodakom za zgodą całego Kościoła ofiarujemy w darze całe państwo kościelne, zatrzymując sobie tylko pałac na Watykanie. Przodkowie nasi, troszcząc się o bezpieczeństwo Stolicy Apostolskiej, dali tę ziemię papiestwu, aby Namiestnikowi Chrystusowemu służyła za piedestał do mocarstwowego stanowiska. Dziś to samo lepiej skuteczni prawo tudzież wdzięczność i lojalność potężnych, Zjednoczonych Włoch. Szlachetności narodu i rządu włoskiego ufając, w ich ręce prawa nasze mocarstwowe i bezpieczeństwo nasze powierzamy. Evviva l' Italia! —

A rząd i naród, obdarzony takim zaufaniem, mógłby odpowiedzieć: „Oddawna i z niekłamana tęsknotą oczekiwaliśmy tego kroku Waszej Świątobliwości. Jesteśmy zaś szczerze wdzięczni i mocno zobowiązani. Nie chcemy się dać prześcignąć w hojności przodkom naszym. Całe dziedzictwo Korony Włoskiej, oddajemy Tobie jako tytuł Twój monarszy, Ojczyźnie Świętej. Jesteś odtąd tytularnym Królem Włoch, podczas gdy rządy sprawuje król rzeczywisty. Evviva il papa, re d'Italia!”

Czyby to nie było, na innej nieco drodze, przywróceniem państwa kościelnego? Tytularny król Włoch, ze wszystkimi prawami tego

monarchy! Re bianc o! Papież znów ma państwo kościelne, tylko rozszerzone na całe Włochy, posiada mocarstwowe stanowisko, tylko bez balastu całego aparatu administracyjno-państwowego. A Włochy? Urastają przez to również o całe niebo. Władca duchowy świata — królem Włoch. Toż to honor pierwszorzędny. Pozostaje w czyn zamienić okrzyk:

Evviva il papa, re d'Italia!

Re bianc o.

PRAWA KOBIETY.

Pośród spraw, jakie wpłyną na plenum Soboru Watykańskiego, znajduje się niewątpliwie także kwestja złączenia obu kościołów, Wschodniego z Zachodnim. Rozpatrywane będą szczególnie wiekowe różnice, jakie wynikły pomiędzy niemi: odrębne prawa, obrządki, zwyczaje. A wśród różnic znajdzie się na stole obrad także sprawa zawsze nader gorąca: małżeństwa, czy bezżeństwa księży. Trybunał, odpowiedzialny wobec nieba i ziemi, rozsądzać będzie raz jeszcze sprawę z punktu widzenia Rzymu przesądzoną: **prawa kobiety.**

Dostarczmy mu nadprogramowego, „pod sądne” materiału.

I.

Stanowisko kobiety, jej prawa w Kościele rzymsko - katolickim, nazwałem przesądzonemi — i takimi są one istotnie. Kościół uważa, że od czasów Chrystusowych podźwignął kobietę z najgłębszego upodlenia pogaństwa. Podniósł jej duszę idealną, zapatrzoną w piękno, na niebosiężne wyżyny dziewictwa, uwolnił ją od brutalizmu mężczyzny i uwieńczył jej skroń aureolą czcigodnego macierzyństwa. Uskuteczniwszy to wszystko, przywołuje ją do swych

stóp, opiera swe dłonie na księgach swych praw i mówi do niej z akcentem proroka: „Quid ultra debui facere vineae?” „Cóż więcej miałem uczynić dla winnicy twej duszy, a nie uczyniłem?”

Istotnie, wiele, bardzo wiele zawdzięcza kobieta Chrystusowi i chrystjanizmowi, reprezentowanemu najwydatniej w Kościele rzymsko-katolickim. Bóg ubogacił jej duszę w skarby bezcenne, z nieba i ziemi, z wyżyn, gdzie gwiazdy chodzą i z padołów kwitnących kwiatami. Wprowadził ją w świat, na jej sercu położył jego dzieje i rzekł do niej ukazując dni przyszłe: „Idź ku nim ufna — i bądź błogosławiona!”

Aliści poziomy instynkt, brutalna przemoc fizyczna starszego towarzysza jej losów, odebrały jej z wiekami niemal wszystko. Zamilkł głos błogosławieństw, który miał przemawiać i śpiewać ludom z jej duszy. Aż zstąpił Chrystus, dotknął jej warg i serca i kazał znów być błogosławioną. Uchylił czoła przed jej majestatem i przemówił do niej imieniem Matki Boga. A w usta swych apostołów, do serca swego Kościoła kazał włożyć i wpisać na wieki słowa władcze, boże: „Niemasz u Boga mężczyzny, ani kobiety, jest tylko człowiek.” Posłuszny Książę, niosąc w ramionach postać Niepokalanej Dziewicy, Matki Chrystusowej, ruszył w dzieje jak burza majowa, walcząc o prawa, o godność kobiety.

Wywalczył dla niej wiele, zaiste, bardzo wiele. Ale jej nie dał wszystkiego. Owszem,

nawet, uniesiony pychą własnych swych dla niej poczynań, nie spostrzegł, że ją sam sponiewierał i poniżył w tem, co się jej prawem nazywa. Kobieta nie posiada w Kościele należnych sobie praw, jako dziewica, matka i żona.

Co stoi jej czci na zawadzie?

Prawo przymusowego celibatu.

II.

Prawo przymusowego celibatu, wprowadzone z całą energją ale i z całą jednostronnością, właściwą umysłom zakonnym, przez Grzegorza VII, ma zdawałoby się cele i zadania nader wysokie.

Dwa są światy w człowieku. Świat ducha, który go zbliża do aniołów i Boga i świat ciała, który go zbliża do zwierząt. Ciało w stosunkach życiowych człowieka zagarnia dla siebie ogromne tereny. Od świtu do nocy służą mu ludzie: jedzą, piją, śpią, chodzą... Niemal dosłownie żyją jak zwierzęta. Lecz najbardziej zstępują w dziedzinę ciała przez element płciowy. Tu dzięki olbrzymiej impulsywności popędu, dzięki tysiącnym wpływom i ponętom, najłatwiej zagubić złotą miarę. I wówczas najbardziej zwierzęcy staje się człowiek. Zamiera anioł, zmartwychwstaje bestja.

Mnich z Cluny, przyozdobiwszy kaptur tiarą, a surową, stanowczą i gwałtowną duszę przyoblukszy we władzę: „Cokolwiek zwiążesz na ziemi...”, postanowił załatwić sprawę bestji sobie współczesnej na krótkim toporzysku...

Odciać od sług ołtarza „ciało“... Odebrać im żony, odsunąć kobietę od wpływu na kler... Zamienić świat hierarchiczny na jeden klasztor i koniec... Rzekł i podpisał prawo przymusowego celibatu.

Jednostronność, choćby najbardziej święta i najbardziej energiczna, ma zawsze tę wadę pierworodną, że jest jednostronną. Duch Boży, owszem, podpisał na niebie, co zapędliwy Namiestnik Chrystusa podpisał na ziemi, bo Duch Boży od początku przez usta Chrystusa uwielbił dziewictwo: „Błogosławieni czystego serca.“ Ale ten sam Duch Boży, doskonale znając glinę, którą ulepił na początku i która wkrótce jęła się rozkruszać w upadku pierworodnym, nie nakazywał dziewictwa, tylko radził, nie przymuszał tylko przedkładał je ofiarnym i chętnym: „Nie wszyscy pojmują to słowo... — mówił w gronie pierwszych hierarchów Chrystus — Kto może pojąć, niechaj pojmie.“ Przedziwne stopniowanie tych słów, warte, by je zanotowano sumiennie we wszystkich nowicjatch, klasztorach, zakonach. Nie mówi Pan: „**Quem iubent capere — capiat**“, ani też: **Qui vult capere — capiat**“, ale: „**Qui potest capere — capiat**“. „Kto może...“ Kto w sobie odnajdzie tyle sił duchowych i fizycznych, by podjąć ofiarę dziewictwa.

Tak wszechstronnie pojmował kwestję i wprowadzał ją w dzieje Duch Boży. Potężnie a przesłodko. Nawet duszy tak świętej, promiennej i czystej, jak Matka Chrystusa, przed-

łożył dziewictwo, nie zmuszał. I zatwierdzając Jej panieństwo, pamiętał o tem, co wypowiedział niegdyś o człowieku, umieszczonym w raju: „Niedobrze być człowiekowi samemu...” Dał Pannie męża — dziewicę.

Mnich z Cluny, rozżarty na bestję, której śladów dotykał się wszędy, zapomniał o stopniowaniu praw tak doniosłych. Jednem pociągnięciem pióra rozstrzygnął: „Quem iubent capere — capiat”. Komu rozkażę, musi być bezzennym.“

III.

Zapewne się zdumiał nad śmiałością swego Namiestnika Chrystus, jak się po dziś dzień zdumiewają dzieje. Prawo zostało podpisane, lecz życie ludzkie nie zostało przekreślone.

Naturam expellas furca... Choćbyś widłami odpędzał naturę, ona nie zważa na widły — i wraca. Cóż dopiero odpędzać ją „piórem!”

Siedm wieków upłynęło od śmierci Hildebranda, nadszedł okres Soboru Trydenckiego — a kler, duchowieństwo nawet wyższych stopni miało żony; nałożnice — dodawało prawo. Trzy dalsze wieki minęły, nadszedł okres Soboru Watykańskiego, czasy najnowsze, duchowieństwo zatrzymało surogat żon — gospodynie; nałożnice — utrzymuje głos powszechny. I „codex iuris” ten stan rzeczy sankcjonował. Doradza tylko, żeby gospodynią była siostra lub krewna. Nie każdy ksiądz ma siostrę, a w „krewnej” także kobieca „krew” płynie.

I od dnia podpisania dekretu przymusowego celibatu przez mnicha Hildebranda; od dnia, w którym kobieta - matka uznana została za niegodną spocząć z dzieciąciem w cieniu tych ołtarzy, na których z Dzieciąciem króluje kobieta-matka Boga; od dnia, wyrocznego zaiste, w którym mnich - papież odsunął kobietę-żonę od boku kapłana — od tego dnia przez dziesięć wieków wlecze się za hierarchją kobieta-nałożnica, kobieta-nierzadnica. I pisze w dziejach Kościoła tę straszną, a niekończącą się nigdy „chronique scandaleuse“ przymusowego celibatu, nad którą płacze niebo i ziemia...

Ziemia rozumna, uczciwa...

A ziemia ta, co jest porywczą, jak był sam Hildebrand, powiada, że właściwieby trzeba, aby pewnego dnia wszyscy księża na całym świecie, od papieża począwszy, złożyli sutanny i odeszli od ołtarzy. Jedni dlatego, że w bezwzględnej czystości żyć nie mogą, a drudzy dlatego, że nie mogą chodzić w oplwanej z powodu tamtych sutannie.

IV.

Ależ celibat nie jest **przymusowy!** Obiera go dla siebie każdy ksiądz dobrowolnie. Mówią mu o tem przed święceniami, on sam wie, że go ten stan oczekuje w kapłaństwie i wiedząc, świadomie zachowanie celibatu przyrzeka.

Tak... „**Qui vult capere — capiat**“. Nie: „**Qui potest capere...**“ Praktykę prawa Grzegorzowego Kościół wieków późniejszych oparł na tym półśrodku. „**Kto chce**“ przyjmuje na

swe barki brzemię celibatu, nie zaś według dewizy Chrystusowej: „Kto może.“

Zobaczmy konkretnie, któż to chce?

Wstępuje do seminarjum młody, kilkunastoletni chłopiec, zazwyczaj idealnie nastrojony, pełen niekiedy zachwytu dla bezwzględnego dziewictwa. Głośno w nim woła czystość obyczajów, wdrożona przez bogobożnych rodziców, głośno w nim woła w budzącej się duszy młodej pęd ku samodzielności, ku niezależności od jakiegś tam „baby“ i niesfornej „dzieciarni“, jeszcze głośniej odzywa się w bardziej religijnie nastrojonych duszach wzór Chrystusa-Dziewicy i mowa Ducha Bożego: „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają...“ On — piastun Boga — chce Boga oglądać, by Go łatwiej ukazywać innym. On, zastępca Chrystusa wśród ludzi, chce być jak Chrystus sam — dziewicą. Przystępuje do ołtarza, wypowiada wyraźnie swe „Introibo“ i przyrzeka żyć w celibacie, w czystości.

Ma lat dwadzieścia trzy, nie zna życia, w które wchodzi, nie zna siebie. Traktat z teologii moralnej „de sexto“ — „o szóstym przykazaniu“ — kazano mu bezpośrednio przed święceniami samemu przeczytać. Niewiele z niego zrozumiał. Napisany po łacinie, w której on nie całkiem „mocny“, ale zaciekawiał go poważnie. Dano mu więc do ręki klucz, by trzymał w dobrym zamknięciu „brzydkie“ rzeczy tego świata. Uczyni to niechybnie. Przypilnuje surowości zasad ewangelji. Strzec będzie

tej twardej mowy, która pograżonych w ciele ludzi przerabia w Aniołów.

Przybył na parafję, przemawia z ambony, spowiada. Młody, czasem ładny „księżyk“, niekiedy wprost śliczny, zyskuje sympatję, zaufanie licznych i ślicznych również penitentek, tak samo jak on młodych. One zwierają przed nim najgłębsze tajniki swych dusz dziewczęcych, kobiecych — „wszystko wyznać przecież trzeba“ — on je naucza w konfesjonale. Mają trudności — naucza poza konfesjonalem. Wdzięczne poproszą do swego domu na herbatkę, na podwieczorek. Pójdzie raz, drugi, dziesiąty. Staje się wkrótce częstym, potem stałym, zawsze mile widzianym gościem. Z pośród wielu domów upatrzył sobie jeden, najbardziej zacny, najgłębiej religijny. Tam bywa najczęściej. Przykuwa do siebie jego specjalną uwagę dusza córki państwa domu. Radby, żeby może została zakonnica, a jeśli ma wyjść za mąż, to żeby ją przygotować jak najlepiej do przyszłej roli żony i matki — gorliwej katoliczki. Nawet nie spostrzegł, jak on, mający nauczać „wszystkie narody“, naucza „ją“ zazwyczaj, jak czar jej kobiecości, ubrany w aureolę religji i serca czystego, przykuwa go do siebie coraz potężniej. „Ona“ również może nie wiedzieć o prawie natury, na mocy którego każda kobieta lubi się przymilić, umie się podobać niewinnie — jest urodzoną kokietką. We wspólnych rozmowach odnajdują w swych duszach pokrewne tony, harmonijnie nastrojone na jedną pieśń:

„Święty Boże, Święty Nieśmiertelny...” Coraz są bliżsi sobie... Jej się przykrzy, gdy go nie może zobaczyć, choćby tylko w Kościele, gdy jej podaje Chrystusa w Komunji, jemu ciężą puste ściany wikarjatu, czy probostwa, wśród których nie dźwięczy jej melodyjny głos, nie daje się słyszeć miękki szelest jej sukni.

Załatwiając sprawy małżeńskie, wynikające w parafji, obserwując otoczenie, które się kocha, zaręcza i żeni, spostrzega sam, a może ktoś go uprzedza dyskretnie, że jest zakochany. W pierwszej chwili jest zdziwiony, nawet oszołomiony. On — zakochany? Przecież niepodobieństwo! On — apostoł, on — dziewica, on — pełen ideałów najwznioślejszej czystości — on miałby być jak każdy przeciętny płaz ziemski — jak każdy z ludzi, zakochanym? Przecież on jest nad-człowiekiem, pół-bogiem, kapłanem!

Ale serce, jak złoty, ukochany młot bije mu w piersi radośnie, ilekroć jej sylwetka przesuwa się w pobliżu. Ucho chwyta chciwie każdy dźwięk jej słowa, oko najmniejszy jej gest, ruch, znak. O co ona go poprosi — nie umie odmówić.

Drażnią go i oburzają ludzkie pokątne plotki o nich dwojgu. Tak być nie powinno. Ludzie winni to zrozumieć, że może istnieć wzajemna miłość dwojga serc, które bynajmniej nie myślą schodzić na drogi ciała, drogi grzechu...

Ale nikt tego nie chce zrozumieć. Przede wszystkim zaś nie chce tego zrozumieć prawo

kościelne przymusowego celibatu. Nie chce tego pojąć, że gdyby tym dwojgu pozwolić przyjść do ołtarza i wypowiedzieć słowa: „Biorę siebie siebie...” wówczas przybyłaby Kościołowi najwzorowsza kapłańska rodzina, albo niekiedy Nazaret — rodzina, żyjąca dziewiczo. Znały ją pierwsze wieki.

Nie chce tego zrozumieć prawo. Łamie dwa serca, druzgoce jedno szczęście i z kapłana robi najczęściej ukrytego rozpustnika, czasem apostatę, a w najlepszym razie zgorzkniałego mizantropa o duszy rozbitej. Imię tego kapłana — legion...

V.

Ksiądz nie jest aniołem, pozbawionym ciała, zwłaszcza ksiądz przeciętny i zwłaszcza w pewnym okresie. I na niego przychodzi czas, który skonstantował na sobie „Stach Połaniecki” u Sienkiewicza. Budzi się w nim człowiek, istota społeczna, tęskniąca za ogniskiem rodzinnym, za sercem przyjaciela, za ojcowstwem. W tętnie swego samotnego serca, wśród pustych ścian plebanji, zdaje mu się, że czyta słowa Arystotelesa: „Człowiek, któryby nie żył w społeczeństwie, musiałby być czemś mniej, albo czemś więcej niż człowiekiem. Musiałby być dzikiem zwierzęciem lub Bóstwem”. (Politicon.)

Ksiądz Bóstwem nie jest, a zwierzęciem stać się może.

Zakonnicy po klasztorach, nie mając życia rodzinnego, mają natomiast doskonały jego su-

rogat, szerokie życie społeczne. „O jako miła i wdzięczna jest rzecz mieszkać braci społem“. Mężczyzna świecki, czy kobieta, pragnący pozostać w bezżeństwie, zawsze znajdują ką oparcia przy jakiejś rodzinie, nie czują się skrępowanymi w swych towarzyskich stosunkach. Mogą rozmawiać z kim zechcą, przebywać tam tak długo, jak długo zechcą. Ksiądz na to pozwolić sobie nie może. Nie może być częścią ani dłużej w żadnej rodzinie, bliższych stosunków nawiązywać mu nie wolno, bo... zaraz skandal, plotki, potwarze, chociażby nic naganego nie zaszło. Zresztą, jak tu określić, co naganne, a co nie! Dla niejednego, a zwłaszcza dla niejednej gorliwej dewotki z trzeciego i pół zakonu, wystarczy najzwyklejszy, byle nieco dłuższy uścisk dłoni... Już między nimi coś jest! Zgroza, zgorzenie, rozpusta! I rzecz idzie w kurs odrazu w **takiem** brzmieniu.

Biedny ksiądz, dbający o swą reputację, zamyka się w swojej samotni — na plebanji. Tu zamiast rodziny widuje może starego ojca, lub staruszkę matkę, dopóki nie umrą, potem ktoś z krewnych czasem go odwiedzi. Zresztą całe jego otoczenie, wywierające wpływ na jego naturę społeczną, wpływ codzienny, to służba i gospodyni.

Tak! Księża gosposia... Ma już ona swoją sławę i wyrobione stanowisko w społeczeństwie. Głupia, a pretensjonalna dziewczka, rekordowa plotkarka, przywłaszczająca sobie prawa i honory żony proboszcza, pani domu. Ksiądz jest

mężczyzną i na pewnym drobiazgowym terenie życia bez kobiecej opieki i pomocy dosłownie „wszyby go zjadły”. Wyrozumie i wyczuje ten sekret męskiej słabości i zależności od świata kobiecego nawet najgłupsza Kaśka. To też w krótkim czasie po nastaniu gospodyni cała parafja wie dobrze, kto rządzi plebanją, probostwem i samym księdzem proboszczem. Ze śmiechem i politowaniem opowiadają sobie ludzie, jak pani gospodyni splantowała „księdza kanonika czy dziekana”, jak mu nawymyślała, jak powiedziała, że mu żreć nie da, że mu łeb rozbije... Ale potem wszystko znów było dobrze. Ksiądz dziekan poszedł do Kanosy.

Pomyśleć tylko. Dwieście tysięcy conajmniej księży katolickich, wyszedłszy z seminarjum, urabia następnie na plebanjach w takiej atmosferze swą duszę, charakter kapłański.

Chłopieją, przestając z chłopkami. Nic dziwnego, że nie mając przy sobie inteligentnej kobiety-żony, nie znają się na manierach, na grzeczności, nie umieją się znaleźć w lepszym towarzystwie, tracą wpływ na wyższe, wykształcone sfery. Nic dziwnego, skoro pan organista, a często pan „dziad kościelny” ma przy swym boku uczciwą, skromniejszą i inteligentniejszą kobietę-żonę, niż ksiądz proboszcz, kanonik, czy dziekan.

I tak się obniża poziom ludzki w księdzu-człowieku.

A często budzi się w nim zwierzę. Wycho-
dowany w ciepłarnianej atmosferze seminar-

jum, karmiony na terenie czystości ciała pruderją, niech uczuje tęsknotę ojcostwa w swych członkach, w swej duszy! Otoczenie kobiece, jakie jest, takie jest, ale jest zawsze dzień i noc na plebanji. I ksiądz i dziewczyna do posługi mają oboje ciało. Pruderja zaostrzyła ciekawość. Przechodzą koło siebie zdala, dyskretnie. Ale, któreś zachorować może. Okazuje się potrzeba bezpośredniejszej pomocy. Ach, jak też wygląda ciało kobiece w najciekawszym dla mężczyzny szczególe! Pierś, łono, zwłaszcza łono! I prędzej, czy później tęskniący za kobietą, a ciekawy ksiądz upadnie w jej ramiona...

„Chronique scandaleuse“ wpisuje nowy rozdział.

VI.

Błoto kobiece pada na ornat, różom kazano pójść precz!

Kościół poniżył kobietę. Ograniczył jej prawa, jako matki i żony, odpychając ją od ołtarza, a zagroził jej dziewictwu, stwarzając w szeregach przymusowych celibatarjuszy wieczne zarzewie napastniczej namiętności. Namiętności tem niebezpieczniejszej, że wiecznie ciekawej, nigdy niezaspokojonej na normalnej drodze. Kościół upadła kobietę, wysyłając dzień w dzień od sanktuarjów swych ołtarzy na całym świecie kilkaset tysięcy ludzi, którzy potrzebują kobiety, jej pomocy, jej współpracy, a są dla niej nieustannem niebezpieczeństwem, dla jej czci i dla

jej ciała. Quod licet — ingratum est, quod non licet — acrius urit. (Owidjusz, Amores III, 4,17.) Zakazuje prawo księżom zbliżenia się poufnego do kobiety. One o tem wiedzą. Szlachetniejsze szanują wolę Kościoła i nie zbliżają się. Natomiast naiwne i zepsute — wiecznie się płaczą i płatać będą i gmatwać losy Kościoła i losy tysięcy i tysiący kapłanów.

„Skutki celibatu“. Społeczeństwo polskie nie zastanawia się dostatecznie nad tem, jakie opłakane skutki sprowadza na życie gromadne przymusowy celibat. Społeczeństwo polskie nic nawet nie chce wiedzieć o sprawach związanych z celibatem. Są to bowiem zagadnienia, o których się nie mówi, o których się wiedzieć nie chce, jeśli są poruszane w sposób poważny i celowy.

Wystarczy natomiast powiedzieć coś „wesołego“ i pobłażliwie ironicznego o życiu seksualnem księży i zakonów katolickich, a wnet wszystkim katolikom przychodzi na myśl cały szereg krotochwilnych historyjek i niemoralnych anegdotek, zaczerpniętych z życia ludzi, pędzących żywot w przymusowym celibacie. Nawet sami księża jeśli rozmawiają o swej niedoli, wynikającej z przymusowego celibatu, to zwykle mówią o tej sprawie w sposób obłudny, obmawiając najczęściej swoich kolegów. Tymczasem o tem ważnem zagadnieniu należy mówić poważnie, szczerze i otwarcie. Jest to bowiem szkodliwa bolączka, którą należy jak najprędzej usunąć z organizmu społecznego.

W numerze 95 „Robotnika“ czytamy taką króciuteńką wzmiankę:

„Prefekta szkoły ludowej w Sandomierzu, ks. Tadeusza Seewalda, aresztowano i osadzono w miejscowym więzieniu, pod zarzutem dopuszczania się gwałtów na nieletnich dziewczynkach, uczęszczających do szkoły!

Ponieważ, jak dowiedzieliśmy się, ks. prefekt został tymczasem zwolniony i znajduje się we Lwowie, sprawę tę podajemy do wiadomości publicznej. Chodzi nam o to, aby nie została ona przypadkiem zatuszowana, o co starają się miejscowi endecy.“

Sprawa tragiczna, wszelkie komentarze zbyteczne! („Nowe Drogi“, 15. V. 24.)

Piszącemu te słowa mówił niedawno temu jeden z profesorów seminarjum: „Połowa księży w naszej diecezji żyje w konkubinacie, a może i więcej niż połowa“.

Ksiądz potrzebuje kobiety w życiu dla swej duszy, dla swej pracy, dla swego serca dla swych tęsknot najgłębszych ojcowstwa. Prawo przymusowego celibatu odbiera mu kobietę szlachetną, a zostawia kobietę poziomą i — nierządnicę.

Nigdy nie zapomnę rozmowy, jaką miałem z kilku księżmi w Małopolsce. Jeden, ceniony bardzo w diecezji, słynący jako asceta, mówił tak: „Małżeńskie stosunki, ciało... najmniejsza rzecz. Nie o to chodzi i tego mogłoby nawet nie być. Ale na tej pustce parafjalnej trafiają się chwile duchowo tak ciężkie, że z końca

świata, za wszelką cenę chciałoby się mieć serce drugie, harmonijnie z mojem bijące, czułe i dobre, a oddane zupełnie. Serce przyjaciela na dołę i niedołę. Matka?.. Siostra? — To nie to, co żona. Jedna dusza, serce jedno. W takich chwilach dopiero się czuje, co to za straszna ofiara — celibat w kapłaństwie. I nie dziwię się, że niejeden jej nie przetrzyma, chwycony w potrzask przymusu."

A drugi mówił: „Niech kto co chce gada, powiem mu po staropolsku, że jest durny. Do **całości** natury człowieczej należy ojcowstwo w mężczyźnie, macierzyństwo w kobiecie. Niedobrze być człowiekowi samemu. Potrzebne mu życie społeczne. Nie każdego stać na to, by na parafji tworzył jakieś orfelinaty, domy dla opuszczonych dzieci, surogat rodziny na szerszą skalę. Dzieło takie zorganizować, poprowadzić i wypełnić sobie niem życie, tę piekielną pustkę parafjalną po małych, zapadłych dziurach — na to trzeba mieć talent. Ale stworzyć ognisko rodzinne, zorganizować własny dom, zapewnić kęs uczciwego chleba swej żonie, godnej swego stanowiska towarzysze życia i dzieciom, na to każdego z nas stać. Nie bylibyśmy jak dziś potępieńcami przy ołtarzu, którzy z rozpaczą, złamawszy serce ludzkie w sobie, puszczają się potem na hazardy, pijatyki i bo ja wiem co... A serce złamać się musi, bo **całość** natury domaga się ojcowstwa, a nie otrzymuje go. Ofiara? Na nią stać bardzo wielkich. Tacy się na kamieniu nie rodzą. Zresztą

w jakim celu ofiara? Życiu religijnemu w parafji przewodniczyć mogę, mając szlachetną i rozumną żonę. I możebym lepiej przewodniczył, wsparty jej sercem, dłonią. Jest wiele terenów życia parafjalnego, do których ja jako mężczyzna nie mam wstępu. Nawet kapłan jest tam intruzem. Potrzebna „kapłanka” — kobieta.

Złamać się musi serce, a przynajmniej zanieść na długo, nie mając ojcostwa. Drewnem jest ten, kto tego w mężczyźnie, w księdzu nie rozumie. Pierwszem szczęściem i zaszczytem i zachwytem na łonie Trójcy — Ojcowstwo. Z prawa natury i mnie ten zaszczyt i szczęście przysługują. Prawo celibatu mi je wydziera. Rabuje mi szczęście i zaszczyt — boski. Krwią i ciałem byłbym związany z Królestwem Bożem. A tak!?!..”

A trzeci opowiadał: „Otrzymałem zaproszenie na wieczorek. Ślicznie, poszedłem. Gospodyni domu — nauczycielka. Młoda, ładna, niezamężna, trochę sympatyzujemy ze sobą, choćby z tego względu, że oboje „nauczamy wszystkie narody”. I proszę sobie wystawić. Usmażyła takie „pampuchy”, tak smaczne, że i ja i całe towarzystwo nie mogliśmy się ich odjeść i odchwalić. Nie wiem już jakim cudem, wyrwały mi się wśród zachwytów nad pączkami słowa: Ach, żeby mi pani takie codzień smażyła, miałbym zapewnioną robotę na cały wieczór — oblizywanie palców. — A ona, jak to czasem kobiety potrafią, wręcz odpaliła: Ja mogłabym to zrobić, ale tylko dla swego męża.

Oczywiście. Na służącą, ani gosposię do mnie się nie zgodzi. A ja, ponieważ muszę być „bezbabny” więc muszę się zgodzić na to, że wszystko już będę miał gorsze w życiu. Nawet ten niewinny stół. Nie mogę sobie obiecywać, że porządna i mądra kobieta ugotuje mi porządny obiad. — Kaśka! Ugotuj tam ziemniaków z kapustą. A nie włóż do niej karalucha!

Niech żyje Grzegorz VII, wielka kapuściana głowa!”

VII.

Wiadomo, że po wojnie i w czasie wojny światowej zaszedł szereg takich wypadków w kraju naszym, kiedy to księża, a nawet księża-zakonnicy pobrali sobie żony. Cała ludność katolicka i prawo kościelne patrzyło na nich, jak na zaprzańców wiary, na ich czyn, jak publiczny skandal, a na kobiety, wchodzące tu w grę, jak na istoty gorsze nawet od prostytutek. Niektórzy z owych księży, chcąc legalizować swój krok małżeński i stanowisko żony, zmieniali, jak się to mówi, wiarę, ale nie wszyscy. Inni poprostu rzucali wszystko „do diabła” i nie dbali na opinię katolickiego społeczeństwa, które ich rosą sakramentów swoich wykarmiło. Jeszcze inni, ale to przed wojną, wydawali książki, w których plwali na wszystko, co święte w Kościele. W ostatnim czasie doniosły pisma, że księża marjawiccy, pojąwszy żony i spółdziwszy z niemi dzieci, wystąpili

z tak idjotycznym umotywowaniem swego kroku, że aż — załamanie rąk!

Naszem zdaniem tak być nie powinno. Było świętym i ścisłym obowiązkiem sumienia tych księży-mężów stanąć w obronie czci swoich żon i dzieci i wywalczyć im wobec opinii katolickiej uznanie prawne ich stanowiska. Powinni byli podnieść poważny i rozumny głos w obronie ich czci niewieściej i dać im w społeczeństwie i prawie kościelnem stanowisko takie, jakie się należy wszystkim uczciwym kobietom, matkom i żonom. Wywalczyć im dostęp do ołtarzy!

Ależ to niepodobieństwo! — zakrzykną zeloci. Ksiądz nie może mieć żony!

Bardzo proszę, dlaczego? Czy on sam jest takim niezdarą, że nie potrafi utrzymać rodziny? W takim razie, jak mu można powierzać parafję? Albo czy może kobieta katoliczka tak nisko religijnie upadła, że nie potrafiłaby zbliżyć się do ołtarza, jak przysłowiowy djabeł do kociołka z wodą święconą? Chyba przeciwnie. Kobiety zawsze świeciły i świecą przykładem religijności mężczyznom. I jeśli „bezbożnego“, „zdeprawowanego“ mężczyzny nie odpędza się raz na zawsze od ołtarza, to jakim prawem usuwa się z pod jego opiekuńczych cieni religijniejszą kobietę? Ona biedaczka nieraz we łzach i krwawym trudzie musi zagubić swe szczęście wiary, otrzymując za towarzysza człowieka-niedowiarka. W bólach duszy długotrwałych musi targać swe religijne siły.

Musi rodić dla rozumu i wiary starego chłopca, zakamieniałe w nałogach i głupie bydło ludzkie! Czegoby nie uskuteczniła dla wiary, gdyby ją mogła rozspiewać w sercu nadzieją, że stanie ramię obok ramienia kapłana i poniesie ją z nim razem dla ulgi, dla szczęścia dusz.

Czy może kołyska byłaby profanacją plebanji? Nie sprofanowała przecież Nazaretu! Mąż i żona prototyp rodziny kapłańskiej, strzeżli tam żywego tabernakulum.

„Czem byłby katolicyzm, gdyby plebanja nie była starokawalerskiem gospodarstwem z „bratanicą księdza proboszcza“ na czele, ale rodziną wzorową, świecącą przykładem całej parafji. Dzieci księży otrzymałyby wychowanie starszaniejsze od dzieci innych i oddziaływały dodatnio na inne dzieci. Podobnie małżonki księży, prowadząc życie w bezpośrednim sąsiedztwie ołtarza, mogłyby być poważniejszymi, głębszemi, myślącemi istotami, mogącemi służyć za przykład innym małżonkom. Ludność katolicka miałaby przyrost poważny nietylko w liczbie, ale i w jakości, gdyby plebanja była ogniskiem rodzinnem.“ („Nowe Drogi“, marzec 1924.)

Ani dziecko, ani rozumna, szlachetna kobieta, nie sprofanują plebanji, nie ujmą nic świętości ołtarzom, raczej przeciwnie. Będą ozdobą swych mężów i stanowiska ich wśród świata. Jakżeby inaczej, zaiste, wyglądały plebanje, Kościoły, ołtarze, parafje, gdyby je rozgrzało ciepło serca inteligentnej kobiety! I czyby stra-

cił na powadze który z księży, owszem, który z biskupów, gdyby zamiast swarliwej Kaśki czy Maryśki, głupiej a zarozumiałej, stanęła przy jego boku żona tej miary, co np. ś. p. generałowa Zamoyska, albo Cecylja Zyberk-Plater? Biorę najbardziej znane nazwiska. Pierwsza z nich, osoba świecka, pisała komentarze do Pisma św. — Który z biskupów naszych to potrafi!

Jakby inny wpływ poczęła wywierać religja, gdyby żony kapłanów wniosły ją w życie towarzyskie, w to jądro społeczeństw! A życia towarzyskiego — to już trudno! — bez kobiety stworzyć niepodobna. I dlatego tę wielką placówkę kultury bezżenny przymusowo Kościół od kilku wieków programowo przegrywał i przegrywa. Rezultatem tego w wielkiej mierze — „religja wyludniona”. Natomiast wygrywał Kościół stale od kilku wieków i stale wygrywa to, że:

„Sekta, żądająca od swoich kapłanów celibatu, w biegu o nagrodę rozpusty pierwsza dotarła do mety. Powściągnięcie cugli prowadziło tu do dróg, na których rynkokrężna Wenera i Pederastrja walczyły o prawo posiadania grzesznego ciała świętobliwych i wielebnych.” (Wolter).

Dla swoich sług, którzy być winni „światłem świata”, dla przedstawicieli „rządu świętych”, hierarchji, zbiera Kościół ustawiczne skandale. Niema prawie księdza, o którym by nie opowiadano sobie w zaufaniu „pikantnych” rzeczy.

Księży uważa się za zamaskowanych rozpustników. Słusznie, czy wbrew słuszności, kto o to zapyta? Kto zresztą dojdzie prawdy? Żywszy uśmiech, gorętszy uścisk dłoni, dłuższa rozmowa z kobietą, przechadzka w towarzystwie kobiet — odrazu wywołują gorszące komentarze. Na miły Bóg! Gdzież się ten ksiądz ma podziąć? Ale tego już nikt nie usunie. Żadne protesty ze strony księży. Niech się jeden wypadek zdarzy, powiedzą: „ex uno disce omnes”. Dlatego, że ich wszystkich prawo związało w jedną, odpowiedzialną wspólnotę. Gdyby był celibat dowolny, zostawiony do wyboru jednostce, w razie upadku odpowiadałaby jednostka. Tak zaś odpowiada czterysta tysięcy kapłanów za jeden, może nawet niewinny uśmiech jednego. Prawo czyni wspólnotę i na jej karb zapisuje wszelkie zło lub dobro jednostkowe. Tu niema dwu zdań. Skandalów na tle prawa inaczej się nie usunie, jak usuwając, albo zmieniając prawo. Skandale na tle przymusowego celibatu w jednej chwili usunie — żona. Proszę tylko się przypatrzeć duchowieństwu wschodniego obrządku. Mają żony, nie mają skandali. A jeśli się zdarzy — odpowiada jednostka.

Słowem, i Kościół, i mieszkanie, i dusza księdza i jego dobre imię inaczejby wyglądały, niż wyglądają obecnie, gdyby mu dano żonę.

Ale nastęrcza się trudność zasadnicza: materiał kobiecy mógłby przynieść hańbę Kościołowi!

Na to „zasadnicze“ zagadnienie, jaki materjał, męski czy kobiecy, przyniesie więcej chluby ołtarzowi, odpowiem, cytując fakt bynajmniej nie odosobniony z głębi Rosji:

Chłop, spity wódką, szedł obok plebanji popa. Naraz staje, nie chce dalej iść.

Pojdi! — wzywają go koledzy. Batiuszka tożę pjan!

Nie pojdu! — odpowiada. Batiuszka tak batiuszka. No wot matuszka obizajetsa. Nielzja!

I nie poszedł pod oknami popa. Bał się „matuszki“ — popadji, która i w mężu-kapłanie i w parafji musiała tępić pijaństwo.

A Kościół rzymsko-katolicki z karygodnym uporem widzi wciąż w kobiecie tylko „grzeszne ciało“, „zwodniczą syrenę“... I odsuwa ją od ołtarzy, uszczupla świętą pełność jej praw, kodeksem swym ją upadła, gdy ona chce ołtarza dla siebie i dla swej dzieciny, bo jej się to za prawdę należy.

Wart, zaiste, żeby ręka jakiej rozumnej kobiety wymierzyła jego prawodawcom i przedstawicielom — policzek! —

Mam jeszcze żywo w pamięci historję jednej pani, wysoko wykształconej i religijnej kobiety, której syn zapragnął wstąpić do seminarjum na księdza. Namawiał go do tego jeden znajomy prałat, chłopiec też miał ochotę. Ale kochał matkę i nic nie przedsięwziął nigdy bez jej aprobaty. Zwierzył się jej zatem ze swego zamiaru.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

Moje dziecko — mówiła — mój najdroższy synu, czy ty mnie kochasz?

Tak, mammo. Bardzo, bardzo cię kocham, jak nikogo na świecie.

Czybyś zawarł bliższe stosunki z ludźmi, którzyby znieważyli ci matkę?

Nie, mammo, nigdy.

Otóż widzisz. Ja jestem znieważona przez księży, jako kobieta. Przymusowy celibat poniża nas, odpycha od ołtarza. Ma nas za istoty, niegodne praw człowieka. Jesteśmy wypoliczkowane przez Kościół i w pokorze ducha znosimy. Ale jabyłm chyba umarła, gdybyłm pomyślała, że mój syn, moje dziecko wstąpił w te same szeregi. Ołtarz jest świętością, ale... Ja nie znam ciebie, jaki ty będziesz w trzydziestym roku życia. Gdy ci mnie zabraknie, czy nie zatęsknisz za sercem równej mi kobiety-żony? A nie wolno ci będzie podać jej ręki. Ty będziesz niewolnikiem. I może znieważylbyś ołtarz...

Nie, moje dziecko. Chyba po moim trupie pójdziesz do swej niewoli, w kajdany celibatu, głupie i złe.

Nie można się dziwić, że po takiej rozmowie syn napisał do prałata: „Wstępuję do seminarjum. Zgoda. Ale pod warunkiem. Chcę mieć żonę.”

Tak odpisuje coraz więcej młodych i stąd seminarja świecą pustkami, pustoszeją parafje. A hierarchja się dziwi i zachodzi w głowę, jak łowić w sidła celibatu niedoświadczone dzieci?

VIII.

Zatem — — znieść celibat? Z kodeksu kościelnego wykreślić zupełnie to prawo?

Nie sędzę. Ono tylko brzmieć powinno inaczej. Tak mianowicie, żeby jego brzmienie usunęło **przymus** celibatu.

Najpierw bowiem wielu jest pośród księży takich, którym wystarcza dla życia osobistego **siła**, reprezentowana wybitnie w męskim ich świecie. Na terenie serca i uczucia, gdzie króluje **delikatność** i doprasza się ręki swej przedstawicielki — kobiety, oni nie widzą dla siebie „interesu”. Nianczenie dzieci — bynajmniej ich nie zachwyca, ojcowstwo nie potraça w nich o głębsze struny, poezja zaś i czar miłości, „banialuki zakochania”, jak mówią, pozostawia ich zimnymi. A ciało? Pożądliwość? Nad tem z łatwością panują, zapatrzeni w wyższe światy i w regjony boże. Zdarzają się, i to znów nie tak bardzo rzadko, umysłowości w rodzaju umysłowości Kanta, Spinozy, Kartezjusza i Lubienieckiego (Leibniz), wszystkich celibatarjuszy, jak wiadomo z historii. Prawda, wiedza — dla nich szczęściem jedynem, żoną i dzieckiem równocześnie. Lubieniecki np. mówił, gdy mu proponowano ożenek, że poprostu nie ma na to czasu. Tyle spraw, tyle zagadnień... Jedno się kończy, drugie powstaje... Inclinata resurget, jak spirala. A on przecież nie myśli krzywdzić żony i dzieci. Matematyka, filozofja, harmonja wszechświata pochłaniają jego czas, myśl i duszę. Żonie byłoby tam za ciasno.

I stąd łatwo mogłoby się zdarzyć małżeństwo nieszczęśliwe, gdyby nie znalazł kobiety, któraby umiała dotrzymać mu kroku w tak wysokich sferach ducha.

Wypadek tego rodzaju zaszedł w życiu nieśmiertelnego wieszczka Italji — Dantego. Oповіда jeden z dawnych żywotopisarzów poety:

„Przywykł był Dante do czuwania po nocach nad świętymi księgami, przywykł do rozmów z książętami i królami, do dysput z filozofami, do rozkosznego z poetami obcowania; częstokroć też trosk innych ludzi wysłuchując, o swoich zapominał. Teraz zasię z godnego towarzystwa wyrwany, musiał niewieściej paplaniny wysłuchiwać, czyniąc tę postawę, że nietylko go ona nie mierzy, ale że owszem słowa one ma w wielkiej uwadze.

Przywykł był, ilekroć obrzydł mu tłum pospolity, udawać się do jakiegoś miejsca samotnego i tu w onych naukach subtylnych wielką pilność czyniąc, dociekał, jaki to duch niebiosora porusza, skąd się bierze życie stworzeń, i jakie jest żywiołów pierwotne źródło. Albo też kiedy natchnienie mu spłynęło, składał dzieła, które po śmierci glorią sławy miały otoczyć jego imię. Teraz nietylko gwoli ochocie żoninej słodkie medytacje swe porzucać musiał, ale także widział się być zmuszony przebywać w towarzystwie ludzi grubych, źle na sprawach ducha się rozumiejących.

Do tej pory mógł uczuciom swoim, czy radosnym, czy smutnym folgę dawać, śmiejąc się,

płacząc, śpiewając i wzdychając dowoli. Teraz zasię już tego czynić nie miał śmiałości, a co gorsza z każdej błahostki musiał małżonce sprawę zdawać, tłumacząc, co go tak wzruszyło, skąd powraca i dokąd pójść zamierza.

Zaś ona powodów jego radości doszukiwała się w miłości do innej białogłowy, smutek zaś na karb nienawiści ku swojej osobie kładła.“

Będzie to miało raz po raz zastosowanie. Jest wiele męskich charakterów, którym cięży, a nawet ich śmieszy delikatność natury kobiecej, jej wrażliwość, nie pomijająca najmniejszego drobiazgu. Takim, istotnie, kobieta byłaby zawadą w życiu. Im wystarczy najzwyczajniejsza służba do czyszczenia rewerendy i butów i cerowania bielizny. Ale tacy to są „wyjątkami“ nawet wśród ogółu mężczyzn, tem bardziej będą wyjątkami wśród duchowieństwa.

Ogół mężczyzn-księży bezwzględnie potrzebuje kobiety. I nie tyle może z fizjologicznego punktu widzenia, ile raczej ze względu na swą duchową stronę. Siła potrzebuje uzupełnienia w delikatności, pęd w dal musi być zrównowazony przez najbliższe drobiazgi. Dopiero wówczas zjawi się wykończenie życia.

Dobrze tę prawdę uwydatnił „Multatuli“ w urywku zatytułowanym: „Ewangelja św. Mateusza — oto inny tekst, który dołączyć wam radzę do starego.“ —

„10. Natenczas uczniowie jego rzekli do niego: jeśli dzieje się taka rzecz między męż-

czynną a niewiastą, niedobrze jest, aby pojął
mąż niewiastę.

11. I rzekł do nich: Zaprawdę powiadam
wam, dobrze jest, aby mąż pojął niewiastę, iżby
całą stała się jego dusza i by **człowiekiem** był.

12. I dobrze jest, aby niewiasta pojęła męża,
iżby dopełniła się jej dusza i by **człowiekiem**
była.

13. Albowiem Pan nie spoczął, gdy stworzył
męża. I nie stworzył niewiasty jednej bez męża.
Mężczyznę i niewiastę stworzył, aby całkowi-
tym był człowiek.

14. Kto ma prawą rękę, a niedostaje mu
lewej, niezupełny jest. I kto ma lewą rękę,
a niedostaje mu prawej, niezupełny jest. Albo-
wiem daną jest człowiekowi prawa ręka i lewa
ręka, aby był zupełny.

15. I niechaj nie mówi prawa ręka: czego
chcesz lewico, bo ja ręką jestem! I niech nie
mówi lewa ręka do prawicy: czego chcesz, ja tą
ręką jestem. Albowiem razem tworzą całość.
Mąż i niewiasta razem.

16. Prawa ręka zapina pas, który jest po-
trzebny. A lewa ręka nosi dzban z wodą, któ-
rej wam potrzeba. Kto zgubił pas i pieniądze
w nim ukryte, nie może żyć. A kto dzbana
z wodą nie poniesie, umrze z pragnienia. Więc
mąż i niewiasta razem."

Dlatego **przymus celibatu** wykracza przeciw
zasadniczemu zrozumieniu natury społecznej
człowieka - kapłana. **Można od ogółu księży**
żądać cnoty, ale nie można żądać bohaterskiej

cnoty. Jeden, drugi — może dać ze siebie heroizm ofiary, ale nie wszyscy. Nie chodzi o raj hurrysek dla nich ale o **prawa człowieka,**

Należałoby zatem, nie usuwając celibatu, usunąć jego przymus, przywalający ogół ciężarem ponad siły ogółu. Natomiast wprowadzić w życie hierarchji **współzawodnictwo celibatu.**

Oto szczegółowe wyjaśnienie takiego punktu widzenia:

a) Nie robić tak, jak we wschodnim Kościele, gdzie ksiądz przed święceniami **już musi** być żonaty. Taka bowiem praktyka sprawia, że kandydat do stanu duchownego, zamiast się uczyć teologii i poznawać dokładnie obowiązki, jakie na siebie przyjmuje, przedwcześnie uganiania się za pannami. I sprawdza się na nim często: „Senatorem perdidisti et monachum non fecisti.”

b) Nie robić też tak, jak dziś w Zachodnim Kościele się praktykuje, że przystępujący do święceń **musi** być bezżennym i **musi** nim pozostać do końca życia. Zdarzyć się bowiem może, iż mężczyzna żonaty zapragnąłby w kwiecie wieku poświęcić się służbie ołtarzy.

c) Natomiast stawić przed oczy kandydatom do kapłaństwa i uświadomić im zasadę, że wśród nich, jako wodzów chrześcijaństwa, powinny się przejawiać **także** ideały chrystjanizmu. Wśród tych ideałów widnieje **także** ideał ofiary ze szczęścia rodzinnego, jako **rada ewangeliczna.** Kto czuje się na siłach, niechaj ją na swe barki podejmie.

Nikt nikogo nie zmusza. Młodzi księża niech próbują swych sił, całkowicie, albo też częściowo. Mówię „częściowo“, mając na myśli małżeństwo dziewicze. Znam rodzinę niekapłańską, idealnych ludzi dwoje, którzy ze sobą żyją jak brat z siostrą. Takie rodziny na pewno się znajdują na plebanjach. A ogół pójsć może drogą właściwą ogółowi: **zwykłej cnoty.**

Jestem najgłębiej przekonany, że wprowadzenie **współzawodnictwa celibatu**, zamiast **przymusu**, wyda o wiele obfitsze i trwalsze owoce idealizmu i ofiary wśród sfer duchowieństwa. Podniesie poziom osobistych aspiracji każdego. Kobiety zaś nie zepchnie do roli samicy, o którą się walczy na zabój, tylko da jej piedestał czcigodnej człowieczej wzniosłości, przed której zaletami i kapłan pochyła czoło, prosząc ją o zaszczyt współpracy w swej niebiańskiej misji. A wreszcie usunie wszystkie głupstwa i skandale.

Każdy z wiernych z głębszą czcią uchyli czoła przed kapłanem-**człowiekiem ofiary**, i nie będzie miał podstaw do pogardzania kapłanem-**człowiekiem**. O to zresztą, by ksiądz, mąż jej stanął w oczach wiernych jak najwyżej, postara się już najniechybniej żona z kobiecym instynktem, „nosem“ i przemyślnością.

IX.

Wszystko to być może prawda — powiedzą mi chórem prawnicy kościelni — ale to niepo-

dobna! Ksiądz po **święceniach** żony mieć nie może!

Proszę bardzo, dlaczego?

Prawo kanoniczne zabrania. Istnieje wyrażny w tej mierze przepis — 132 § 1:

„Clerici in maioribus ordinibus constituti a nuptiis arcentur” — „Duchowieństwu wyższych święceń nie wolno mieć żony.”

Zapewne, takie prawo jest, ale jak niedawno temu cały kodeks, tak ono corychlej ulec powinno gruntownej rewizji i zmianie. Zmiana niewielka. Przepis 132 § 1 brzmi napotem:

„Clerici maiorum ordinum a nuptiis **non** arcentur.”

Zmiany takiej domaga się życie, natura człowieka, prawa mężczyzny i prawa kobiety, których pełnia kończy się jak wiadomo na ojcowstwie i macierzyństwie; zmiane takiej nie sprzeciwiają się zasady Kościoła.

Najpierw według zdania samych prawników „ordo” jako „impedimentum dirimens matrimonii” nie określa się ani wpisuje do rubryki „iuris divini” tylko „videturesse iuris ecclesiastici”. (Noldin) A co Kościół postanowił, to może też Kościół usunąć, poprawić i zmienić.

Powtóre, biorąc rzecz rozumowo, sakrament nie może wykluczać sakramentu, łaska boża, otrzymana przez kapłaństwo, nie może się przeciwstawiać nowej łasce Bożej, podawanej w sakramencie małżeństwa. Zresztą jeden z najnowszych teologów (Billot) sądzi, że „or-

do", sakrament kapłaństwa, jest czemś jednym, rozciągającym się od tonsury do biskupstwa jako stopniowanie jednej i tej samej łaski. Otóż, jeśli po otrzymaniu tonsury, pierwszego stopnia tej łaski kapłaństwa, można pojąć żonę, to tak samo i po otrzymaniu ostatniego można pojąć żonę. Wolno się żenić akolicie, wolno księdzu i biskupowi.

Wreszcie Pismo św., na którego wyraźnych wskazówkach muszą się opierać i muszą budować na nich swe przepisy, wszystkie kodeksy prawa kościelnego, to Pismo św. pozwala najwyraźniej na małżeństwo **po przyjęciu kapłaństwa.**

Takiego tekstu w całym Piśmie św. niema!

Owszem jest. Pozostawił go, rzecz znamienna, najgorliwszy **obrońca celibatu.**

Otwieramy List pierwszy św. Pawła Apostoła do Koryntjan, rozdział 9 wiersz 1—6:

„Nie jestem ja wolny? Nie jestem Apostołem? Izali Chrystusa Jezusa, Pana naszego, nie widziałem? Obrona moja u tych, którzy mnie pytają ta jest: Izali nie mamy wolności jeść i pić? Izali nie mamy wolności wodzić się z siostrą niewiastą, jako i drudzy apostołowie i bracia pańscy i Cefas (Piotr - papież)? Czyli ja sam i Barnabasz nie mamy wolności tego czynić?“

Tekst jasny, jak dzień skąpany w słońcu.

Ma więc Apostoł wolność „jeść i pić“ i ma wolność pojąc za żonę „siostrę niewiastę“ i „wodzić się“ z nią.

A któż to jest Apostoł Paweł? —

Ksiądz? — Może ksiądz po święceniach?
Tak i więcej niż ksiądz.

Zatem biskup po dopełnionej „sakrze” biskupiej, „włożeniu rąk”?

Tak i więcej jeszcze niż zwyczajny biskup. To Apostoł narodów. Jego zadaniem i trudem „sollicitudo omnium ecclesiarum” — „troska o wszystkie Kościoły.”

I jemu, Apostołowi, wolno brać żonę, jak wolno ją mieć Piotrowi, jak wolno innym Apostołom. On nie uważa tego za wskazane dla siebie, boryka się z namiętnością i porywami ciała jak bohater, to jego rzecz, jak i Barnaby. Wolą być celibatarjuszami. Ale do ogółu wiernych, nie wyłączając duchowieństwa — listy przecież pisują dla wszystkich — stosują zasadę: „melius est nubere, quam uri.” Oni sami reprezentują w świecie idealizm ofiary samozaparcia, ale dobrowolnego. Żaden dekret ich nie zmusza. Pociąga tylko wzór i wezwanie Pana: „Non omnes capiunt... Qui potest capere — capiat...”

A nie można do tego tekstu wyszukiwać takich przypisków, jaki w popularnym wydaniu Pisma św. odnajduję:

„Z siostrą niewiastą — oznacza osoby pobożne, które według obyczaju żydowskiego Apostołom służyły.” (Szlagowski. Nowy Testament.) —

Nie o takie kobiety tu chodzi, które Apostołom służyły, bo takie to i Paweł miał na swe usługi i nieraz je w listach swych pozdrawia.

Powtóre, nie chodzi o „kobiety”, „siostry”, lecz o jedną „siostrę”, z którąby się mógł „wodzić” publicznie, nie gorsząc nikogo, do którejby miał takie codzienne prawo, jak do jedzenia i picia. Bo niechby się był Paweł odważył „wodzić” z „osobą pobożną”, nie żoną!... Publicznie, na oczach Kościoła! Zostałby świętym! W sam raz! — Takim samym, jak każdy egzegata Pisma św., gdyby coś podobnego zrobił.

Czy egzegeci nie podpowiedzieli nigdy tego tekstu twórcom prawa kanonicznego? A czasby najwyższy to uczynić. Bo zmuszać setki tysięcy ludzi, przeciętnych ludzi, gdyż takim był, jest i do końca wieków pozostanie ogół duchowieństwa, zmuszać ich mówię do heroizmu, toż to znaczy pchać dziesiątą ich część na drogę grzechu, a połowę łamać życiowo. Kto tego nie rozumie, ten jest — — — sam nie wiem, co powiedzieć na pochwałę jego zdolności umysłowych — jest conajmniej ogromnie tępy, choćby purpurę nosił.

Weźmy wzór — pierwsze wieki Kościoła. Na piętnastu Apostołów było trzech celibatarjuszów: Jan, Paweł, Barnaba, zatem jedna piąta. Cztery piąte miało żony. Pierwsze wieki Kościoła znają także papieży, biskupów i świętych biskupów, żonatych i dzieciatych. Dlaczegożby dziś nie postawić kwestji celibatu tak, jak ją postawił pierwszy Kościół i Apostołowie i Apostoł narodów i sam Chrystus?

X.

„W obecnym okresie historii kultura jest niemal wyłącznie męska. Jest to kultura siły, która kobietę usunęła daleko w cień.

Kobieta, widząc, że w dotychczasowym swym bycie jest przez mężczyzn pogardzoną, zaczęła węszyć za czemś niezwykłym, za jałową oryginalnością, za sensacyjną nowością, i chcąc się przypodobać zdradziła samą siebie.

Wartość kobiet poznana być musi nanowo. Pozwolić im trzeba podnieść głowę ku słońcu, aby przez miłosierną miłość kobiety świat odzyskał z wiarą miłość Boga.” (R. Tagore.)

„U natur zdecydowanie męskich występuje prawie zawsze pewna szorstkość i dumna pogarda ludzi. Pewność ich łączy się z uporem i sztywnością, energja z bezwzględnością, stałość z usposobieniem zimnem a nawet apatją. W charakterach starożytnych właśnie przejawia się ta jednostronność z całą wyrazistością. Tak np. w duszy Sokratesa. Mimo całego podziwu dla siły jego ducha nie widzimy w niej jednak wielkiej linji miłości. Nigdyby nam na myśl o jego śmierci męczeńskiej nie spłynęły na usta słowa: „agnus Dei.” Nigdybyśmy wyobrazić sobie nie mogli, by mógł on wyrzec te słowa: „Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią...”

Owa wystawiana energja męska okazuje się również niezdolną do życia bez poślubienia kobiecego pierwiastka duszy. Boć to właśnie jednostronne rozwinięcie męskiego pierwiastka

było ostateczną przyczyną, dla której starożytność nie dorosła do wyższej kultury społecznej. Wojownicza energia i polityczne instynkty mężczyzny mogą tworzyć pewne zewnętrzne formy organizacji społecznej. Ale wszelka wyższa i wnętrzniejsza wspólnota życia i pracy zdana jest na wielką inspirację miłości. Ona jedna tylko zdolna przełamać owo sztywne wyodrębnienie jednostkowe i stopić jedną jaźń z drugą. W całym szeregu wielkich przedsiębiorstw przemysłowych w Ameryce zatrudnione są od pewnego czasu wysoce wykształcone kobiety, jako t. zw. „agentki społeczne”. Zadanie ich na tem polega, by zapomocą wszelkich środków kobiecego taktu i współczucia zapobiegały z góry konfliktom między robotnikami a kierującymi osobistościami. Taka „agentka społeczna” to poprostu symbol, uzmysławiający potrzebę współdziałania kobiecego pierwiastka duchowego we wszelkiej bardziej skomplikowanej organizacji społecznej... Tam, gdzie męska siła nie kojarzy się z delikatnością i współczuciem, wywołuje mężczyzna mimo całej buńczuczności zewnętrznej wrażenie miotającej się i dziecinnej bezradności.” (W. Foerster — Wychowanie i samowychowanie, str. 83.)

Instytucyj o jednostronnym, szorstkim charakterze „męskim” jest pełen świat. Zamało w nim kobiety, wykształconej a głęboko „kobiecej” kobiety. Wśród zaś instytucyj ludzkich Kościół, o ile ludzki pierwiastek w sobie

reprezentuje, stał się wybitnie „męskim”. Hierarchja zeszywniała rażąco, jak paragraf. Duch Boży zacieśnił się do ram ducha starokawalerstwa. Hasłem przyszłości i to najbliższej musi być: pełnia ducha ludzkiego na usługach Ducha Bożego. Na pełnię zaś ducha ludzkiego składają się dwa duchy: mężczyzny i kobiety.

Mężczyzna ma zdawien dawna prawa swe przy ołtarzu zapewnione. Należy je tylko przywrócić kobiecie. Przywrócić, mówię, bo je w czasach Chrystusowych miała. Jako dziewica, jako matka i jako żona kapłanów i biskupów.

Rząd zewnętrzny hierarchiczny, z woli Zbawcy i z natury rzeczy, spoczywa w ręku mężczyzn, bo rząd wymaga siły, a oni ją mają. Natomiast wszystkie wewnętrzne, najdelikatniejsze spojenia tego organizmu bosko-ludzkiego, jakim jest Kościół, czekają na dotknięcie genjuszu, ducha kobiety. W swoim dziale „boskim”, tego organizmu Bóg dał kobietę: Marję z Nazaretu obok mężczyzny Chrystusa; w dziale ludzkim winno być to samo. „Et erant perseverantes unauimiter in oratione cum mulieribus et Maria Matre Jesu” — napisano o Kościele w Wieczerniku. Takim winien być stale Kościół.

Na Soborze Watykańskim ma być ogłoszony dogmat, że wszystkie Roki boże spływają na ludzkość przez rece kobiety — Marji. Niechże Kościół ujrzy także więcej łask ludz-

kich, spływających nań przez ręce kobiet, gdy im przywróci pełnię praw.

XI.

Dobrowolny zatem, nie przymusowy celibat — to postulat katolicyzmu, ducha Chrystusowego, Biblii. Należy go corychlej wprowadzić w życie.

Jak?

Na to są dwie drogi.

Jedna tak opiewa. Niechaj księża będą szczerzy i wypowiedzą się, co myślą na ten temat otwarcie i poważnie. Społeczeństwo ma chyba prawo domagać się od nich pełnej szczerości. A tezy w katolicyzmie stawiać wolno, prasa istnieje. Co lepiej dla nich, samotników po zapadłych kątach parafjalnych: czy być pozbawionymi życia rodzinnego, własnego ogniska, szczęścia ojcostwa towarzyski życia, kochającej i oddanej w doli i niedoli, czy też mieć żonę, i z nią mieć to wszystko? Będzie to swego rodzaju plebiscyt kapłański.

Mający się zebrać Sobór Watykański rzecz rozpatrzy i przymusowość celibatu prawnie zniesie. Albo jeszcze wcześniej uczyni to sam papież. Ma potemu władzę, a że nie jest ciasnym dowiódł zaraz po swoim wyborze. Kazał zawezwać telegraficznie do Watykanu służącą swej matki, „signorę Lindę”.

Jakto, Wasza Świątobliwość? — zwrócono mu uwagę. — Kobieta w Watykanie?!

Robimy precedens dla następcy — odparł spokojnie Pius.

Papież więc uznał, że kobieta jednak potrzebna i na Watykanie. On wprowadził służącą, inny, jego następcę, może wprowadzi żonę. Jak kilku papieży i jak pierwszy z nich Piotr.

Pius nie wahał się wprowadzić na Watykan służącej swej matki. Czyby się zawahał dać za żonę kapłanom, zbliżyć do ołtarza, kobietę taką, jaką była jego własna matka?

Nie, ani papież, ani Kościół nie potrzebuje się obawiać kobiety. Byle nie była zepsuta i byle nie była lala...

A druga droga — znacznie krótsza.

Lat temu kilkadziesiąt, objeżdżał z wizytą pasterską parafje śp. ks. kardynał Puzyna. Na jednym probostwie wychodzi na powitanie Pasterza ksiądz proboszcz, otoczony gronem miłych chłopaczków i dziewczynek w towarzystwie pięknej, tchnącej prostotą i godnością zachowania się, kobiety.

To moja żona — prezentuje ksiądz pleban — a to dzieci.

Ksiądz kardynał podobno zdębiał wobec tak jasno postawionej kwestji. Zdołał ledwo wycedzić ciche pytanie.

Jak ksiądz mógł to zrobić?

Sąsiad mój, proszę Ekscelencji, Unicki ksiądz, ma żonę i dzieci. Ja też nie gorszy w prawach od niego. Dał mi ślub i koniec. A ludzie, jak ludzie. Do wszystkiego się przy-

zwyczają. Jest ksiądz bez żony — dobrze, jest z żoną — jeszcze lepiej.

Nie mówiono mi, co ks. biskup zrobił z tym fantem... Ale proszę pomyśleć, co by wogóle wszyscy biskupi i legislacyjny Rzym zrobili z tym fantem, gdyby księża, nie robiąc głupstw z jakimiś tam sektami, czy Kościołami narodowymi, gremjalnie, razem w całym Kościele pobrali sobie żony i donieśli o tem do ordynariatów biskupich. „Pojąłem żonę... Ślub dał nam sąsiad najbliższy, proboszcz w N. N. Proszę Ekscelencji przyjąć wyrazy najgłębszej czci i uszanowanie od nas dwojga. Stoimy wiernie przy wierze i świętej Stolicy Piotrowej.”

Zdębieliby prawnicy Rzymu, ale na Kościół padłoby... wesele. Przybyłoby światu blisko pół miliona rodzin katolickich. Kilkaset tysięcy dusz, elita kobiecego świata, szlachetnych i rozumnych, ujęłoby w swe ramiona pochodnię wiary, by ją nieść wspólnie z mężami swymi w życie rodzin, w życie ludów. A kobieta dzisiejsza, to nie wczorajsza, umiejąca tylko prać, prać i gotować... Na taką widocznie inteligentną, wyrobioną czekał Duch Boży długie wieki, by ją zawołać do swych ołtarzy, postawić ramię przy ramieniu swych sług i powtórzyć do niej słowa Zbawcy: „Idź... na cały świat, nauczając wszystkie narody.”

Tak mogliby księża załatwić sprawę swych małżeństw.

Ależ prawo obecne, cenzury?

Prawo obecne kościelne kłóci się najwy-

rażniej z prawem bożem, któremu z natury rzeczy musi ustąpić nawet bez specjalnej deklaracji prawnej. Niech sobie zatem prawnicy ze swem prawem i cenzurami osiada na koszu, a księża niech sobie wezmą żony.

Mają prawo z Apostołem Pawłem.

XII.

Wiśła połykiwała u stóp plebanji w brylantowej poświacie księżycy, a on mówił, zaparty w dal błękitną, w gwiazdy:

„Tak. Sprawa małżeństw księży a nawet biskupów po święceniach nie przedstawia się beznadziejnie, tem mniej skandalicznie, jak w paragrafach kodeksu. Kobieta, pokrzywdzona w swej godności, kapłan - mężczyzna, nieuwzględniony w swem człowieczeństwie, wołają o wyrównanie krzywd. Prawo boże nie ma nic przeciwko temu. Tylko kodeks i doktorowie wołają: „*Sic volo, sic jubeo!*”

Doktorowie kanonów — ojcowie herezji — wczoraj i dziś! Na poszarpanie schizmom oddadzą raczej święte ciało Kościoła, niż zmienią roztropnie bałamutną swą tezę. Nikt przecież rozumny i wierzący nie żąda jej obalenia, ale jej poprawienia! A najczęstszą bolączką biednej duszy kapłańskiej jest ta, że nie pozwala jej prawo być „ludzką” w całej pełni. Zmusza ją do ofiar, do których może duchowo, ani fizycznie nie dorosła, albo nie pojmuje ich celu.

Doktorowie praw! Mam wrażenie, że oni ze swą tezą przymusowego celibatu podobni są

do owych „doktorów“ z XVI wieku, co potępili tezy Galileusza i Kopernika. Potem w wieku XIX Rzym musiał pokornie zdjąć biret z głowy, a pychę z serca, pokłonić się nauce i uznać jej postulaty. Tak i tu. Prędzej czy później Rzym będzie musiał uznać prawa kobiety i kapłana w całej pełni. Na podstawie tekstu św. Pawła upadają wszelkie dotychczasowe skrępowania dotychczasowych kanonów, jak upada **samo przez się** zarządzenie biskupa wobec przeciwnego mu zarządzenia papieży. Hierarchja, która takie skrępowania pielęgnuje, wystawia sobie osobliwe zaiste świadectwo — ubóstwa umysłowego. Niechaj się z niego otrząsa co prędzej. Nie zna Pisma.

Erratis nescientes scripturam...

Ideał ofiary w kapłaństwie powinien być, ale reprezentują go kapłani - zakonnicy. Klasztory zastępują im dom rodzinny, duch nie doznaje uszczerbku, a ciało — można o niem nie mówić. Ogół duchowieństwa świeckiego, powinien mieć rodziny własne, powinien mieć żony. Bo jeśli w raju przed upadkiem „źle było człowiekowi samemu“, zdaniem Stwórcy, to sądzę, że oświecony Duchem Bożym Kościół zrozumie, iż nie mniej źle być samemu kapłanowi w stosunkach wcale nie rajskich pracy parafjalnej, duchowego samotnictwa, sercowej izolacji. Tak się tworzą najłatwiej karykatury sług bożych.

Ja mam żonę. Potrzebuję dla swej duszy harmonijnego uzupełnienia jej duszy kobiecej.

Mieć muszę równoważnik delikatnego wpływu wobec mej kostropatej męskości. Ileż ja jej zawdzięczam! Wdwójnasób pokochałem Boga, bo sercem zdwojonem, jej i własnym, ukochałem Go delikatniej — tak jak ona. Nie mogę jej dać szczęścia wspólnego pożycia, pracy, domu. Nie mogę jej ofiarować szczęścia i zaszczytu macierzyństwa. Widujemy się tylko raz po raz, żyjemy jak brat z siostrą. Skarbem nieocenionym dla mnie — jej miłość, czuła troskliwość o mnie. W częstych i bliskich z nią stosunkach poznałem, że „serce kobiety jest nieoszacowane, warte miljardy miliardów“ i że wielu rzeczy męczyzna nie pojmie inaczej, jak tylko, gdy przejdą przez filtr umysłowości kobiecej.

Jesteśmy małżeństwem utajonym, przed Utajonym zawartem. Ale modlimy się o to, byśmy mogli jawnie i publicznie stanąć przy ołtarzu, na oczach świata katolickiego i z jego błogosławieństwem. Wierzimy, że modlitwa nasza przemieni się w prawo kapłańskiego małżeństwa w całym Kościele. Dotąd miał je Kościół wschodni. Chyba i on miał odrobinę Ducha Bożego. Modlimy się i wierzymy, bo On zapewnił: „Proście, a otrzymacie! Nie dziś, to jutro.“ A ja ufam, że otrzymamy rychło.

Czasem w ciche, gwiazdne wieczory, gdy jesteśmy razem wsparci o siebie, śpiewamy pieśń wieszczą. Daleko po rosach i wodach ulatują jej tony. Ja myślę, że wkrótce obiegą one katolicki świat.

Zaiste, miłość jest świętym pożarem,
Iskrą, zatloną w ogniach nieśmiertelnych,
Aniołów dobrem, Wszecmocnego darem,
Balsamem rajskim dla serc skazitelnych.
Pobożność duszę w niebiosa porywa,
Ale z miłością niebo w duszę wpływa.
Uczucie, które Bóstwem zapalamy,
Które wytrawia wszystkie myśli plamy,
Jest to promyczek wszechwórczego słońca,
Korona duszę dokoła wieńcząca,

(Mickiewicz)

I modlimy się razem do Patronki mej żony,
Matki łaski Bożej:

Mamo i Pani! Która, pozostając Dziewicą,
nosiłaś święte imię żony, a będąc kochaną ko-
chałaś, wejrzyj na miłość nas dwojga i racz ją
otoczyć jak najczulszą, macierzyńską opieką
swoją i uwieńczyć publicznemi węzłami ka-
płańskiego małżeństwa dla chwały, Kościoła,
szczęścia naszego, kapłanów Polski i świata.

Połącz się z nami w modlitwie — kończył.

Księżyc był coraz wyżej, noc coraz głębsza.
Brylantowe smugi blasków na Wiśle nabierały
coraz więcej zaprawy srebra.

XIII.

Słówko jeszcze, ostatnie na ten temat — od
autora.

Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że
teżą przed chwilą wyłożoną: „Prawa kobiety“—
zdejmuje bielmo wiekowe z oczu Kościoła. Nie

wyczerpałem tematu. Mógłbym książkę całą, większą od tej, jeszcze napisać. Proszę, by uczynili to inni. Teza zyska na wszechstronności. To, co napisałem, napisałem dla ulgi sumień ex-księży żonaty, których kilku znam i podziwiam szczęście ich rodzinnego pożycia. Wielu z nich mogłoby wrócić do ołtarza. Napisałem też to wszystko dla ulgi sumień księży, dla których prawo celibatu jest piekłem, bezdnią rozpaczą, godziną Ogrójcową, Kalwarją. Od dziś kwestję mają postawioną jasno: **Mogą mieć, bo mają prawo mieć żony.** Niechaj je pojma, niech się zwiążą z niemi sakramentem małżeństwa, zostając przy wierze i Stolicy Piotra, żonatego papieża.

Ba, ale cenzury, ekskomuniki! Strach, co będzie, gdy spadnie jaka suspensa?!

Proszę o chwilę spokojnej uwagi. A co będzie, jeśli przypadkiem papieżowi przyjdzie ochota ogłosić ekskomunikę na tych, co twierdzą, że dwa a dwa jest cztery? To samo będzie w razie ekskomuniki na tych, co stwierdzą węzłem małżeńskim, że jedno a jedno tworzy dwoje. Może z czasem trochę więcej...

Nie będzie to wyrok papieski, ale ośmieszenie się papieskie. Pismo św. wyraźnie pozwala kapłanom i biskupom mieć żony. Niech tylko uczynią to tak, jak kapłanom przystoi. Jedno łóżko więcej i kołyska zmieszczą się jeszcze na plebanji.

A jeśliby się Rzym droczył w tej sprawie, to mogą mu powiedzieć krótko a węzłowato:

„Niech Grzegorz nie reformuje Pawła Apostoła!” Małżeństwo księdza to nie rzecz hierarchji — ubocznie chyba — ale sprawa osobista każdego kapłana.

A w takim stanie rzeczy nie będą stały pustką seminarja, ani — napewno — zakony!

Podniosą się plebanję, ożywią pod tchnieniem serdecznej pieczy kobiecej świątynie... W kaplicach zakonnic dopiero się widzi, jak powinny wyglądać Kościoły, gdy się nimi opiekuje inteligentna, religijna kobieta..

Ach prawda! Byłbym zapomniał o jednym jeszcze, zaklętym wrogu mojej tezy. Śmiertelnym jej wrogiem, wrogiem na śmierć i życie — przewiduję to — będą gospodynie. Fatalna bowiem ich rola w Kościele i na plebanjach się skończy. Ale i sprzymierzeńca mieć będę, który mię obroni. Uchylam przed nim czoła.

Cześć rozumnej, szlachetnej, czystej i świętej kobiecie katoliczce, żonie kapłana!

Imieniem Pawła Apostoła, w Imię Chrystusa, zapraszam ją bliżej do ołtarza!

Na współpracowniczkę w dziele zbawienia dusz, na współapostołkę Apostołów!

Ramiona kapłanów osłabły, trudząc się samotnie na wodach świata. Nie wiele ułowili. Ręka mężczyzny nie potrafi tak subtelnych zadzierzgać sieci, jakie dziś potrzebne na wysubtelnione ryby. Jej ręki delikatnej tu potrzeba. Niechaj ją wyszkoli, przygotowuje i nie odmawia jej kapłanom. W ich imieniu, tych tak często życiowych rozbitków, proszę ją o to.

„Przyszedszy do nas... wspomóż nas!”
(Dzieje Apost.)

Nietyle o luby splot twoich ramion i wspólne z Tobą łożę, ile o duszę i wielkie serce twoje chodzi, bez których „niedobrze jest człowiekowi samemu...” Więc Imieniem Stwórcy Boga, który uznał za konieczną pomoc twą pierwszemu mężczyźnie w dziedzinie przyrodzonej, zapraszam Cię do współpracy w dziedzinie nadprzyrodzonych, promiennych ideałów Ież bardziej ona tu konieczna.

Pójdź! —

Bo jeśli Pan pozwala na początku i błogosławi cudem w Kanie Galilejskiej,*) to któż ci może zabronić podać rękę kapłanom?

„Num quis potest prohibere?... qui acceperunt Spiritum Sanctum, sicut et nos?” (Dzieje Apost. 10)

*) Według tradycji były to gody weselne jednego z Apostołów.

ŁÓDŹ PIOTROWA.

Pan, którego Imię Wszchemocny i Wiekuisty, upatrzył ją i upodobał sobie. Naznaczył jej sternika, któremu dał imię wieczne, i pchnął ją przemożnie na bezkresne wody świata.

Zdumiały się głębie. Szczupła, wątła łódź Rybaka z Betsaidy, miała połączyć ze sobą dwa brzegi, pomiędzy którymi leżała nieskończoność: brzeg Człowieczeństwa z brzegami Bóstwa, brzeg doczesności z wybrzeżem wiecznem.

Co za przedziwny, co za wspaniały był genjusz, który się odważył na to! Nieskończoność, dzieląca te dwa brzegi, była przecież burzliwą otchłanią. Zawrotna fala przesądów, ruchliwe morze fantazji i marzeń, zaprzeczeń, zwątpień i pojęć mętnych, pogmatwanych, wypaczonych, jakie z głów ludzkich wyparowały w ciągu dziejów, rozlały się jak bezdeń oceanu, targana niezliczonemi, gwałtownemi prądami od brzegu do brzegu. Kto tę otchłań oczyma przemierzy, ramieniem zagarnie, pokona?

Lecz śmiała łódka pruć poczęła fale. Nie zastraszało jej bynajmniej ani trwożyło to, że przed nią na ową topliel pomiędzy światem a zaświatami ruszyły inne łódki, wypłynęło czołen tysiące, które, nabłakawszy się po wo-

dach, konały na rafach rozpacz, syrtach beznadziei. Nieustraszony jej sternik wiedział dobrze, jakie były powody rozbicia tych łodzi. One nie znały kierunku drogi, nie miały gwiazdy polarnej nad sobą objawionej. Nie wiedziały dokładnie, czy ów drugi brzeg istnieje, czy go niemasz, czy szukać go należy na wschodzie, czy ku zachodowi, na południu, czy północy. Szymonowi zaś Barjona wszystko to najdokładniej oznajmił Pan, Tworzciciel Bożej Żeglugi.

I mknęła łódź, pracowały jej wiosła. Trzepotały żagle w takt pieśni żeglarskiej, co nad czołem jej masztów śpiewała niebu i ziemi: „Chrystus regnat.“ Rzesze nieprzeliczone garnęły się ku niej, powierzały jej swe losy. Jęły pielgrzymować ku niej stopy wszystkich pokoleń, drżały uwielbieniem dla niej serca ludów.

Co widząc sternik z Betsaidy jął wrychle rozszerzać jej zrąb, mnożył jej wiosła, umacniał załogę. A iż była za szczupłą jeszcze, przeto budował na jej wzór łodzi podobnych tysiące. Z wieku na wiek wzrastała ich liczba, aż potężna flotylla Szymona Barjony, jak rajskich ptaków stada, zaległa wszystkie rody.

A on wciąż tworzył nowe — niestrudzony i ulepszał system łodzi. Stare, zmurszałe, napół przegniłe i na niewiele przydatne okręty usuwał, aby flotylla ludów, idąc w drogę bożą, była urządzona w duchu ich potrzeb — **po ludzku.**

Tak bowiem ongi uczył Pan: „Aby żywot, obfity żywot mieli.” Tego domagał się Duch Boży: „Astitit... circumdata varietate.”

Z wieku na wiek — inaczej. Różny system łodzi, byle coraz lepszy, coraz doskonalszy. I różne kształty łodzi. Byle jedna ponad niemi chorągiew Chrystusowa i jeden, wspólny kierunek drogi niebios:

— Credo in unum Deum!.. —

Sterniku niebios! Pracuj więc nieustannie i Pan niech będzie z Tobą! —

Koniec.

SPIS RZECZY:

Veni Creator	7
Ziarno gorczyczne	12
Pycha Rzymu	23
Więzy dogmatu	46
Casa Santa	73
Niewola Rzymu	85
Rzym uprawia dewocję	100
Makaronizm liturgji	110
Kaudyjskie jarzmo	122
Pieśń o chlebie	134
Handel duszami	144
Na marginesie formuły ślubu	150
Prawa Watykanu	156
Prawa kobiety	175
Łódź Piotrowa	222

OMYŁKI DRUKU

Strona	wiersz	jest	ma być
24	2 od góry	wołającego	wołającego
34	2 „	maul	Maul
40	1 od dołu	czy	Czyby
44	13 „	leka	łęka
48	4 i 5 „	... omówiona w części drugiej tej pracy, w nagłówku: Rzym uprawia dewocję.	... omówiona w nagłówku: Makaronizm liturgii.
50	2 od dołu	dorość	doróść
50	4 „	Pudeusa	Pudensa
51	12 „	sprzykszyło	sprykrzyło
57	8 „	raczki	rażzki
59	13 od góry	wiecznie	wieczne
63	9 od dołu	ta	to
75	10 „	świężą	świeżą
82	5 od góry	nieprzyjaznego	nieprzyjaznego
85	2 tekstu od góry	c a ł y	w y k r e ś l i ć
99	4 od dołu	lachrymae verum	lachrymae rerum
113	3 „	kodurowskie	hodurowskie
121	10 od góry	gaudo	grando
122	w tytule rozdz.	Kandyńskie	Kaudyńskie
126	14 od góry	„ m	„ m

Strona	wiersz	jest	ma być
126	10 od dołu	„Lamartija“	„hamartija“
129	10 „	bowiązku	obowiązku
„	14 „	od tej	do tej
131	4 od góry	dorość	dorość
„	9 „	Kandyńskie	Kaudyńskie
132	12 „	„	„
133	2 „	budza	budzą
„	2 od dołu	Kandyńskie	Kaudyńskie
143	5 od góry	tworzac	tworząc
153	10 od dołu	Jakżesz	Jakżeż
161	14 „	Stad	Stąd
174	1 od góry	bianc o	bianco
„	1 od dołu	„	„
177	3 „	przyoblukłszy	przyoblókłszy
186	2 „	Wychodowany	Wyhodowany
208	9 od góry	egzegata	egzegeta
211	2 od dołu	rece	reçe
„	3 „	Roki	łaski
„	8 „	unauimiter	unanimiter
218	1 „	zdejmuje	zdejmuję
223	7 „	rody	wody
„	17 „	Chrystus	Christus



INSTYTUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN
Biblioteka
ul. Nowa 54a Nr 72
00-830 Warszawa
Tel. 26 66 60, 26 70 17
<http://rain.org.pl>

**Wszelkie prawa autorskie co do tłumaczeń i przeróbek
zastrzeżone**

**Copyright by Ks. Franciszek Grot, nineteen hundred
twenty four**

CENA 10 ZŁOTYCH

<http://rcin.org.pl>

F
1